

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LIPIEC 2023/4

magazynhisteria.pl

BRZASK
DOBRE SĄSIEDZTWO
DOM PANI NYX
GDZIE SIĘ PODZIAŁA MOJA BETSY BLUE
KRWAWY PSZCZELARZ
MĘŻCZYŹNI
PAN SZCZUR
SPRZEDAWCA SNÓW
TUNEL
WIGILIA ARMAGEDONU



SPIS TREŚCI:

BRZASK	Daniel Krawczyk	3
DOBRE SĄSIEDZTWO	Monika Godlewska	13
DOM PANI NYX	Robert Zawadzki	22
GDZIE SIĘ PODZIAŁA MOJA BETSY BLUE?	Jarosław Dobrowolski	34
KRWAWY PSZCZELARZ	Huber Piśkorski	51
MĘŻCZYŹNI	Tomasz Droszkowski	67
PAN SZCZUR	Marcin Zwoleń	68
SPRZEDAWCA SNÓW	Jan Słomski	76
TUNEL	Piotr Orłowski	85
WIGILIA ARMAGEDONU	Michał Lipka	104

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka: Joanna Widomska

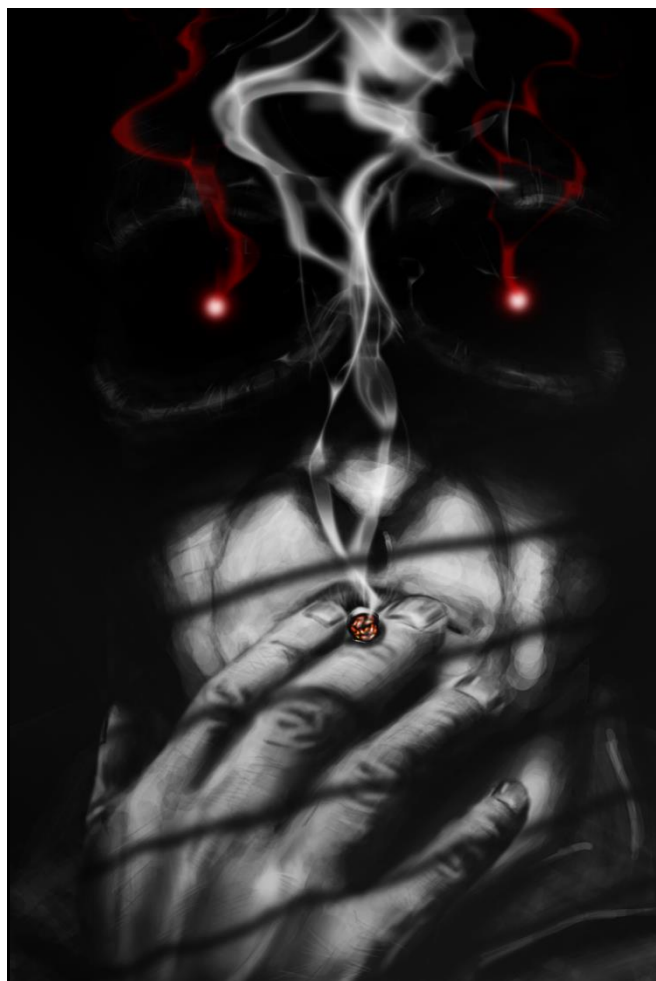
Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Michał Antosiewicz, Ilona Bielicka, Halmar, Krzysztof Kowalik, Zvyrke

Korekta: Aleksandra Knap, Magdalena Paluch

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.



BRZASK

Daniel Krawczyk

W przedsionku piekła usłyszałem twój szept. Był kojący, a zarazem tak odległy, wydobywał się z ciemności, która miała być dla mnie ratunkiem. Nadszedł mój czas, świata nie było, tylko wieczna otchłań i potępienie. Ale w progu mojego końca dotarło do mnie, że istniejesz, nie wymyśliłem sobie ciebie. Naprawdę dobiegał do mnie głos, wydobywający się z ust, które jeszcze tak całkiem niedawno mogłem czuć. Pamiętam, były wilgotne, pełne życia, zamykałem oczy, aby poczuć je w pełni. Nie miałem pojęcia, jak za nimi niemiłosiernie

tęskniłem przez ten cały czas. Muszę zrobić krok do przodu, ale wciąż cię słyszę, chcesz mnie uratować, Kochanie, jest za późno na takie luksusy. Musisz wiedzieć, iż nigdy ci tego nie zapomnę. W tej mojej ostatniej chwili próbujesz jeszcze we mnie wskrzesić promyk tamtych chwil. Wiem, tamte momenty były czymś pięknym, a twój szept budzący we mnie lawinę łez, jest tego niezbitym dowodem. Chciałbym powiedzieć, że zmierzam do lepszego miejsca, ale to nieprawda, nie chcę oszukiwać sam siebie, chociaż może tak byłoby lepiej, a na pewno lżej. Stoję tutaj, w tym wąskim korytarzu, w powietrzu unosi się zapach spalenizny i marzę o tym, aby jeszcze raz się z tobą spotkać, porozmawiać. Zrozumiałabyś wszystko bez pytania. Taka po prostu jesteś, twoje oczy by mi powiedziały wszystko. Twój szept jest coraz donośniejszy, Kochanie, nie ma szans, ty jesteś tam, daleko, możesz krzyknąć, to nic nie da. Minęliśmy się, bo byłem tchórzem tylko po to, aby teraz, jak bohater, pozostać z niczym. Z przegranyimi bitwami o wolną wolę istnienia. Nie mogę ci niczego zaoferować, nie mam nic, tylko siebiei mój bagaż, który tacham całe swoje życie. Spoglądasz na mnie, znowu i znowu, i widzę to w twoich oczach, tak, mówisz, że to nie jest takie nic. Od zawsze podtrzymujesz mnie na duchu, nie pozwalasz kopać dołków pod samym sobą. Nie, to nie jest użalanie się, to nie jest dywersja przeciwko samemu sobie. To jest zderzenie się z prawdą, w końcu. Wiem, powiesz, że to absurd, ale jak inaczej to wszystko objąć rozumem, kiedy tęsknota za tamtym światem, za tobą jest tak silna. Nie mieści się to w miarach kartki papieru, ale i tak jest to jedyne miejsce, w którym może zostać utrwalone świadectwo istnienia. Przekrzywiasz głowę pytająco. Tak, kochanie,istniejesz, a przecież nikt mi w to nie chciał uwierzyć. Miałem chwilę zwątpienia, na których sam się łapałem, iż to może wszystko tylko sobie wymyśliłem, zmyśliłem ciebie.Przejmował mnie wtedy druzgoczący lęk, trząsałem się ze strachu, ponieważ świat ze zmyśloną tobą wydawał mi się niepojęty, obcy, suchy, bez uczucia pragnienia. Nie chciałem tak. Na szczęście spotkaliśmy się, spoglądamy teraz na siebie, a ty nic nie wiesz, niczego się nie domyślasz, jestem zwykłym kolegą z dawnych lat i niech tak będzie, to i tak więcej niż mogłem oczekiwać. Chciałbym ci wszystko opowiedzieć ze szczegółami, niczego nie pomijając, ale nie mogę, nigdy nie będę mógł, a tak cholernie tego potrzebuję. Muszę to zdusić w sobie, zalać ognisko wiadrem wody i przeżyć. Wiem, że nie tędy droga.Tylkoże nie mogę wyznać, przez co musiałem przejść, nie tobie. Potrzebuję widzieć w twoich oczach siebie jako bohatera, brzmie, jakbym się niczego nie nauczył. Nie. Oszukiwanie samego siebie w pełnej świadomości jest kamieniem milowym, nową jakością życia. Teraz kłamstwo może nas uratować, ponieważ pierwszy raz mam nad nim kontrolę. Powiesz, że za dużo myślę, a ja tylko spoglądam przez okno na padający deszcz i wyobrażam sobie milion rzeczy naraz.

— Miałeś rzucić to świństwo — dobiegł mnie donośny głos zza moich pleców. To była ona, wybranka mojego życia, troszcząca się bardziej niż było to wskazane, ale - do stu diabłów - przecież za to właśnie ją kochałem.

Zgasiałem pół papierosa w i tak przepelnionej już popielniczce usytuowanej na parapecie balkonu w naszym ciasnym mieszkanku.

— Kotek — odparłem, nic sobie nie robiąc z jej tonu głosu. — Wróciłaś wcześniej.

— Nie — odparła, spoglądając na zegarek. — Tak jak zwykle. Co ty?

Faktycznie. To ja i moje zatracenie nie wiedzieliśmy, która jest godzina.

— To chyba przez to, że dzień jest coraz krótszy, czy tam dłuższy — rzuciłem od niechcienia, zamykając za sobą balkon,

— Miałeś nie palić.

Nie poddaje się.

— Miałem nie palić — zawtórowałem. — Wiesz, Kotek, jak jest. Nie palenie nie sprzyja procesowi kreacji. Wytwórcze myślenie jest połączone specjalną nitką z fajką w gębie. Tak to działa, chyba, bo dowodów nie mam.

— Jak ci idzie pisanie? — zapytała, dobrze wiedząc, jak nie znoszę tego pytania. Czułem się jak gówniarz przyłapany na waleniu konia.

— Dobrze — skłamałem. — Mam chyba wenę.

— Twórczą?

Kotek, dlaczego tyle pytań? Wracaj do swojej pracy, dupy nie zawracaj.

— Wenę, aby coś stworzyć. Wiesz, takiego ładnego. Powiedzmy melodyjnego.

— Świat się kończy, a ty piszesz melodie?

Tyle lat razem, tyle wspólnych chwil, lepszych gorszych, a ona mnie nigdy nie poznała. Nie poznała mnie do końca, tak jakbym tego chciał, sam jej na to zapewne nie pozwoliłem. Traktowała moją robotę niczym ostatnią fuszerkę, czasami nawet jej się nie dziwiłem. Ale nie o to chodziło, nie słyszała tego co ja. Była głucha na szepty, była głucha na śpiew, nic jej nie obchodziło, była wpatrzona w otaczający nas marazm, tym się chełpiła, czasami może nawet dławiała, co najgorsze traktowała to jako sukces, że udało jej się wygrać

życie. Mówiła: „Zobacz, jak sobie z tym świetnie poradziłam, jesteś ze mnie dumny? Powiedz, że jesteś”. Potrzebowała pieprzonej aprobaty każdego dnia. Tylko marazm, stagnacja i kolejny taki sam dzień był jej glorią, a ja z fajką w gębie zastanawiałem się, czy to tylko ja byłem skazany na piękno melodii, jaka do mnie docierała, bo jeśli tak, to samotność nie była mi bardziej bliska niż teraz.

Bo, Kochanie, byłaś daleko, a moje trwanie tutaj. Bez ciebie, zacisnąłem zęby i jeszcze raz spróbowałem, jeszcze raz podjąłem próbę.

— Jaki koniec świata? — warknąłem. — Słońce świeci, ptaszek leci...

— Niczego nie traktujesz poważnie — odparła z pełnym spokojem.

— To tylko głupi papieros.

— Nie chodzi o papierosa. Dlaczego nic sobie nie robisz z tego, że nasz czas dobiegł końca? Dlaczego cię to nie rusza? Kurwa mać, skąd w tobie tyle swobody, kiedyś syreny wyją, a apokalipsa czai się tuż za rogiem.

Nie chce, abym czuł to co ona, jedynie chce, abym tak samo to przeżywał. Nie może znieść różnicy, jaka istnieje pomiędzy nami. Mój spokój i opanowanie działały na nią od zawsze niczym czerwona płachta na byka. Świat się kończy, a ja relaksuję się na balkoniku, z ostatnim papierosem, tak wygodniej, milej i cieplej na serduszku. Jakakolwiek oznaka wzruszenia nie jest w moim guście, niech to wszystko się kończy, ale po co zaraz zgłupieć do reszty? Zaprosiłbym ją do wspólnego przeżywania tego wszystkiego, tylko że to bez sensu. Nie zrozumie tego, iż nie trzeba się drzeć, aby być usłyszonym.

— Kotek, papieros, nie papieros, koniec świata, nie koniec, co za różnica, jak jutro i tak już niczego nie będzie.

Podszedłem do niej bliżej, tak abym mógł jej się dokładnie przyjrzeć. Była zmęczona, jak to po pracy, wciąż była młoda, jedynie oczy mówiły, że tych wiosen już trochę było. Nie widziałem w nich ognia, raptem mgłę jesiennego poranka. Była od zawsze moim kwiatuszkiem, ozdobą mojego szarego życia, kroplą niosącą z górskiego źródła, która dawała ukojenie. Lecz teraz nie było to ważne, świeca zgasła już jakiś czas temu, jedynie mogłem udawać, że muzyka wciąż gra. Uśmiechałem się, udawałem, tak było prościej, bezpieczniej. Kłamstwo w tym przypadku nie niosło za sobą żadnych konsekwencji, aż do dzisiaj. Była wkurzona, a zarazem zrezygnowana, naprawdę się bała, że jutra może faktycznie

nie być. Koniec był tak blisko, wyzwolenie i jednocześnie rozdarcie serca na milion kawałków, czułem to. Przeszedł mnie zimny dreszcz, czekałem, co wydarzy się dalej.

Nieuniknione.

— Masz rację — odparła z pełnym spokojem.

— Wiesz, że wolałbym jej nie mieć — dodałem arogancko, wciąż nie spuszczać z niej oczu.

Odwróciła się na pięcie jak poparzona i pobiegła do kuchni, jedynie pozostał po niej zapach zasiedzanego z biura potu i zwietrzałych perfum, mimo wszystko przyjemnych, bliskich mojemu sercu. Ruszyłem za nią.

Stała w kuchni przy szufladzie, trzymając w dłoni największy z noży. Nigdy z niego nie korzystałem, był niewygodny i przysięgłbym, że również strasznie tępy.

Jej dłoń zaciskała mocno rękojeść, a czubek noża był wycelowany w moją stronę. Mogłem udawać zaskoczonego, nic więcej mi nie pozostało. Bo zaskoczony nie byłem. Suka chciała mnie zabić, marzyła o tym od zawsze, a dzisiaj był ten dzień. Parę godzin przed końcem świata.

Pomyślałem znowu o tobie, moja zmozo, nawet teraz, kiedy stałem przed własnym obliczem, przeznaczeniem, jakie było mi od zawsze pisane. Z flakami na wierzchu.

— Długo na to czekałam — westchnęła głęboko. — Cholernie długo. Dzisiaj, zrobię to dzisiaj i to będzie koniec twój, mój, nasz. Koniec, rozumiesz?

— Każdy ma prawo spełniać swoje marzenia — odparłem.

— Widzisz, nawet teraz chcesz mi odebrać to, co mi się należy, moje pieprzone pięć minut. Chcesz być gwiazdą, nawet jeśli nikt cię o to nie prosi. Cyniczny arogancie, nie odbierzesz mi tymi jadowitymi słówkami przyjemności z odbierania ci życia.

Zrobiła się na twarzy cała czerwona, przypominała teraz grzyba po wybuchu bomby atomowej, tylko ona sama jeszcze nie zdążyła eksplodować, wahała się, szła po linie i jeszcze nie zdecydowała, w którą stronę spaść, nie licząc oczywiście szczerzej chęci wbicia mi tego wielkiego noża w klatkę piersiową. Znałem ją dobrze, chciałem wierzyć, że blefuje. Cokolwiek ją motywowało, było wstanie zmusić do zabicia mnie. Tylko tyle i aż tyle. Po tych wszystkich latach musiał przyjść ten dzień. *I bardzo dobrze*, pomyślałem sobie. Wolałem z jej

ręki umrzeć, niż miała mnie następnego dnia pochłonąć nicość końca wszystkiego. Śmiało, dziecino.

— Kotek, wiesz, że zawsze byłem za tobą, byłem z tobą, nigdy nie odpuszczałem. Zawsze trzymałem cię za dłoń, nawet w tych najtrudniejszych okresach. Teraz też jest ciężki moment. Odłóż nóż i porozmawiajmy. — Blefowałem ale i tak nic więcej mi nie pozostało, chociaż dobrze wiedziałem, że ta kobieta dobrze zna mój sposób funkcjonowania, a tym bardziej negocjacji. — Jest dla nas szansa, wierzę w to, możemy przejść przez koniec świata razem. Tak jak wtedy, kiedy spędzaliśmy ze sobą nasze pierwsze dni, szczerze i beztrosko. Nie musimy niszczyć tego, co mamy, tylko dlatego, że za parę godzin i tak niczego już nie będzie. Jeśli mamy spotkać się z pustką, nicością, końcem ostatecznym, to czy nie lepiej zrobić to w zgodzie?

— Od zawsze żyjesz iluzjami, w pieprzonym kłamstwie. Nigdy tego nie mogłam zrozumieć, jak możesz tak sobie świetnie radzić, otaczając się tylko i wyłącznie nieprawdą. Proszę, powiedz mi, oświeć mnie! — warknęła nieprzyjemnie, jak robią to małe pieski. — Albo wiesz co, daruj sobie i tak wcisniesz mi jakiś kit, bo nie potrafisz inaczej. Jutra ma nie być, a ty chcesz teraz ze mną rozmawiać, chcesz mnie uspokajać, chcesz zgody. Twoja bezczelność i tupet przerastają mnie od kiedy cię znam, dlatego musisz umrzeć z moich rąk. Musi być chociaż pieprzony remis. Wyprucie ci flaków będzie sprawiedliwością, o którą tak długo walczyłam. Nie zamierzam opuszczać tego padołu z myślą, że nie spróbowałam wyrównać rachunków, to po prostu niegodne, nieludzkie. Umrzesz dla dobra ogółu, dla idei, z moich rąk. Bo tak chceprzeznaczenie, bo tak chcę ja!

Skoczyła w moją stronę niczym małpa w zoo, chcąc mnie zabić, a jeszcze przed chwilą bezbronne paliłem sobie papieroska, rozmyślając chuj wie o czym: o przekłętym złamanym sercu, niespełnionych ambicjach i wszystkich pierdołach umilających palenie fajki i upływający czas, na tym, jak ona powiedziała, „padole”. Najbardziej zdziwiło mnie jedno, jak wielkie pojawiło się we mnie pragnienie życia. Chciałem przetrwać, nie mogłem zginąć, nie teraz. Przez chwilę pomyślałem sobie, że może śmierć rąk mej wybranki będzie właśnie przeznaczeniem. Pokrótce zgadzałem się ze wszystkim, co mówiła, lecz paląca się ostatnia iskierka wewnątrz mojego jestestwa nie mogła pozwolić, żebym to właśnie dzisiaj poległ z rąk tej wariatki. Nie chciałem, aby poczuła satysfakcję, że jej się udało, co faktycznie mogło oznaczać, jak wielkim jestem egoistą, ale w tym momencie w ogóle mnie to nie interesowało.

Jedynego czego jej teraz nie mogłem odmówić, to tego, że była niespodziewanie szybka. Przez większość życia uważałem ją za ślamazarną i ciężką zarówno w ruchach fizycznych, jak i postępowaniach umysłowych, lecz teraz zmierzała w moją stronę kocim ruchem.

Ostrze zabłyszczało w powietrzu skierowane w moją stronę. *Kochanie, kochaniutka*, myślałem sobie teraz, *jesteś tak odważna, tak przebiegła, tylko nic z tego*. Ten ułamek sekundy, który właśnie teraz mija, jest dla mnie całą wiecznością i jeszcze nie wiesz tego, co zrobię. Nie wiesz, że złapię twój nadgarstek, broniąc się przed ciosem, skierowując całą siłę ataku w twoją stronę. Niech jeszcze to trwa, niech nóż szybuję w moją stronę niczym orzeł ze swoim spiczastym dziobem po niczego nieświadomą myszkę. Wiem, że nawet nie poczułbym bólu, to byłoby lekkie ukłucie, nawet pojawiałyby się ulga, ale za to wiem, co poczuję, jak przyjdzie mi cierpieć po tobie. To nie będzie przyjemne, było czasami lepiej, czasami gorzej, sam nie byłem idealny, też miałaś swoje wady, lecz nie będę skakać z radości, jak tylko nóż przetnie twoją krtani. Usiądziemy razem i będziemy się dziwić, że tak właśnie to miało się potoczyć. Nie inaczej, kochaniutka.

Jej twarz teraz nie wyrażała niczego. Była oazą obojętności, co nawet mi zaimponowało, że chce mnie zabić z zimną krwią, mały plusik na sam koniec.

Złapałem jej nadgarstek i drugą dłonią skierowałem nóż w jej stronę, z całym impetem, niczym z trampoliny, ostrze wbiło się w szyję, głęboko. Poczulem, jak miękko wchodzi, zatrzymując się na kości.

Moja wybranka, moja ostoja cichutko jęknęła, a światło w jej oczach zgasło. Jedynego co mogłem wyczytać, to jak bardzo mnie nienawidzi.

— Też nie mogę w to uwierzyć — odparłem, wciąż trzymając mocno rękojeść noża. Kochałem cię, mimo wszystko. — Szarpnąłem nóż w swoją stronę, z jej krtani wystrzeliła fontanna gorącej krwi, ochlapała mnie całego, parzyła mnie. Przez chwilę pomyślałem, że nie jest to krew a kwas z akumulatora, który wyżre we mnie dziury na wylot.

— Śpij, śpij na zawsze.

Jej ciało walnęło niczym worek kamieni na podłogę, czerwona breja rozlewała się w hipnotyzującym tempie. Koilo mnie to, czulem, że wolność jest mi pisana, a jej kolor to karmazyn. Pieprzony karmazyn.

Deszcz ustał wraz z nadejściem wieczora, ciepłego i pełnego wakacyjnej aury. Woda parowała z rozgrzanych murów osiedla, a myśl, że koniec ma nadejść za parę godzin, dodawała mi otuchy, pałac ostatniego papierosa. Pomyśleć, że skończyłem dzisiaj całą paczkę, a miałem przecież poczucie pełnej kontroli nad nałogiem, który był tylko poprawiaczem chwiejnego nastroju. *Chrzanić to, pomyślałem, zejść do sklepu, po następną paczkę, jak się zadusić, to porządnie.*

Miasto żyło, tak jak żyło zawsze, wieczór, tuż przed weekendem, wpływał na wszystkich kojąco. Czuć było spokój i luz.

Sam od jakiegoś czasu nie wiedziałem tak naprawdę, co to znaczy mieć wolne, a co to znaczy pracować. Żyłem z pisania i tym się trudziłem, zarówno w czasie dnia, jak i w czasie nocy. Czy byłem pisarzem, dziennikarzem, czy redaktorem - na jedno wychodziło. Pisałem to, co trzeba było pisać: na zlecenie, bez zlecenia, pod pseudonimem, pod własnym nazwiskiem, historie prawdziwe, jak i te zmyślane. Taki układ na wpół znanego piszącego człowieka pozwalał mi uniknąć odbijania karty codziennie w zakładzie. Żyć, nie umierać. No prawie. Bo świata miało już nie być, a ja jedynie mogłem usiąść i pisać, nic więcej.

Nie wiem, czy to co się dzieje, jest w czasie przeszłym, przyszłym, a może ma miejsce w teraźniejszości. Niech ten zlepek myśli naprzemiennie, bez kontroli, sam sobie zadecyduje, w jakim czasie chce trwać i najważniejsze - po co.

Kurwa, nie wiem, czy na balkonie stoję teraz, stałem kiedyś, a może dopiero będę stać. Nieważne, historia jest prawdziwa, a największym dowodem na to jest ciało tej wariatki zwinięte w dywan i wepchnięte do wersalki. Na jakiś czas. Niech kiśnie. Nic mi tu po niej, zakończyła swój żywot w podobny sposób, do tego jak przeszła przez życie, bez sensu. Była pustą puszką, tułającą się po oceanie, bez żadnego konkretnego celu, tylko po to, aby może wylądować, kiedyś na jednej z bezludnych wysp, wmawiając sobie, że to właśnie raj. Kochana moja, ten raj nigdy nie istniał, nasza szarość była właśnie tą krainą, ale nie mogłaś tego zrozumieć. To nic, tobie i tak już bez różnicy.

Tylko muszę dotrwać jeszcze parę godzin, aby ostatecznie ktoś zgasił światło na zawsze.

Chciałem położyć się spać, ale było za pięknie, noc, deszcz i ten przygnębiający smutek harmonizujący razem z otaczającą mnie aurą przywodził na myśl same przyjemne

odczucia. Czułem jak wewnątrz mnie gra orkiestra, przez ciało przechodzi prąd, który zachęcał do tańca. Mogła to być ulga, na którą czekałem tak długo, wiem, że warto było, bo deszcz zalewający miasto był specjalnie dla mnie, to był hołd dla wszystkich, którzy teraz palili na swoim balkonie, zostawiając za sobą wszystko. Mogłem wiele, lecz nic już nie musiałem, jedynie jeszcze raz pomyślałem o dniu, kiedy spotkałem tę jedyną.

Byłem już trupem, a każdy ostatni oddech jakby udawany. Ona leżała martwa w wersalce, niedługo do niej dołączę, lecz liczyłem po cichu, że nie spotkamy się już nigdy więcej.

Nie. To musi być koniec. Ciemność na zawsze.

Tak przyjemnie, lecz pora pójść spać, niech to wszystko wydarzy się w moim śnie, tak będzie łatwiej.

Położyłem się zmarznięty na wersalce, przykryłem kocem i jedynie, o czym pomyślałem, że całe moje jestestwo przeminęło pod znakiem „jednego papierosa za mało”.

Spać. Kochanie, aby tradycji stało się zadość śpimy razem, w tym samym łóżku, ty na dole, ja na górze.

Nic mi się nie śniło. Spałem mocno, bez pobudek i nocnych wyjść do kibla, niczym dziecko w bezpiecznym kokonie. Słońce wpadało przez nie do końca zasłoniętą żaluzję, kłuło mnie w oczy, ale też miało w sobie słodki posmak zwiastujący dobry dzień. Troszkę mnie suszyło od wieczornego papierosa i wciąż czułem, jak do moich powiek przymocowane są malutkie ciężarki, nie pozwalające w pełni odczytywać obrazu.

Wiedziałem jedno, jest beznadziejnie, a to oznaczało, że koniec nie nadszedł, a ja kręcę się nadal wraz z miliardami zagubionych dusz. Pewnie nadaremno, tylko po to, aby trwać. Niedobrze, bo kiedy stawia się wszystko na jedną kartę, nie mając nic do stracenia, tak naprawdę nie myślimy o porażce, jesteśmy już z nią pogodzeni. To co się wtedy liczy, to fart od losu i najgorsze, iż właśnie nie wiedziałem, czy wygrałem, a może przegrałem. Nie potrafiłem sobie odpowiedzieć na to druzgoczące mnie pytanie. Liczyłem na ciemność, dostałem wschód słońca, na przekór, nie inaczej. Dlaczego koniec miał okazać się nowym początkiem? Przecież, do jasnej cholery, nie wierzyłem w nowe rozdziały. Byłem w ciągu, który miał się skończyć, ale tak się nie stało. Nie wiedziałem w tym momencie, dlaczego, ale miałem pewne przypuszczenie, a było nim spotkanie ciebie parę dni wcześniej na ulicy po tyłu

latach. Zburzyłaś mój koniec świata, od zawsze niszczyłaś wszystko na swojej drodze. Rozszarpywałaś na miazgę swoimi zaostrzonymi pazurami, dawno temu wyrwałaś moje serce i zrobiłaś z niego papkę. Muszę żyć dalej, tylko po co?

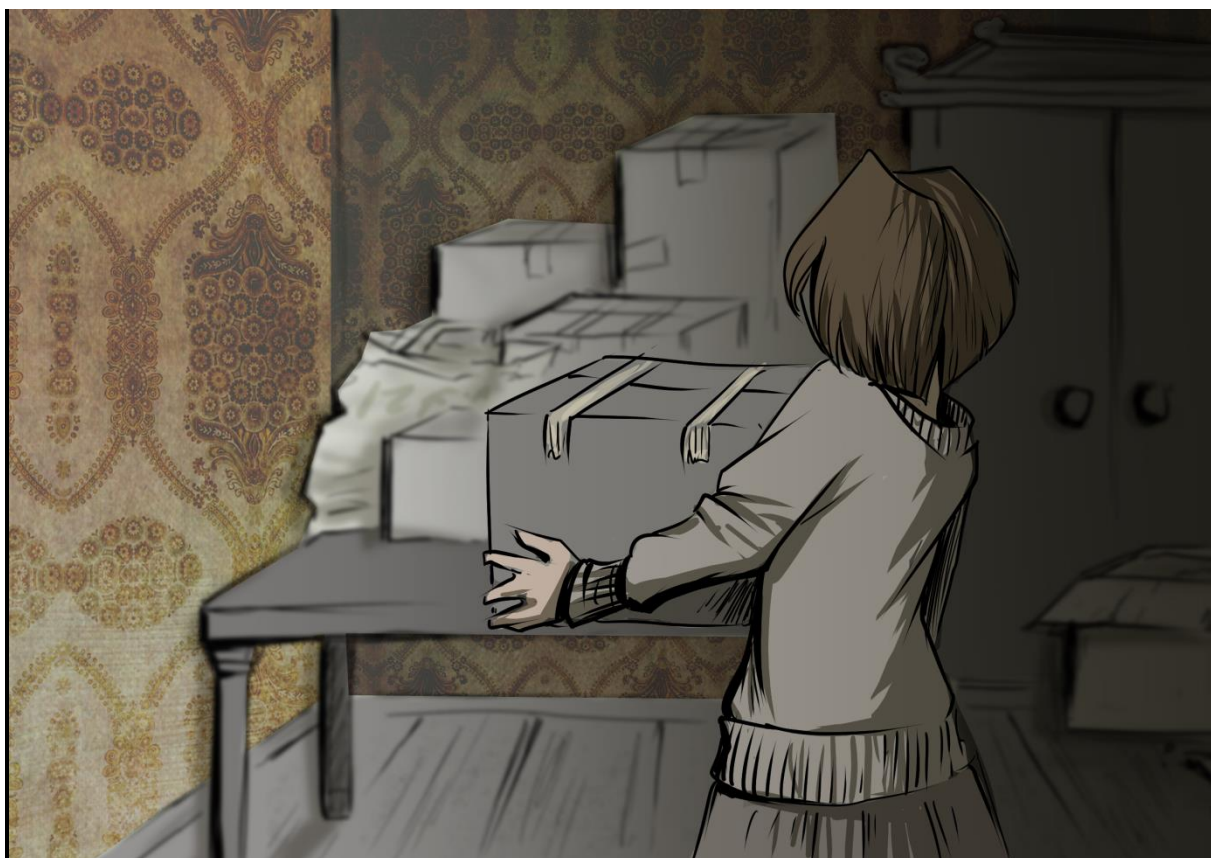
Wstałem, odsłoniłem okno, faktycznie dzień w pełni, z mojego ósmego piętra wszystko wydawało się nierzeczywiste, zmyślane, lecz wbrew pozorom krajobraz był nad wyraz ludzki i spójny z tym, co znałem od zawsze. Samochody na parkingu, parę drzew, śmierzący śmietnik, wszystko opatulone aurą betonu, a pomiędzy tym wszystkim spacerujące głowy. Też przetrwali, też dostali szansę, niebawem.

Wszedłem na balkon, w słoiku niedopałki z ubiegłego wieczora przypominały mi o końcu, który miał nadejść, a nie nadszedł, co samo w sobie - nie wiedzieć dlaczego - grzało mnie na serduszku. Wyglądało na to, iż nie można być pewnym wszystkiego, nawet apokalipsy. Samotny na tym klaustrofobicznym kawałku przestrzeni czułem się jak Bóg, spojrzałem na to wszystko z góry i w myślach przekląłem samego siebie. Złapałem za barierkę i poczułem, że jedynym wyjściem jest uniesienie się ku górze, przeskoczenie, uwolnienie się od tego, co chce przeznaczenie.

Cholera, jaki piękny zapowiadał się dzień, aż szkoda umierać. Puściłem barierkę. Musiałem to i owo poukładać sobie w głowie. Może zacząć od nowa? Nawet jeśli nie mogłem liczyć na nowy rozdział, to zawsze mogłem oszukać sam siebie, że właśnie tak będzie - zacznę wszystko od początku, zakopując przeszłość pod solidnym grobowcem.

Wróciłem do pokoju, spojrzałem na wersalkę, po czym ją otworzyłem. Leżała zawinięta w dywan, z językiem na wierzchu i miną nie pozostawiającą złudzeń, że śmierć maluje na twarzy barwy obojętności. I właśnie taka byłaś, jak się poznaliśmy, obojętną, uczucia przyszły z czasem, co było sztuczne, zaplanowane, dlatego właśnie teraz leżałaś tutaj, bez szczęśliwego zakończenia.

Zamknąłem wersalkę. Coś musiałem zrobić z ciałem, ale strasznie byłem głodny, a przede wszystkim potwornie chciało mi się palić. Nie mogłem dłużej czekać, przecież dopiero co się narodziłem, a rzeczywistość nie miała być dla mnie litościwa. Nigdy więcej.



DOBRE SĄSIEDZTWO

Monika Godlewska

– Poprzednia właścicielka twierdziła, że miała naprawdę dobre sąsiedztwo - odezwałam się, gdy tylko wjechaliśmy do miasta. Na horyzoncie kłębiły się burzowe chmury, ale powietrze nie było parne. Ścisnęłam mocniej kierownicę.

– Skoro tak, ciekawe dlaczego postanowiła sprzedać to mieszkanie - odparł Julian, nawet nie próbując ukryć niezadowolenia. Nie patrzył w moją stronę.

Zapadła cisza, która ostatnio zastępowała nam kłótnie. Choć od ślubu minęły dopiero dwa lata, iskier już dawno pomiędzy nami nie było, zgrzytów też nie. Zostały niedopowiedzenia, które skrzętnie skrywaliśmy pod płaszczykiem wycofania. Wzajemne pretensje rozpierzchały jak karaluchy, próbujące kryć się po kątach w poszukiwaniu cienia.

Westchnęłam ukradkiem. W momentach takich jak ten zastanawiałam się, dlaczego wciąż czuję do niego miłość. Obezwładniającą miłość. Mieszała się z dumą, że ten mężczyzna jest mój.

Ostatnio mieliśmy pewne problemy.

Ta przeprowadzka miała stanowić nowy początek, ale obydwójce wiedzieliśmy, czym była naprawdę. Pokutą. W tamtym mieszkaniu, w tamtym mieście coś poszło nie tak, a Julian zaczął wymykać się z moich rąk. Terapia małżeńska dała nam świeże spojrzenie i chęć, by dać sobie szansę. Zmiana otoczenia jedynie miała to pogłębić.

Zatrzymałam samochód pod kamienicą stylizowaną na starodawną. Nigdy nie umiałam właściwie docenić powabu architektury. Te wszystkie stiuki, gzymsy, płaskorzeźby nie robią na mnie wrażenia. Budynek wyglądał bardzo elegancko, a mieszkanie było duże. Tak duże, że nasza dwójka łatwo mogła się w nim zgubić. Na każdym piętrze były jedynie dwa mieszkania. To należące do nas mieściło się po południowej stronie i według zapewnień agentki nieruchomości, słońce wpadało do środka przez większą część dnia. Mieszkanie naprzeciwko niemal bez przerwy skryte było w cieniu. Wysiadłam i mimowolnie uniosłam głowę. Ciężkie chmury dogoniły nas i wisiały nisko nad miastem. Julian odchrząknął. Weszliśmy na klatkę schodową wspólnie i w milczeniu.

Nasze mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze. Można było dostać się tam windą, także z dawnym sznytem, ale my wybraliśmy schody, wydeptane i ciasne. Nie mieliśmy ze sobą walizek; rzeczy przybyły już dawno. Julian gmerał przy zamku. Stukot kluczy dawał mi do zrozumienia, że mojemu mężowi bardzo trzęsą się ręce. Byłam odwrócona do niego plecami. Wpatrywałam się w drzwi naprzeciwko, myśląc o dobrym sąsiedztwie. Nie dochodziły zza nich żadne odgłosy, jakby tamto mieszkanie stało puste.

– Myślisz, że kim oni są? - zapytałam.

– Kto taki?

Kiwnęłam głową w stronę naszych sąsiadów.

– Oni.

Mąż już otworzył drzwi i wszedł do środka, uznając zapewne, że dzięki temu nie musi mi odpowiadać. Ruszyłam za nim.

Milczenie Juliana doprowadzało mnie do szału, ale nie narzekałam. Dopóki był obok, dopóki do mnie wracał, nie potrzebowałam niczego więcej. Sądziłam, że znowu zacnie mnie kochać. Mieliśmy sześć pokoi i dwie łazienki oraz rozległą kuchnię. Wysokie sufity wzmagaly wrażenie przestrzeni. Wszystkie meble pozostały na swoich miejscach, opustoszałe. Najpierw chodziliśmy po pomieszczeniach, a nasze kroki dudniły w uszach jak

przepływ krwi. Kartony z rzeczami stały w największym pokoju. Julian zatrzymał się przy nich i spojrzał na mnie z powagą.

W ciągu kolejnych kilku dni głównie rozkładałam ubrania w szafach i ustawiałam książki. Julian zajął się wyposażeniem kuchni, bo tego nie znosiłam, choć uwielbiałam gotować. Niewiele ze sobą rozmawialiśmy, a jeśli już, to o aktualnych sprawach. Właściwe ułożenie talerzy urosło do rangi wydarzenia. Dostrzegaliśmy, jak bardzo nasze rzeczy nie pasują do wystroju, ale żadne z nas tego nie skomentowało. Mieszkanie utrzymane było w ponurych barwach - ciemne parkiety, meble z hebanu, ściany pokryte tapetami w esyfloresy. Kiedy spoglądałam na te wzory, odnosiłam wrażenie, że się ruszają, wiją niczym cała masa żuków o połyskliwych, czarno-zielonych pancerzach. Julian również spoglądał na ściany, ale milczał.

Kiedy ja zostawałam w domu, on już rozpoczął pracę w nowej filii. Jego dotychczasowy przełożony znał sytuację. Wiedział, że naszym głównym problemem – a raczej problemem Juliana - była sekretarka, szczupła brunetka o wesołym spojrzeniu. Wcale jej nie winię. Jeśli mam kogoś winić, to Juliana. To mnie obiecał kochać aż do śmierci; tamta dziewczyna niczego mi nie obiecywała. Dowiedziałam się o romansie męża tak prozaicznie, że zakrawało to niemal na obrazę. Nawet się z nim nie krył, więc po prostu ich zobaczyłam, gdy wracali objęci z kawiarni nieopodal cmentarza. W jego rzeczach odkryłam resztę dowodów. Nie zaprzeczał, nie bronił się. Moje oskarżenia zbył ruchem ramion, jakby ta miła dziewczyna była czymś nieważnym, zaledwie chwilą zapomnienia. Zgodził się na wszystko - na terapię, na codzienne rozmowy, które ciągnęłam bez przyjemności, wreszcie na przeprowadzkę. I milczał. Zarobkowo pisywałam do gazety, zatem mogłam zająć się domem. Kiedy Julian opuszczał mieszkanie, a ja zostawałam sama, zamierałam na kilka chwil i nadstawiałam uszu. Próbowałam usłyszeć, że z mieszkania za ścianą dobiegają odgłosy codzienności - melodia skrzypiec, trzaski z odbiornika, stukot garnków. Jednak wciąż niczego nie słyszałam. Aż do dnia, gdy winda zaskrzypiała, a na naszym piętrze rozległy się kroki i cicha rozmowa. Podkradłam się do drzwi i zerknęłam przez wizjer. Stali zwróceni do mnie tyłem, kobieta i mężczyzna, ubrani na ciemno. Ona otwierała drzwi, on stał za jej plecami, blisko. Miała czarne włosy, ułożone na boba - jak ja - i szczupłe dłonie o paznokciach pomalowanych na czerwono. Też jak ja. On był łyсы, wysoki i barczysty. Kobieta odezwała się, lecz nie dosłyszałam słów. Mężczyzna zaśmiał się w odpowiedzi. Weszli do środka nim zdążyłam zdecydować, czy chcę ich poznać. Wróciłam do sypialni, gdzie rozwieszałam zdjęcia z naszej podróży poślubnej. Lazur morza za nami ładnie współgrał z ciemną tapetą.

– Widziałam ich – oznajmiłam przy kolacji. Do tej pory jedynie stukały sztućce. Julian uniósł brwi. – Naszych sąsiadów. Myślę, że jesteście równolatkami. To dobrze.

– To dobrze – zgodził się. Mój uśmiech był kropką w tej rozmowie.

W ciągu kolejnych dni przerywałam czynność i zamierałam, nasłuchując za każdym razem, kiedy tylko doszły mnie odgłosy zza ściany. Na palcach podchodziłam do drzwi, byle tylko dojrzeć sąsiadów. Niestety, nigdy nie udawało mi się tego dokonać i musiałam zadowolić się widokiem głowy kobiety - włosy czarne i lśniące jak pancrzyk chrząszcza - znikającej za rogiem. Przeklinałam pod nosem i wracałam do przerwanej zajęcia. Wzory na ścianach wiły się i falowały, niemalże szemrząc. Pewnego dnia z jednego z pudeł wyleciała chmara ciem, a ja odskoczyłam z okrzykiem wstrętu. Nocne motyle rozleciały się we wszystkie strony, chaotycznie. Niektóre podleciały do okien, by bez końca tłuc główkami o szkło. Inne zwróciły się w stronę zapalanej lampy i skończyły, skwiercząc na żarówce. Później palcami chwyciłam ich powykręcane truchelka i wyrzucałam do śmietnika.

Noce spędzałam na nasłuchiowaniu i czułam radość zawsze, gdy do moich uszu dochodziły pomruki rozmów. Czasami stukały drzwiczki szafek, czasami łóżko małżeńskie skrzypiało. Julian spał u mojego boku, otulony swoją kołdrą. Pod oknem sypialni stała latarnia; jej światło, srebrne niczym blask księżycy, wpadało do środka, odbijając się w lustrze mojej toaletki, w komodzie na wysoki połysk i na gładkiej czaszce Juliana, który spał, zwrócony do mnie plecami. Spoglądałam na niego z taką czułością, jak niegdyś. Każdy mijający dzień odbierał naszemu małżeństwu słodycz, ale i tak jego obecność dawała mi szczęście. Spoglądałam na niego z zachłannością posiadacza. Czasami delikatnie kładłam dłoń na jego ramieniu. Jest mój, myślałam w ciszy sypialni. Tylko i wyłącznie mój. I niczyj więcej.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu opuściłam mieszkanie, bowiem zabrakło nam cukru. Wprowadziliśmy się już na dobre, wciąż nie znaleźmy pary zza ściany, Julian każdego dnia całował mnie na pożegnanie i wychodził do pracy. Robiłam sobie kawę, zastanawiając się w duchu, czy kobieta z naprzeciwka też ją pije. Wyobrażałam sobie ich mieszkanie, urządzone w całkiem innym stylu niż nasze - ascetyczna elegancja, dużo czerni i bieli, mało ozdób, ściany ogołoczone ze wszystkiego, co zbędne. Wyobrażałam sobie, jak moja sąsiadka przygotowuje kawę w przestronnej kuchni: dwie łyżeczki, jak ja to robiłam, później łyżeczka cukru, również jak u mnie, a na końcu odrobina mleka. Mój kubek był duży i różowy; jej powinien być biały, kanciasty, o delikatnym, złożonym brzegu. Nasze dłonie, tak do siebie podobne, długie, wąskie palce o ostrych czerwonych paznokciach, zaciśnięte na kubku. Nasze oczy wpatrzone w uliczny ruch. Oceniające, pozbawione zrozumienia dla tłumu pod oknami

spieszącego do pracy. Rozumiałybyśmy się, ja i ona, fantazjowałam o tym, spoglądając w dół, na chodnik. Przecież tyle nas łączyło. Nawet cisza dobiegająca z jej mieszkania była tą samą ciszą, która na co dzień towarzyszyła także i mnie. Tamtego ranka zabrakło cukru i moja kawa pozostała niedokończona, a ja nie potrafiłam pracować bez ulubionego napoju. Właśnie dochodziła dziesiąta. Otrzymałam zlecenie na kolejny artykuł na temat nierówności płac. Zdecydowanie nie mogłam pisać go bez kawy. Ubrałam się więc, narzuciłam na siebie ciemny, wełniany płaszcz, gdyż dni były już chłodne i podzwaniając kluczami, wyszłam. Zamykałam właśnie drzwi, kiedy te naprzeciwko uchyliły się, trzasnęły, a ja poczułam czyjaś obecność za moimi plecami. Nie wyjmowałam klucza z zamka. Odwróciłam się powoli.

Moja sąsiadka, kobieta, o której ostatnimi czasy tyle myślałam, stała dokładnie naprzeciwko mnie, zamykając drzwi. Najpierw widziałam, jak zwykle zresztą, tył jej głowy i włosy, lśniące i gęste oraz plecy. Miała na sobie ciemny płaszcz. Przybrałam miły uśmiech. Musiałam naprędce wymyślić jakieś powitanie. Powinnam zacząć uprzejmie czy raczej pozostać elokwentna? To był trudny wybór. Sama nie wiedziałam, ale czułam, że muszę zrobić wrażenie. Nie miałam przyjaciół, ani w naszym poprzednim życiu, ani tym bardziej tutaj. Julian był wszystkim, co posiadałam. Jej również pragnęłam, tej kobiety o nieznanym mi imieniu i nazwisku, o nieznannej twarzy, o nieznannej osobowości. Kimkolwiek była, pragnęłam jej. Zamknęła drzwi i powoli odwróciła się w moją stronę. Odgarnęła włosy z twarzy, potrząsnęła głową i uśmiechnęła się. Zamarłam.

Stała przede mną, milcząca i uśmiechnięta, a ja spoglądałam na nią i równocześnie spoglądałam w lustro, bowiem osoba, którą miałam przed sobą, była mną. Miała moją twarz i moje włosy, moją szczupłą dłoń z pomalowanymi na czerwono paznokciami, nosiła mój wełniany płaszcz i moje buty. Nawet delikatny makijaż był wykonany dokładnie tak samo, jak ja go wykonywałam. Milczała, bo i ja milczałam. Wpatrywała się we mnie. Rozwarłam szeroko powieki; ona też, ale w jej oczach czaiło się coś drapieżnego, podobnie jak w uśmiechu. Był mój i jednocześnie wcale nie był. Otworzyłam usta, ale słowa nie chciały ich opuścić. I tak nie miałam pojęcia, co powinnam powiedzieć. Druga Ja wybawiła mnie z tego kłopotu. Westchnęła i wyciągnęła w moją stronę dłoń - moją dłoń - jakby oczekiwała, że ją uściskam. Kiedy się nie poruszyłam, zrezygnowała. Nie wydawała się być urażona. Wzruszyła ramionami.

– Dobrego dnia – odezwała się moim głosem i przekrzywiła głowę. – Skończył się nam cukier. Przytaknęłam, sama nie wiedząc dlaczego. Zaśmiała się wdzięcznie, tak jak ja czasami to robiłam, i szybko zbiegła po schodach, pozostawiając mnie samotną przy drzwiach.

Przez dłuższy czas nie potrafiłam ruszyć się z miejsca, a w głowie mi huczało. Wreszcie wyszłam z budynku niemal na oślep i ze ściśniętym gardłem ruszyłam w stronę pobliskiego sklepiku. Mnie Drugiej tam nie było.

Nie powiedziałam Julianowi o tym spotkaniu. Jeśli zauważył, że urwałam temat sąsiedztwa, zignorował to. Miał wówczas wiele pracy, jak twierdził, często zostawał do późna i wracał do domu, kiedy szykowałam się do snu.

Prawie nie spałam i nie jadłam, dzieląc swoje dni na wystawaniu w oknie, kiedy Druga Ja wychodziła z mieszkania oraz na czatowaniu przy ścianie w salonie, skąd - jak odkryłam - najlepiej słyszało się dźwięki. Musiałam wiedzieć. Z przymkniętymi powiekami wsłuchiwałam się w miarowe kroki, w niezrozumiałe dla mnie rozmowy, jakie prowadziła z mężem. Z drugim Julianem, choć ja nigdy nie napotkałam go na korytarzu i nie miałam okazji zamienić z nim choćby jednego słowa. Mówiła do niego ściszone głosem, jakby wiedziała, że ich podsłuchuję. Palce świerzbiły mnie, by spisywać ich dialogi, a później odczytywać tak, jak odczytuje się sztukę - modulując głos, z podziałem na role.

Julian przestał jadać w domu, bo rano żerowałam w salonie, głodna wieści po nocnej przerwie i nie miałam czasu na zrobienie śniadania. Wieczorem przychodził zbyt późno na kolację i zastawał mnie siedzącą na podłodze, opartą plecami o ścianę. Całe dni spędzałam w tej samej piżamie, jedwabnej i jasnej, wyraźnie odcinającej się od ciemnej tapety. On stołował się na mieście, ale ja nie jadłam niczego. Produkty w lodówce stały i pleśniały, podczas gdy nie mogłam zmusić się, by przejść do kuchni choćby na chwilę. Nie mogłam uszczknąć nawet sekundy z dnia tej Drugiej.

Przerwę robiłam na sygnał dźwięku kluczy. Druga Ja wychodziła z mieszkania codziennie o tej samej porze, około godziny dziesiątej i wracała tuż przed południem, osłaniając twarz dłonią, jakby cierpiała na światłowstręt. Przemykała korytarzem od windy do swoich drzwi i otwierała je prędko. Obserwowałam ją przez wizjer i wracałam znowu do salonu, do miejsca pod ścianą, z dnia na dzień coraz wolniej, coraz słabsza, brudniejsza i senna.

Julian zauważył to, gdy wrócił z pracy i zastał mnie siedzącą pod ścianą w środku nocy. Nawet nie spostrzegłam, że wszedł do mieszkania. Odgłosy sąsiadów były ważniejsze od tego, co rozgrywało się za naszymi drzwiami. Bo, w przeciwieństwie do Drugiej Mnie, w moim domu nie rozgrywało się zupełnie nic. Moja sąsiadka prowadziła udane życie, rozmawiając i śmiejąc się, stukając naczyniami. Mimowolnie czułam się jego częścią. Julian stanął w progu pokoju. Był zły.

Zdziwiłam się na widok jego miny, od tak dawna traktował mnie z obojętnością.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał. Spokój w jego głosie był tylko pozorny. Wzruszyłam ramionami.

– Idź do łóżka – polecił, zbliżając się. Nie wstałam, sama nie wiem, czy dlatego, że nie miałam już na to siły, czy dlatego, że nie miałam na to ochoty. A może jedno i drugie. Julian stał więc nade mną, pochylony. W pokoju panował półmrok, rozproszony jedynie światłem dobiegającym z przedpokoju. Cień spowił twarz mojego męża, jakby wcale jej nie miał.

Zza ściany dobiegł nas trzask, jakby ktoś strącił z półki wazon, a później uniesiony głos. Nie tylko my się kłóciliśmy; Drudzy My również. Spoglądałam na męża, ale tak naprawdę widziałam oczami wyobraźni Drugą Mnie, , elegancko cedzącą zdania, wściekłą, ale spokojną. Tak bardzo różną ode mnie, choć nosiłyśmy tę samą twarz.

– Nie – odpowiedziałam.

Julian aż sapnął z gniewu. Chwycił mnie za ramię i pociągnął. Zachwiałam się, ale nie pozwolił mi upaść. Wyrwałam rękę z jego uścisku, aby oprzeć się o ścianę. Nie mogłam znieść jego pomocy.

– Jak ty wyglądasz? – warknął, oddychając ciężko. Pokręcił głową. W jego oczach czaił się wstręt. – Spójrz na siebie. Nie śpisz, nie myjesz się, nie jesz... wysiadujesz pod tą ścianą, zaniedbujesz własne zdrowie, byle tylko wiedzieć, co u nich słychać...! Co ty wyprawiasz, na litość boską?! – podniósł głos. – Usiłujesz się zabić?!

Patrzyłam na niego, jednak myślałam wyłącznie o ciszy za moimi plecami. Świat w mieszkaniu obok umilkł. Wpadło mi do głowy, że może Druga Ja teraz stoi dokładnie po drugiej stronie i nasłuchuje, tak jak ja. Przykłada ucho i ucisza męża, byle tylko wiedzieć, o czym ja mówię. Nie różniła się ode mnie tak bardzo. Przecież byłyśmy jedną osobą.

Uniosłam dłoń, by w razie potrzeby uciszyć Juliana. To mu się nie spodobało.

– Mam tego dość. Dość – powtórzył cicho, ale dobitnie. – Mam ciebie dość. To nie ma sensu. Odchodzę – zagroził.

– Nie zrobisz tego. Daj spokój.

To zirytowało go jeszcze bardziej. Zacerpnął tchu, odwrócił się na pięcie i skierował kroki do przedpokoju. Ruszyłam za nim, trzymając się ściany. Wszystko dokoła mnie wirowało, a ja ledwo dałam radę ustać na nogach. Miałam wrażenie, jakbym stąpała po zastygłym budyniu.

– Co ty wyprawiasz? – Teraz to ja zadałam to pytanie. – Julian...! Chyba nie wyjdiesz...?!

– Oczywiście, że wyjdę. Znosiłem to wystarczająco długo. Jutro albo pojutrze wrócę po rzeczy.

– Julian... – wyszeptałam. Łzy pociekły mi po policzkach. – Proszę cię...

Otworzył drzwi. Przez chwilę stał w progu, sama nie rozumiałam, czy to dlatego, że szykuje się do konfrontacji, czy dlatego, że się waha. Wyciągnęłam rękę ku niemu, ale wyslizgnął się spod moich palców.

– Nie idź... – wyszeptałam, zanim zatrzasnął za sobą drzwi. Jego kroki zastukały na korytarzu, gdy zbliżył się do windy, a później usłyszałam szcęk otwieranego zamka. Zapadła cisza. Stałam w przedpokoju, ledwo ośmielając się oddychać. Wpatrywałam się w drzwi, czekałam na ich ruch. Czekałam na jego wrzask. Czekałam na jej głos. Sama już nie wiedziałam, na co czekałam. Stałam tam długo, stałam tam całą noc, a Julian nie wracał. Drzwi do mieszkania pozostawały zamknięte. Nie miałam siły, by iść za nim. Kiedy przez okna do środka wpadła szaruga świtu, moje powieki opadły. Dłużej nie dałam rady czuwać i osunęłam się bezwładnie na podłogę.

Budzi mnie blask bijący z pustej kuchennej podłogi. Poranne słońce wpada przez okna i odbija się od białych kafelków. Otwieram i niemal od razu mrużę powieki. Czuję mdłości. Podźwigam się na łokciach i pochyliwszy nisko głowę, wyrzucam z siebie lepka maź, której nitki zwieszają się z moich ust. Ocieram je wierzchem dłoni. Podpełzam po podłodze do okien i zasłaniam je. Głowa przestaje mnie boleć dopiero wtedy, gdy całe mieszkanie spowija półmrok. Siadam w kącie pokoju, drżąc. Wreszcie czuję się lepiej.

Oczekuję na powrót Juliana, ale nie przychodzi w ciągu kolejnych dni. Spędzam cały ten czas przycupnięta w kącie, czasami na podłodze, a czasami wspinam się po ścianie aż pod sufit, by wędrujące słońce, które wpada do środka przez szpary w zasłonach, mnie nie dosięgło. Tęsknotę zastąpił głód. Najpierw sięgnęłam po ćmy, które nie zginęły w lampach, lecz ich trzaskające pomiędzy zębami odwłoki niezupełnie zaspokoily moje łaknienie. Nie otwieram lodówki, bo nie mogę znieść ostrego światła, jakie z niej padało.

Tej nocy, gdy głód uderza ze zdwojoną siłą, z drzemki budzi mnie dźwięk dzwonka. To nie może być Julian, ale nie potrafię okiełznać ciekawości. Powoli spuszczam się na podłogę. Moje kroki szurają w ciszy. Powoli zbliżam się do drzwi wyjściowych. Klamka ustępuje. Korytarz tonie w ciemnościach. Drzwi naprzeciwko są uchylone. To jest lustrzane odbicie naszego mieszkania. Kiedy jeszcze o tym myślałam, sądziłam, że jest elegancko urządzone, ale myliłam się. Stoi puste, całkowicie pozbawione umeblowania, огоłocone ze wszystkiego. Ściany i podłogi pokrywają nitki lepkiego kurzu, które kleją mi się

do ciała, kiedy przechodzę, wiedziona ciekawością. Szukam w nim Drugiej Mnie . Znajduję ją w salonie, tym, którego ścianę dzielimy. Siedzi w tym samym kącie, w którym ja przesiadywałam. Gdy zatrzymuję się w progu, zwraca ku mnie czarne oczy. Odsłania zęby w uśmiechu. Wszystkie cztery dłonie opiera o ciało Juliana, a raczej o to, co mogę dojrzeć pomiędzy splotów śliny, którą jest owinięty. Druga Ja kiwa głową, bym podeszła i poczęstowała się.

- Teraz już zawsze będzie z nami - mówię, podchodząc bliżej, a ona przytakuje.

Wracam do mieszkania, ciągnąc za sobą Juliana. Druga Ja kryje się w mroku, czujna i uśpiona do chwili, gdy znowu będę jej potrzebować. Zamykam za sobą drzwi. Jestem zmęczona i senna, lecz wreszcie mój głód został zaspokojony. Juliana umieszczam w naszym łóżku. Zza zasłony przenika ostre światło świtu, wyraźny znak, że czas na sen. Zerkam w lustro przy toalecie i uśmiecham się. Wracam powoli do siebie. Teraz nie wejdę po ścianie pod sufit, tak długo, jak mam przy sobie Juliana, pozostanę w tej formie. Żywię się miłością do niego i jego ciałem, które daje mi ludzką formę. Prócz oczu. Tylko oczy pozostały wielkie i całe czarne, wrażliwe na światło. Kładę się obok mojego męża i wtulam w jego ramiona, po raz pierwszy od dawna czując całkowicie spokój i szczęście.



DOM PANI NYX

Robert Zawadzki

Kiedy zapytałaś, skąd u mnie takie przywiązanie do higieny snu, naprawdę nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Stałe godziny zasypiania towarzyszyły mi od dawna jako sztywne ramy dnia i czułem się z nimi zwyczajnie dobrze, ale dopiero pod wpływem twojego pytania zacząłem zastanawiać się, co tak naprawdę ukształtowało we mnie ten nawyk.

W pierwszej kolejności przypominałem sobie swój okres licealny. Intensywnie trenowałem wtedy na siłowni, czytałem kulturystyczne czasopisma i inne publikacje na temat budowania masy mięśniowej, gdzie minimum siedmiogodzinny czas snu podawano jako jeden z najważniejszych czynników wpływających na regenerację i wzrost mięśni. Zdaje się

jednak, że nie musiałem wcale dostosowywać swoich nawyków związanych ze snem do intensywnego trybu życia, bo już wcześniej przykładałem dużą wagę do właściwego uregulowania tej sfery życia. Jakie wydarzenie czy też splot wydarzeń skłonił mnie do wprowadzenia tego reżimu, nie mogłem sobie przypomnieć.

Właśnie kładłaś się spać, więc obiecałem, że porozmawiamy o tym jutro. Do mojej zwyczajowej godziny spoczynku zostało jeszcze trochę czasu. Próbowałem zająć się czymś produktywnym, ale szybko okazało się, że natrętne myśli uparcie przeciwstawiają się wszelkim próbom przekierowania ich na inny tor. To rzucone mimochodem pytanie coś we mnie poruszyło, jego wibrujące echo kołatało się w mojej głowie i powodowało nieprzyjemne wierzanie w brzuchu. Niekompletność moich wspomnień została niespodziewanie obnażona i czułem się przez to jak ktoś przyłapany na czymś wstydlivym i niestosownym.

Dopiero w ciepłe twojego ciała i miarowym oddechu odnalazłem spokój i zasnąłem niemal w tej samej chwili, w której położyłem się obok.

Następnego dnia po pracy zadzwoniłem do matki. Kiedy skończyła zdawać mi relacje z bieżących spraw, przeszedłem do najbardziej interesującego mnie tematu i sparafrazowałem pytanie, które męczyło mnie od poprzedniej nocy. W słuchawce po drugiej stronie zapanowała cisza.

– Wybacz synku, ale też nic takiego nie pamiętam – powiedziała w końcu, powoli i z wahaniem, jakby bała się mnie urazić albo okłamać. Zapewniłem ją, że to nic takiego i nie ma co się tym przejmować, po czym z udawaną swobodą zmieniłem temat. Zapytałem jeszcze o kilka błahostek: samopoczucie, zdrowie i takie tam, ale kiedy stwierdziła, że nie będzie dłużej zajmowała mi czasu, z ulgą pożegnałem się i zakończyłem rozmowę. To chwilowe rozluźnienie nie miało jednak wpływu na nastające nawarstwiający się napięcie związane z tą sytuacją.

Po powrocie nie zauważyłaś mojej nerwowości. Nie mogłem się temu dziwić – po całym dniu pracy z dziećmi twoją głowę wypełniały zupełnie inne kwestie niż wczorajsza rozmowa. Być może nawet gdybym sam wrócił do tego tematu, nie potrafiłabyś sobie przypomnieć, o co pytałaś mnie przed snem, ale jednak obiecałem, że porozmawiamy o tym następnego dnia i teraz ciężar tej obietnicy przygniatał mnie do ziemi jak młyński kamień. Mimo to nie miałem zamiaru niczego przyspieszać i czekałem, aż temat sam wypłynie, do czego nie doszło ani w trakcie kolacji, ani po niej.

Kiedy położyłaś się spać, po raz kolejny tego dnia odzyskałem względny spokój. Nie potrafię jednak powiedzieć, jak dokładnie spędziłem kolejne minuty – nic z tego okresu nie zapisało się w mojej pamięci. Prawdopodobnie snułem się po mieszkaniu bez celu.

Z bezmyślnego odrętwienia wyrwał mnie dopiero dźwięk telefonu.

Dzwoniła matka. Choć pozornie ton jej głosu był równie serdeczny, co poprzednio, miałem nieodparte wrażenie, że wybrzmiewa w nim jakaś obca nuta, tak jakby za fasadą ciepłych słów kryło się jakieś wahanie, niepokój.

– Myślałam o tym, o co pytałeś... – zaczęła z wahaniem, kiedy zapytałem, czemu dzwoni – i chyba coś sobie przypomniałam. Pamiętasz, jak przeprowadziliśmy się do miasta? Pewnie nie, byłeś wtedy jeszcze całkiem mały.

Nic nie odpowiedziałem, ale mój mózg rozpoczął wykonywanie gorączkowej kwerendy. Pamiętałem bardzo mało sprzed przeprowadzki, ale co zadziwiające, w mojej pamięci zachowało się jeszcze mniej wspomnień z okresu, który nastąpił po niej. Wydało mi się to niepokojące tym bardziej, że z dokonanych naprędce obliczeń wynikało, że miałem wtedy między dziesięć a dwanaście lat. Natychmiast poinformowałem o tym matkę.

– Tak, rzeczywiście – zgodziła się po chwili wahania. – Może nie byłeś już wcale taki mały, ale nadal zachowywałeś się jak dzieciaczek. Wyjazd i nowa praca ojca bardzo źle na ciebie wpłynęły, zrobiłeś się strasznie nerwowy i marudny. Brakowało ci naszej uwagi, jego widziałeś tylko wieczorami, a ja miałam więcej obowiązków i mniej czasu dla ciebie. To chyba stąd te problemy ze snem.

– Problemy ze snem? – wyrwało mi się mimochodem.

– Tak, nie byłeś przyzwyczajony do mieszkania w bloku, odgłosów dobiegających zza ścian i dźwięków miasta nocą. Mówiłeś, że słyszysz pracujące maszyny, przez które nie możesz spać, a czasem opowiadałeś mi swoje złe sny z takim przekonaniem, jakbyś rzeczywiście nie spał przez całą noc, tylko krążył po śpiącym mieście, doświadczając niesłychanych dziwów. Oczywiście nic z tego nie miało miejsca, pilnowaliśmy cię. Miałeś po prostu wyobraźnię dziecka, a do tego dużo stresu związanego z przeprowadzką i całą resztą.

Na moment w słuchawce zapanowała cisza, ale ja nie zamierzałem przerywać i cierpliwie czekałem, aż matka wznowi opowieść. Czułem się, jakbym słuchał historii o kimś całkowicie obcym i ta dwoistość jeszcze potęgowała kiełkujący we mnie od wczoraj niepokój.

– Próbowaliśmy różnych rzeczy, żeby ułatwić ci zasypianie: masaży, gorących i zimnych kąpiel, mleka z miodem do picia, olejków i kremów do smarowania... Przez jakiś czas próbowałeś zasypiać przy grającej cicho muzyce, bajce albo zapalanej lampce;

pilnowaliśmy, żebyś nie kładł się zaraz po jedzeniu ani głodny, żeby pokój był zawsze wywietrzony przed spaniem... Nic z tego na ciebie nie działało.

Umilkła na chwilę i usłyszałem, jak bierze łyk czegoś do picia.

– To w zasadzie wszystko – podsumowała po przerwie. – W końcu ci przeszło, wyrosłeś albo przyzwyczyłeś się do nowego miejsca. Niektóre z nawyków, które wtedy wykształciłeś, musiały zostać z tobą na stałe.

– Jak to możliwe, że o tym wszystkim zapomniałem? – zapytałem, ale szybko zrozumiałem, że matka nie będzie w stanie udzielić mi odpowiedzi, dlatego podziękowałem jej za wszystko i życzyłem dobrej nocy. Nie byłbym w stanie wydusić z siebie nic więcej, więc znów byłem wdzięczny matce za to, że nie próbowała na siłę przedłużać rozmowy.

Kiedy w końcu zostałem sam ze swoimi myślami, przytłumione do tej pory emocje uderzyły we mnie ze zdwojoną siłą. Nie byłem w stanie zrozumieć, jak tak istotny fragment życia mógł całkowicie wyparować z mojej pamięci, zniknąć, nie pozostawiając po sobie nawet najmniejszego śladu.

Co dziwniejsze, im więcej czasu mijało od mojej rozmowy z matką, tym silniejszy sprzeciw wzbudzały we mnie jej słowa. Niemożące znaleźć zaczepienia w moim umyśle opisy zaczynały stopniowo natrafiać na coś więcej, niż tylko bierny opór. Z niedostępnych dla mnie do tej pory rejonów pamięci napływały chaotyczne obrazy; z czasem ich spontaniczne pączkowanie, gorączkowe łączenie się i podział prowadziły do wyodrębnienia się i okrzepnięcia coraz wyraźniejszych scen, które pochopnie mógłbym nazwać wspomnieniami.

Czy były nimi w istocie, czy też stanowiły raczej konglomerat przygodnych wyobrażeń, kolaż efemerycznych fantazmatów i zrodzonych z potrzeby chwili autobiograficznych fikcji, nie potrafiłem powiedzieć. Niezależnie od pochodzenia i istoty fluktuujących w mojej głowie wizji, ich charakter i treść zdecydowanie różniły się od tego, o czym opowiadała mi matka.

Podstawowa niezgodność ujawniała się już na najbardziej fundamentalnym poziomie – wyłaniające się z moich niby-wspomnień doświadczenie bezsenności stanowiło w swojej najgłębszej istocie zetknięcie z niezrozumieniem, które urastało do rangi egzystencjalnego kryzysu. Nie tylko postać ojca była w nim całkowicie nieobecna – matka również pełniła rolę marginalną, a jej stosunek do mnie jawił się jako nadspodziewanie zimny i obojętny.

Jeśli więc były to rzeczywiste wspomnienia, dlaczego w żadnym stopniu nie pokrywały się z jej relacją? Nie chciałem wierzyć, że mogłaby zwyczajnie kłamać, tym bardziej, że z dzieciństwa wyniosłem obraz jej jako czulej i cierplivej, co odpowiadało jej wersji wydarzeń i nijak nie dawało się pogodzić z kształtującą się w mojej głowie wizją.

Było już grubo po pierwszej, kiedy nie widząc szansy na wyjście z impasu, postanowiłem się położyć. Niespokojne myśli i niby-wspomnienia nadal jednak fermentowały i szybko zrozumiałem, że nie uda mi się tak po prostu zasnąć. Z braku lepszych pomysłów postanowiłem więc nadać stałą formę temu, co uporczywie nie dawało się złożyć w całość.

Nadrzędnym celem tych zapisków nie jest oddzielenie rzeczywistych wydarzeń od fikcji i dotarcie do tego, co faktycznie miało miejsce. Nie dysponuję żadnym kluczem czy punktem odniesienia, który pozwoliłby mi na tak daleko idącą kategoryzację. Mimo że sceptyczny racjonalizm radziłby odrzucić wiele z tego, co będę opisywał, jako przejaw dziecięcej imaginacji czy przemieszania porządków snu i jawy, rezygnuję z tego typu ingerencji i prób racjonalizacji w nadziei, że czysty opis zachowa więcej treści i sensów, z których teraz mogę nie zdawać sobie sprawy.

Kierując się ekonomią tekstu oraz dbając o przejrzystość wypowiedzi, decyduję się traktować przedmiot opisu jako moje autentyczne wspomnienia. Jako że jakakolwiek, nawet najbardziej nieinwazyjna i naturalna próba narracyjnego okiełznania tak niestałej i plastycznej materii nie może istnieć bez uporządkowania, będę pozwalać sobie na łączenie wynikających z siebie organicznie scen czy swobodne przechodzenie od jednego zdarzenia do następnego, kiedy uznam to za uzasadnione. Jednocześnie w pełni zdając sobiesprawę z arbitralności tych zabiegów, postaram się ograniczyć je do minimum.

Szukając punktu wyjścia, jądra krystalizacji wszystkich pozostałych wspomnień, nie trafiam na obraz, ale dźwięk – dysharmonijny odgłos trwającej w nieustannym ruchu maszynierii. Zgrzyty i trzaski pracujących ociążałe powierzchnią miasta mechanizmów stanowiły rdzeń i spoiwo kolejnych bezsennych nocy. Niezależnie od tego, czy spędzałem je biernie w łóżku, czy też decydowałem się wykroczyć poza mikrokosmos swojego pokoju, one zawsze towarzyszyły mi jak emitowany nieustannie komunikat bez treści.

Niemal równie nieprzyjemne, co industrialny jazgot, stanowiący akompaniament wszelkich moich działań, były towarzyszące bezsenności dolegliwości somatyczne: tępy, pulsujący ból głowy i brzucha, wrażenie zalegającego pod powiekami piasku i przejmujący chłód błyskawicznie ogarniający całe ciało i zalewający je falami zimnych dreszczy.

Mimo nieprzyjemnych okoliczności, repertuar zajęć, którym się oddawałem, był całkiem pokaźny, chociaż niemal w każdym wypadku musiałem wykazywać się jakąś dozą

ostrożności, zadbać o pewne pozory. Szybko zorientowałem się, że moja przedłużająca się bezsenność irytuje matkę i każda kolejna konfrontacja wystawiać będzie jej cierpliwość na próbę. Z tego powodu udawałem, że śpię, wtykając koc pomiędzy framugę a drzwi tak, aby z korytarza nie było widać, że światło w moim pokoju pozostaje zapalone przez całą noc.

Później zazwyczaj włączałem telewizor, oczywiście ścisząc go najbardziej, jak było to możliwe. Nocne pasma ochoczo otwierały przede mną rejony wcześniej niedostępne, niewyobrażalne w swojej odmienności, nic dziwnego więc, że ukradkowe seanse wypełniały istotną część mojego czasu. Ich treść i tematyka były różnorodne, od epatujących nieuzasadnioną brutalnością, b-klasowych horrorów i filmów akcji, przez czarno-białe kryminały noir, aż po kino autorskie i ciężkie do sklasyfikowania arthousowe eksperymenty. Przynależność gatunkowa nie miała dla mnie znaczenia tym bardziej, że przez stan dziwnego rozedrgania, w którym znajdował się mój umysł, filmowe fabuły docierały do mnie fragmentarycznie, mieszały się i nakładały na siebie, tworząc całkowicie nowe, groteskowe kompozycje. Czasem przez długie godziny obserwowałem, jak pozbawione kontekstu kadry układają się w surrealistyczne ciągi, cut-upowe quasi-narracje, rytmizowane i uspojniające przez dźwiękpracującą pod miastem maszynierii.

Osobną kategorię stanowiły programy dla dorosłych, które pozwalały mi na swobodną eksplorację dziedziny cielesności i wprowadzały mnie w jej arkana. Nie mieliśmy wtedy satelity, a wybór kanałów był ograniczony, więc kiedy trafiałem na tego typu treści, każdorazowo udawało mi się pokonać zmęczenie i na czas emisji skupić swoją uwagę. Część obrazów i scen zostawała ze mną znacznie dłużej, stając się pretekstem do dalszych nastoletnich inicjacji i wtajemniczeń.

To w trakcie jednego z tych właśnie zapadających w pamięć programów natrafiłem po raz pierwszy na reklamę Domu pani Nyx. Spokojne ujęcia płynnie przechodzące pomiędzy kolejnymi symetrycznymi kadrami przedstawiały korytarz uporczywie przywodzący mi na myśl wnętrze ludzkiego ciała. Pomiedzy długimi, ciemnoczerwonymi kotarami, przechadzała się ubrana w koronkową bieliznę dziewczyna. W jej ruchach i towarzyszącej im muzyce było coś intrygującego, zapowiedź, której wtedy nie potrafiłem odczytać; obietnica czegoś, czego nie byłem jeszcze w stanie właściwie nazwać, choć wyraźnie łączyło się z tak upragnionym przeze mnie snem.

Mimo przedziwnego wrażenia, jakie wywarła na mnie reklama, musiało minąć jeszcze wiele bezsennych nocy, nim trafiłem na nią ponownie i zdecydowałem się zadzwonić na widoczny u dołu ekranu numer. Zanim jednak do tego doszło, wielokrotnie widywałem coś

budzącego we mnie skrajnie odmienne emocje, przez co czułem się tak, jakbym uczestniczył w zmaganiach dwóch przeciwstawnych sił.

Transmisje te w niczym nie przypominały zwyczajnych programów. Ich nadejście zwiastowało zakłócenia: dźwięk zagłuszały metaliczne zgrzyty, szумы i trzaski, obraz zaczynał śnieżyć, a po skaczącym ekranie wędrowały pionowe i poziome pasy. Później następowało gwałtowne przejście i odbiornik pokazywał pogrążone w ciemności pomieszczenia pełne pracujących jednostajnie maszyn. Ze względu na brak ludzkich postaci oraz innych punktów odniesienia, niemożliwe było właściwe oszacowanie wielkości wnętrza i ich wyposażenia, ale mechanizmy sprawiały iście tytaniczne wrażenie, tak samo, jak ciągnące się w nieskończoność hale.

Męcząca powtarzalność kadrów powodowała we mnie dziwne, niemal fizyczne zmęczenie, które wcale nie mijało po wyłączeniu odbiornika. W końcu nawet jeśli maszynierka zniknęła z mojego pola widzenia, nadal docierały do mnie odgłosy jej pracy. Czasem wręcz czułem, jak dobiegający spod ziemi rytm przenika moje ciało, pozbawiając go pozorów samoistności i odsłaniając się jako element przynależący do dziedziny maszyn. Być może to właśnie te momenty stanowiły główne źródło lęku, który nie pozwalał mi usnąć.

Byłem właśnie w takiej sytuacji – po raz kolejny ogarnęły mnie totalna niemoc, przez którą nie byłem nawet w stanie wyłączyć telewizora, który uparcie wyświetlał kolejne segmenty industrialnego labiryntu, kiedy obraz nagle podskoczył kilka razy i zniknął, zastąpiony przez inny sygnał. W kadrze, jako kontrpunkt dla zimnej, ciemnej monotoni maszyn, pojawił się znajomy czerwony korytarz i postać dziewczyny w koronkowej bieliźnie. Tym razem nie miałem już wrażenia obcowania z reklamą, ale z czymś zupełnie innym – przekazem, który został intencjonalnie skierowany właśnie do mnie. Nagle zrozumiałem kryjącą się w ruchach dziewczyny z ekranu obietnicę – oferowała mi szansę na dołączenie do siebie i ostateczne wyrwanie się spod władzy mechanizmów.

Natychmiast sięgnąłem po kartkę i długopis, a potem uważnie zapisałem widoczny na ekranie numer. Nie mogłem jednak zadzwonić od razu. W tamtym czasie nie miałem jeszcze własnej komórki, a salon, w którym znajdował się telefon stacjonarny, stanowił jednocześnie sypialnię. Chęć wykonania połączenia była jednak we mnie zbyt silna, żebym czekał do rana.

Droga z budynku do stojącej nieopodal budki telefonicznej dłużyła mi się w nieskończoność, a narastający strach przed nakryciem kazał mi przystawać za każdym razem, kiedy do moich uszu docierał jakikolwiek dźwięk. Nie przeczuwałem wtedy, że na przestrzeni kolejnych tygodni jeszcze wielokrotnie będę opuszczał mieszkanie w podobnych okolicznościach.

W końcu udało mi się dotrzeć do stojącego na rogu ulicy automatu i wrzucić do niego kilka monet zaoszczędzonych pierwotnie na zupełnie inne cele. Po krótkim oczekiwaniu w słuchawce rozległ się kobiecy głos.

– Czego szukasz, dzwoniący? – zapytał, a pełen dobroci i ciepła ton kazał mi wierzyć, że za pytaniem tym stoi coś więcej, niż zwykła służbowa uprzejmość.

– Szukam snu – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Więc szukasz nas. Sen czeka na ciebie w Domu pani Nyx.

– Jak mogę go znaleźć?

Nagle rozległ się trzask i połączenie zostało przerwane, a ze słuchawki dobiegał już tylko zgrzytliwy odgłos pracującej rytmicznie maszyny. Spróbowałem wrzucić kolejną monetę, ale automat odmawiał współpracy.

Z bolesną świadomością odniesionej porażki wróciłem do mieszkania.

Podczas kolejnych, ciągnących się w nieskończoność nocy, Dom pani Nyx ani razu nie pojawił się na ekranie, natomiast transmisje ukazujące niekończące się korowody maszyn stały się wyjątkowo częste i skutecznie obrzydzały mi kolejne seanse. Poczucie bezsilności, które przychodziło wraz z nimi, niejednokrotnie pacyfikowały mnie na całe godziny.

Nie potrafię przypomnieć sobie, jakie okoliczności czy wydarzenia pozwoliły mi wyrwać się ostatecznie z tego stuporu, ale po okresie bierności i rezygnacji nastąpił przełom. Pierwsza nocna eskapada wymagała olbrzymiej dozy samozaparcia, ale z każdą kolejną wysiłek stopniowo malał, aż niepostrzeżenie spontaniczne wędrówki ulicami miasta zmieniły się w nawyk. Każdej nocy po zaśnięciu rodziców ukradkiem wymykałem się z mieszkania i wyruszałem na poszukiwania Domu pani Nyx.

Małe triumfy, które odnosiłem w trakcie tych wypraw, zawsze okazywały się tylko połowiczne. Czasem na słupie ogłoszeniowym odnajdywałem wyblakły plakat ze znajomą kobiecą postacią w koronkowej bieliźnie, innym razem dostrzegałem reklamę Domu pani Nyx na ostatniej stronie porzuconej gazety, jednak charakterystycznej grafice nigdy nie towarzyszył żaden konkretny, poza znanym mi już, niedziałającym numerem telefonu.

Mimo tego braku spełnienia, wędrówki niosły ze sobą pewne pocieszenie i pozwalały mi inaczej spojrzeć na swoją sytuację. Ludzie, na których natrafiałem – pracujący na nocną zmianę, bezdomni czy inni, podobni mi nocni tułacze – znacznie różnili się od typów spotykanych za dnia. Mimo że ich wygląd i zachowanie na pierwszy rzut oka nie były niecodzienne, już krótka rozmowa pozwalała dostrzec pewne emocjonalne rozchwianie

świadczące o tym, że tak jak ja cierpieli na bezsenność i chociaż nigdy nie zapytałem o to żadnego z nich, byłem przekonany, że w ich przypadku przyczyną również była pracująca pod miastem maszynieria.

Często rozpytywałem natomiast o cel swoich poszukiwań. Dom pani Nyx ujawniał wtedy swoją niezwykłą efemeryczność – chociaż jego nazwa rzadko była obca moim rozmówcom, ich odpowiedzi przeczyły sobie nawzajem już na tak elementarnym poziomie, jak określenie, czym właściwie jest obiekt mojego zainteresowania.

Nocny portier z motelu mieszczącego się na uboczu ruchliwej drogi wylotowej z miasta, podczas swojej przerwy na papierosa opowiedział mi, że właśnie tam pracował poprzednio. „Hotel, jak każdy inny” – stwierdził, ale kiedy próbowałem dopytywać go o szczegóły i lokalizację, zmarkotniał i wykręcił się od odpowiedzi brakiem czasu. Kelnerka pracująca na nocnej zmianie w jedynym w okolicy całodobowym barze, opowiadała o nim jako o czymś w rodzaju specjalnego klubu, w którym spotykają się ważni i bogaci, ale siedzący przy stoliku obok mężczyzna, który usłyszał naszą rozmowę, zaprzeczył jej, mówiąc, że jest to tytuł filmu, który jakiś czas temu grali w kinach. Zgodnie z jego sugestią przy najbliższej okazji zapytałem o niego w wypożyczalni kaset. Właściciel był pewien, że posiada produkcję o takim tytule, jednak nie udało mu się znaleźć jej ani na półce, ani w katalogu.

W takich momentach sam mam problem z zawieszeniem niewiary i moje wątpliwości rozsadzają złożoną ze wspomnień narrację. Bo czy możliwe, żeby wszystko to naprawdę się wydarzyło? Czy nocne wędrówki i rozmowy rzeczywiście stanowiły część mojego dzieciństwa, czy były jedynie nieświadomymi zapożyczeniami ze świata snów, fragmentami filmów i strzępkami ścieżek dialogowych wychwyconych przez mój półprzytomny umysł? Chociaż to drugie wydaje się znacznie bardziej prawdopodobne, chłodny racjonalizm takiego podejścia ma w sobie coś z wygodnego kłamstwa i elegancji mechanizmów obronnych, chroniących naszą psychikę przed tym, co irracjonalne i niebezpieczne.

Z czasem jałowość poszukiwań zaczęła coraz bardziej dawać mi się we znaki. Pewnej nocy zdecydowałem się skierować w przeciwnym kierunku niż zwykle, w stronę oświetlanej fabryczną łuną dzielnicy, w której na co dzień pracował mój ojciec. Jej przemysłowy charakter odstraszał mnie przez oczywiste skojarzenia z dziedziną mechanizmów, uznałem jednak, że być może przełamanie tej niechęci przyniesie lepsze efekty, niż ponowne odwiedzanie znanych mi już miejsc.

Klucząc pośród posępnych sylwetek magazynów z czerwonej cegły i innych industrialnych zabudowań, nie mogłem powstrzymać myśli o ojcu. Ostatnio wracał z pracy

coraz później, w pośpiechu zjadał niewielką kolację i kładł się spać. Kiedy pewnej nocy przystanąłem przy niedomkniętych drzwiach sypialni rodziców, dochodzący ze środka miarowy, charczący oddech był nierozróżnialny od odgłosu pracującej pod miastem maszynerii.

Nagle z ponurych rozważań wyrwał mnie niespodziewany widok – stałem naprzeciwko fabrycznej hali, jednej z wielu, a jednak wyjątkowej ze względu na nazwę zdobiącą jej fasadę: czerwone litery układające się w tak oczekiwany przeze mnie napis „Dom pani Nyx”.

Oniemiały zbliżyłem się do ciężkich drzwi, które o dziwo nie okazały się zamknięte. Z trudem otwarłem na oścież najpierw jedno, a później drugie skrzydło. Przeciągły zgrzyt przerdzewiałych zawiasów boleśnie rozdarł panującą dookoła ciszę.

Snop światła ulicznych latarni wpadł do środka, oświetlając całkowicie puste pomieszczenie. Przesząpiłem jego próg, nie chcąc rezygnować zbyt szybko w obliczu pierwszego tak namacalnego śladu, jednak dochodzące spod powierzchni rytmiczne dudnienie odbijające się szyderczym echem od ścian opuszczonego budynku ostatecznie zmusiło mnie do kapitulacji. Po powrocie doszedłem do wniosku, że napis na ścianie hali musiał być częścią zdemontowanego baneru reklamowego.

Jak więc w końcu go znalazłem? Choć trąci to banałem, to on odnalazł mnie.

Nie wiem, czy taki schemat odkrywania indukują w naszym umyśle literatura i kino, czy jest to jakaś nadrzędna struktura obecna w naszej psychice od zawsze. Niezależnie od tego, właśnie ten model rozwoju opowieści wydaje się naturalny – śledztwo powinno posuwać się do przodu, postęp nie musi być linearny, może zachodzić skokowo, perypetie i zwroty akcji są wręcz mile widziane, zawsze jednak liczymy na rozwój, progres.

Moje poszukiwania nie przybliżyły mnie do żadnej odpowiedzi. Być może wszystkie działania tylko oddalały mnie od celu, a najkrótsza droga do niego prowadziła właśnie przez bierność. Ta chwyciła mnie i trzymała w swoim uścisku przez kolejne, dłużeńce się w nieskończoność noce, które spędzałem, leżąc w zimnym odrętwieniu. Biały szum zakłóceń wylewał się z telewizora i wypełniał pokój, a pionowe i poziome pasy spacerowały po moim zdrętwiałym ciele. Co jakiś nieokreślony interwał czasu na powierzchnię wydobywał się metaliczny zgrzyt, a mną wstrząsał bolesny dreszcz.

Rozciągliwa materia nocy wydawała się owijać wokół mnie, nie dając żadnych nadziei na zaśnięcie czy wstanie z łóżka, kiedy nastąpiła niespodziewana odmiana. Śnieżenie ustało iz telewizora wylało się ciepłe, czerwone światło. Jego odbłaski wypełniały pokój, a ściany zdawały się falować organicznie pod ich wpływem.

Poczułem, że odrętwienie opuszcza moje ciało. Podniosłem się z łóżka i zobaczyłem, że nie jestem już w swoim pokoju. Znajdowałem się w korytarzu, którego ściany stanowiły falujące bordowe kotary. Tknięty niezrozumiałą potrzebą uchyliłem poły jednej z nich i wyrząłem na zewnątrz. Za kotarą nie było ściany, jedynie nieograniczona niczym kosmiczna pustka, bezkresna przestrzeń wypełniona całkowitą ciemnością.

Z przerażeniem cofnąłem się, niemal wpadając na przechodzącą obok mnie postać. Ubrana w koronkową bieliznę dziewczyna oddalała się ode mnie, a jej harmonijne ruchy zdawały się pozostawiać w powietrzu delikatne rozmycia niczym słoneczne powidoki albo ślady poruszenia na długo naświetlanej kliszy. Puściłem się za nią biegiem przekonany, że nie mogę stracić jej z oczu, bo jeśli do tego dojdzie, utracę na zawsze możliwość dostępu do miejsca, które czeka na końcu korytarza.

Z czasem zdałem sobie sprawę, że nasze kroki nie wydają żadnego dźwięku, tak jakby miejsce, w którym się znajdowaliśmy, funkcjonowało na zupełnie innych zasadach, niż znana mi przestrzeń. Nie zatrzymując się, spojrzałem w dół i zauważyłem, że moje ruchy również nabrały charakterystycznej miękkości i pozostaje po nich taki sam rozmyty ślad. Po chwili moje myśli powróciły do kwestii dźwięku i dotarło do mnie, że po raz pierwszy od tygodni nie słyszę odgłosu pracujących maszyn.

Jakby w odpowiedzi na tę konstatację, korytarz rozszerzył się, płynnie przechodząc w pomieszczenie przedzielone dziesiątkami identycznych, ciemnoczerwonych zasłon. Sala nie była pusta – na dziwnie wypiętrzonych podłodze, której powierzchnia pokryta była tym samym obiciem, leżało kilkanaście kobiet. Ich ciała były nagie, a one same pogrążone we śnie, o czym świadczyły swobodne, bezpruderyjne pozy i miarowy ruch klatek piersiowych, unoszących się we wspólnym rytmie oddechu. Sen ten był jednak bezgłośny – przestrzeni nie mącił nawet najcichszy dźwięk, tak jakby atlasowa tkanina wchłaniała każdy odgłos, zanim ten zdąży zaistnieć i zmącić panujący w pomieszczeniu spokój.

Wszystko to miało w sobie coś z ekranu telewizora oglądanego przy wyłączonym dźwięku albo przebywania wewnątrz obrazu Delvauxa. Stałem na brzegu pulsującej plątaniny ciał i dopiero z tej perspektywy dostrzegłem, że wszystkie są jednakowe – ich kształty i rysy twarzy nie różnią się od siebie. Chociaż nigdy nie widziałem jej twarzy, z jakiegoś powodu wiedziałem, na czyje oblicze patrzę.

Ogarnęła mnie przytłaczająca senność i osunąłem się na podłogę, która okazała się przyjemnie miękka i ciepła. Patrząc na swoje członki zagłębiające się w ciemnoczerwonej powierzchni zorientowałem się, że jestem nagi, ale nie zdziwiło mnie to ani nie przstraszyło, tak jak nie zdziwił ani nie przstraszył mnie dotyk nagich, kobiecych ciał, kiedy te zaczęły

mnie oplatać. Rytm ich oddechów stał się moim rytmem, a ja zdałem sobie sprawę, że im również został nadany z zewnątrz, że całe to miejsce przesycę organiczne pulsowanie.

Nade mną falowała czerwień. Obserwowałem, jak taniec wybrzuszących się zasłon formuje spoglądające na mnie z góry oblicze – oblicze dziewczyny z telewizora, oblicze tej, która gościła mnie w swoim domu. Jej usta poruszały się i choć żadne słowo nie zmało ciszy, wszystkie trafiały bezpośrednio do mnie.

Z mechanizmami nie można wygrać. Możliwa jest tylko ucieczka, a jedyna droga ucieczki prowadzi w sen. Ci, którzy nie dostąpili łaski snu, mogą dostąpić jej tutaj. Ci, którzy nie dostąpili łaski ciszy, mogą dostąpić jej tutaj. Łaska nie oznacza jednak zwycięstwa. Z mechanizmami nie można wygrać. Możliwa jest tylko ucieczka, ucieczka w sen.

Kiedy zamykam oczy, pod powiekami nadal mam twarz pani Nyx.

Patrzę na nią też teraz, kiedy pytasz mnie dlaczego nie śpię, a ja śmieję się, bo to najbardziej absurdalne z pytań, jakie można mi zadać. Bo przecież śpię, śpię cały czas, odkąd lata temu wszedłem do Domu pani Nyx. Całe moje życie jest snem, a ty, niezależnie od tego, czy jesteś tego świadoma, czy nie, jesteś jego częścią. Dlatego śmieję się, a ty patrzysz na mnie ze zdziwieniem, kiedy wstaje i wychodzę z pokoju.

Za drzwiami czeka na mnie korytarz, falujące czerwony zasłony rozpościerają się po obu stronach a w oddali widzę sylwetkę mojej przewodniczki, sylwetkę pani Nyx, twoją sylwetkę. Wiem, co czeka mnie na końcu korytarza, bo kiedy człowiek uświadamia sobie, że śni, musi się przebudzić. To nie wybór ani akt odwagi, tylko konieczność.

Docieram do głównej sali i widzę tylko jednego śniącego. Przez chwilę patrzę jeszcze na jego twarz, a potem oczy otwierają się i nie ma już śniącego i śnionego, jest tylko lodowata ciemność, w którą opadam i dźwięk poprzedzający zaistnienie świata, dźwięk poprzedzający wszystko – zgrzytliwy odgłos pracującej maszyny.



GDZIE SIĘ PODZIAŁA MOJE BETSY BLUE?

Jarosław Dobrowolski

– Tęsknimy za tobą – głos mojej żony ledwie przebijał się przez statyczne trzaski. Potrzęsnałem krótkofalówką, jakby to mogło cokolwiek dać. Coś zagrzecotało w środku, a ja przestraszyłem się, czy aby nie uszkodziłem urządzenia.

– Ja za wami też – wychrypiałem. Nawet stale osłonięty chustą, gardło miałem wyschnięte na wiór. Piekło, jakby ktoś próbował je przepychać drucianym wyciorem.

– Masz wodę?

Wsparłem czoło na dłoń. Walczyłem przez chwilę, żeby wydobyć z siebie słowa. Miałem wrażenie, że uciekają gdzieś do wnętrza.

– Tak, całkiem sporo – skłamałem. Miałem ledwie parę kropel na dwie manierki. – W zupełności wystarczy, żeby do was dotrzeć i pewnie jeszcze coś mi zostanie. A jak wasz zapas?

– Dobrze. Na naszą trójkę aż nadto. Poza tym odsalamy morską wodę i uzupełniamy zbiornik. Nami nie musisz się przejmować.

Odetchnąłem z ulgą i rozkaszałem się. Miałem wrażenie, że z płuc zacznie zaraz wysypywać mi się czysty piach lub jego grudy zlepione mięsistymi skrzepami.

– A jak mają się dziewczynki? – zapytałem, czując duszącą mnie gulę. Wiedziałem, że są tam gdzieś daleko, zdane same na siebie. Zamknięte w ciasnej kajucie. Ciche jak mysz pod miotłą, czekają, aż do nich wrócę z obiecanyymi zapasami.

– Teraz śpią. Przed snem pytały, kiedy wrócisz. Całymi wieczorami siedzą na pokładzie cię wyglądają.

Przygryzłem wargi i skuliłem się w sobie. Suchy spazm wstrząsnął moim ciałem. Nie miałem siły płakać, nie miałem w sobie tyle wody, bym był w stanie. Czulem tylko jak oczy zaczynają mnie piec, jak drażnią mnie słone kryształki, które przedostały się przez rant zmatowionych gogli.

– Powiedz im, że je kocham. Powiedz... nie, ucałuj je tylko. Wracam do was. Mam wszystko, co potrzebne. Wkrótce znowu wypłyniemy razem.

– Widziałeś może Betsy Blue? – zapytałem wychudzonego nędzarza. Jego wodniste oczy miały kolor ciemnego błękitu, niczym morze tuż przed zachodem słońca. – Szukam, ale nie jestem w stanie znaleźć do niej drogi.

Nie odpowiedział. Patrzył tylko na mnie tym dziwnym wzrokiem. Brudnymi pazurami trzęsącej się dłoni skubał skórę odchodzącą od popękanych ust, po czym bezwiednie zjadał jej kawałki. Musiał to robić cały czas, gdyż odrywał też łuszczące się strupy. Co chwila suchym językiem zlizywał krople krwi gęste jak syrop.

Pomyślałem, że to jeden z tych cholernych szaleńców, którzy postradali zmysły od przebywania na słońcu i braku snu. Nie był tak bardzo wychudzony jak inni. Włosy, choć w nieładzie, sterczały na wszystkie strony, wypłowiałe i poskręcane w śmierzącym kołtunie.

– Betsy Blue – powtórzyłem. – To moja łajba. Jacht morski. Nie można go pomylić z żadnym innym. Kadłub ma pomalowany na kolor czerni i granatu, jak nocne niebo. Nadbudówkę ma z drewna. Pod pokładem jest mała kuchnia, łazienka i kajuta, a wniej trzy koje. Jedna podwójna dla mnie i żony, no i dwie mniejsze dla naszych córek. Maszt ma mocny i wysoki, a żagle tak białe, że można by oślepnąć od patrzenia na nie. Na burcie namalowałem jego imię: Betsy Blue. To na cześć mojej żony.

Łachmaniarz jęknął coś niezrozumiale i zaczął nerwowo drapać się w potylicę. Grzebał tam tymi okropnymi paluchami, a kiedy skończył, spojrzął na paznokcie wilgotne od osocza. Wsadził paluchy do ust, possał, oblizał. Na końcu wytarł dłoń o postrzępioną koszulinę.

Siedział pod wystającym z piachu kawałkiem kruszącego się betonu, miętoląc w pokrzywionych dłoniach truchło pustynnego szczura. Tak go znalazłem. Przed sobą miał złożone kilka drzazg, które udało mu się zebrać. Nie miał czym skrzesać ognia, więc tylko udawał, że piecze sobie kolację. Biedny szaleniec.

Wlazłem na niego przypadkiem, zagadnąłem, a kiedy okazał się w miarę wdzięcznym słuchaczem, pomyślałem, że spędzę z nim parę chwil. Wyjąłem z torby żeglarskiej srebrną zapalniczkę Zippo, skrzesałem ogień i podpaliłem drzazgi. Dzięki temu cieszyliśmy się światłem i ciepłem. Noce na pustyni bywają cholernie zimne.

– Nnnn... nnnn... – Nie wiedziałem czy bełkotał, czy się jąkał. Może próbował mówić w jakimś nieznanym mi języku. Grzebał ręką w piachu i obsypywał nim pokrzywione stopy. Szczura upiekł w całości, nadziewając go na kawałek pręta. Wokół roznosił się smród palonego futra i strychniny. Kiedy zaproponował, że się ze mną podzieli, odmówiłem. Skręcało mnie z głodu, ale miałem swoje granice.

Wyciągnąłem z worka ronderek, nalałem do niego kapkę wody z manierki, po czym przystawiłem do ognia. Na widok wody mój rozmówca aż się zatrzęsł, a jego oczy zabłyśły w ciemności.

– Lubisz herbatę? – zapytałem, wyciągając puszkę, w której trzymałem wysuszone liście. Pogodę mieliśmy suchą, więc herbata trzymała się doskonale. Wody może nie miałem pod dostatkiem, lecz mogłem poświęcić parę kropel. W końcu umiałem ją racjonować, a chałupnicza metoda odzyskiwania wilgoci z materii organicznej umożliwiła mi przetrwanie. Na Betsy Blue, w specjalnym zbiorniku, trzymaliśmy całkiem spory zapas słodkiej wody. Miał wystarczyć dla naszej czwórki na długi czas. Miał nam umożliwić przetrwanie podczas długich rejsów.

Łachmaniarz uśmiechnął się szeroko, w pełnej krasie ukazując zeżarte przez skorbut, pozbawione zębów dziąsła spływające szarą ropą. Najwyraźniej lubił herbatę.

– Powinieneś jeść więcej witamin – poradziłem. Kaszlnąłem, czując że już za dużo mówię. Nie mogłem się doczekać, aż przepłuczę gardło. – Potrzebujesz witaminy C tak samo jak minerałów. Kiedyś żeglarze, zwłaszcza kiedy zboczyli z kursu i nadkładali drogi, głodowali lub jedli, co im zostało z zapasów. Zęby im od tego krwawiły, kości łamały się jak patyki, rany nie chciały się goić. Nie ma nic gorszego niż głód. Głód i pragnienie.

Mężczyzna potaknął. Znowu podrapał się w czuprynę i zbliżył do ognia. Niczym zaintrygowany kundel przyglądał się wodzie bulgoczącej w rondelku. Ja zaś nie potrafiłem oprzeć się wrażeniu, że oto siedzi przede mną przedstawiciel szczytowego punktu ewolucji naszej rasy, zredukowany do zżeranego przez choroby zwierzęcia. Czy i mnie czekał taki sam los? Liczyłem, że odnajdę drogę do Betsy Blue, zanim to nastąpi.

Profilaktycznie postawiłem worek z dala od jego ciekawskich łap. Miałem tam różne zapasy, w tym całkiem sporo leków, witamin i antybiotyków, zasypkę, zestaw do odzyskiwania i dezynfekcji wilgoci oraz krem z filtrem, choć ten już mi się kończył. Przy pasku nosiłem nóż, a w drodze podpierałem się kosturem zrobionym ze znalezionej rury.

Zaparzoną już herbatę przelałem do blaszanego kubka. Mój towarzysz podstawił naczynie zrobione z przeciętej wpół, wyszczerbionej butelki z plastiku. Tak, plastiku akurat mieliśmy pod dostatkiem. W czasach, kiedy drewno stało się towarem rzadkim, a wszystko obróciło się w perzynę, jedyne co przetrwało to plastik. Walał się wszędzie. Gdybym potrzebował zbudować tratwę, byłaby zrobiona ze starych butelek i związana sznurkami splecionymi z torebek.

Nędzarnarz przyjął napój i wziął łyka, krzywiąc się przy tym z bólu, ale i rozkoszy.

– Język sobie poparzysz – ostrzegłem, lecz widziałem już, jak jego usta zmieniają barwę na siną, a blada twarz robi się czerwona. Cierpiał, a jednak delectował się tym jakże prostym napojem, jakby to był najprawdziwszy rarytas. W jego oczach zaszklily się łzy, co w zaistniałych okolicznościach można by uznać za marnotrawstwo.

– Pij śmiało – sam siorbnąłem herbaty. Skrzywiłem się, bo zapiekło mnie w gardle, lecz język od razu zrobił się mniej suchy. Bezwiednie zacząłem rysować na piasku podobiznę jachtu. – To jest moja Betsy – oznajmiłem, a łachmaniarz przysunął się do mnie na tyle blisko, że jego odór nieprzyjemnie gryzł mnie w nozdrza. Zawsze uważałem, że człowiek pocący się na lądzie cuchnie inaczej, bardziej nieznośnie niż człowiek pocący się na morzu. – Szukam jej już... sam nawet nie wiem jak długo. Zacumowałem ją gdzieś na brzegu tej cholernej pustyni. Bo widzisz, moja żona i córki na niej zostały, a ja poszedłem szukać leków.

Żona zмага się z depresją. Cholerna choroba cywilizacyjna wyssała z niej wszelkie siły do życia. Przygniotła ją jakimś niewidzialnym ciężarem. Mieliśmy całkiem spory zapas leków, kiedy wypłynęliśmy z portu, ale to było dawno temu... Pamiętam tamtą noc. Syreny wyły w całym mieście, ludzie panikowali, wsiadali do samochodów. Zabrałem dziewczyny do portu, bo byłem przekonany, że prędzej przeżyjemy na morzu niż na lądzie. Na morzu nie ma korków. No i sam zobacz, mam się całkiem nieźle. Leki nawet znalazłem – poklepałem torbę podróżną. – Teraz tylko muszę wrócić do Betsy i moich dziewczyn. Problem w tym, że na tej pieprzonej pustyni wiatr wieje tak mocno, że nie sposób iść po własnych śladach. Czasem, kiedy się odwrócisz, to nie wiesz skąd przyszedłeś. Każda wydma wygląda tak samo. Kiedy wleziesz na najwyższą, okazuje się, że dalej są tylko większe i większe. Zdają się poruszać, zapadać i wypiętrzać jak fale wzburzonego oceanu. Początkowo zaznaczałem upływające dni w notesie, ale go zgubiłem. Kompas się zepsuł. Nic już nie działa tak jak powinno.

Moją uwagę zwróciło chrapanie. Ze zdziwieniem odkryłem, że łachmaniarz zwinął się w kłębek u moich stóp. Skulony niczym najedzony pies, najzwyczajniej w świecie zasnął.

– Farciarz – prychnąłem. – Ciężko mi się zasypia. W sumie, to prawie wcale nie sypiam.

Patrzyłem w gwiazdy. Znałem je doskonale, uczyłem się przecież po nich nawigować, tak jak pierwsi żeglarze. Podziwiałem konstelacje układające się w znajome wzory i ich ślimaczy taniec na powolnie przesuwającym się nieboskłonie. Zwróciłem oczy na Mały Wóz i Gwiazdę Północną świecącą z jego dyszla. Pozdrowiłem ją niczym starą znajomą. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że nawet korzystając z tej wiedzy, dzień za dniem podążałem w kierunku, z którego najwyraźniej przyszedłem, lecz Betsy Blue wciąż pozostawała poza moim zasięgiem. Czym sobie na to zasłużyłem?

– Droga Betsy Blue – zanuciłem cicho. – Czekał na mnie w porcie snów...

Obudziłem się rano. Szybko odkryłem, że jestem całkiem sam. Popioły ogniska dawno rozwiął wiatr, a mojego towarzysza nie było nigdzie w pobliżu.

Błogo się przeciągając, spojrzałem ku wschodowi. Ogromna tarcza płonącego słońca podnosiła się sponad wydm, niczym potwór morski zwiastujący swe przybycie tuż przed okrutnym atakiem. Przez chwilę miałem wrażenie, że patrzę na zatrzymane w czasie fale targane wichrami sztormu, na których skrzą się dziesiątki łodzi. Lecz to był tylko bezkres pustyni przetykany wystającymi z hałd resztkami betonowych słupów, skruszonych ścian. Usiany poganianymi przez wiatr, wyschłymi w słońcu trupami plastikowych butelek, opon samochodowych, powyginanych blaszanych beczek. Czy było tu kiedyś miasto?

Uśmiechnąłem się do siebie i sięgnąłem do bagażu po płachtę. Rozciągnąłem ją od czegoś, co wyglądało jak resztkę samotnego filaru, z którego wystawały szponiaste macki metalowych prętów. Następnie wygrzebałem z torby matę solarną, wpiąłem kabel ładujący potężną krótkofalówkę.

Przestraszyłem się, widząc, że nigdzie nie ma mojego zestawu do odzyskiwania wilgoci. Dopiero po chwili znalazłem go nieopodal. Nie do końca przytomnie, musiałem go rozłożyć minionej nocy. Przypominający prodiż kawał blachy z wystającymi zeń rurkami nagrzewał się od słońca i wysuszał wszystko, co włożyło się do środka. Wilgoć zaś osadzała się w zbiorniczkach filtracyjnych. Filtrowanie działało, choć nie czyniło cudów, bo uzyskana w ten sposób woda zwyczajnie cuchnęła i szybko się psuła. Można było jednak dzięki niej przeżyć.

Wyciągnąłem z kieszeni plastikowy widelec i koniuszkiem wydłubałem z zębów natrętne włókno. Było cienkie i szare. Pewnie wczorajsza herbata.

– Droga Betsy Blue – zanuciłem pod nosem szantę, którą wymyśliłem z córkami podczas jednego z leniwych wieczorów na łajbie. – Czekaj na mnie, w porcie snów, w zatoce marzeń...

Nie było sensu ruszać w drogę. Zestaw filtracyjny był pełny, a najlepiej działał w południe. Postanowiłem więc zmitrężyć jeszcze nieco czasu. W ciągu dnia słońce przypiekało z siłą zdolną topić plastikowe śmieci, nie mówiąc o wywoływaniu dotkliwych poparzeń. Najlepiej było do późnego popołudnia spać w zacienionym miejscu i ruszać w drogę przed wieczorem. W nocy na pustyni było całkiem jasno. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem chmury. Po zmroku za źródło światła robiły gwiazdy i księżyc.

Zestaw filtracyjny pykał cicho, kropla po kropli odprowadzając życiodajną wilgoć. Sprawdziłem poziom naładowania krótkofalówki. Nie odłączając jej jeszcze, przekręciłem włącznik, wybrałem pasmo, na którym mieliśmy komunikować się z dziewczynami i wdusiwszy przycisk, zacząłem je wywoływać.

– Betsy Blue, Betsy Blue. Jak mnie słyszysz?

Jak zwykle odpowiedziały statyczne trzaski i przestery. Nie rezygnowałem. Czasem wydawało mi się, że słyszę coś w dali, jakby głos żony próbował się przedostać przez przestrzeń. Dodawało mi to siłę, kazało próbować w nieskończoność.

– Betsy Blue, Betsy Blue. Jak mnie słyszysz? Odbiór.

Siedziałem tak i powtarzałem, nie zważając na to, że każde otwarcie ust zapewne pozbawiało mnie wilgoci. Cień rzucany przez płachtę podróżował po piachu, z zachodu zawiewał suchy wiatr.

– Tu Betsy Blue – usłyszałem między trzaskami głos mojej żony. Cichy, przerywany, lecz nadzwyczaj wyraźny. – ... czekamy.

– Betsy? Betsy! Jak mnie słyszysz? – powtórzyłem.

– Już lepiej.

Ucieszyłem się. Zasięg zdawał się nadal daleki, lecz poczułem ożywcze tchnienie nadziei.

– Wydaje mi się, że już się zbliżam – uśmiechnąłem się do siebie. – Słyszę cię coraz lepiej

– To wspaniale – odparła. – Ale pospiesz się, proszę – ściszyła głos, żeby córki jej nie usłyszały. – Nie mam już sił. Coraz częściej nie jestem w stanie podnieść się z łóżka.

– A dziewczynki?

– Bawią się same na zewnątrz... Boję się – szepnęła. – Boję się, że odejdą zbyt daleko, że jak ty nie znajdą drogi powrotnej. Patrzyłam ostatnio, jak się oddalają i choć chciałam krzyknąć, żeby wracały, to nie miałam siły.

Znów ścisnęło mnie w gardle. Spojrzałem niepewnie na pustynię zalewaną bezlitosnym żarem. Byłem bliski zerwania się i pognania przed siebie wbrew żywiołowi.

– Wytrzymaj. Już niedługo – powiedziałem, przycupnąwszy na skraju cienia. Przetarłem strudzone czoło i nałożyłem na nos zmatowione okulary, żeby osłonić oczy od słońca. Podrapałem się w twardą, posklejaną brodę, pod którą znajdowały się bruzdy mojej twarzy. – Co noc obieram azymut na północny zachód i kieruję się na was. Nie uwierzysz, w jaki sposób znalazłem leki dla ciebie. Szedłem skrajem wydmy i poczułem, że piach się pode mną osuwa. Po chwili wiedziałem już, że stoję nad kieszenią powietrzną. Nie byłem w stanie się wydostać, wciągało mnie. Myślałem, że to już koniec. Ale okazało się, że pod powierzchnią znajdował się jakiś stary budynek. Spadłem kilka metrów. Całe szczęście wylądowałem na hałdzie piachu. Mam cały czas tą wojskową latarkę, którą mi kupiłaś na urodziny, więc skorzystałem z niej. Tak dostałem się do wnętrza zniszczonego wieżowca. Musiał się przewrócić, dziwnie się po nim chodziło. Wszystko było pod kątem – rozmasowałem kark i zamknąłem oczy. Liczyłem, że mój głos ją uspokoi, ukoji jej nerwy, doda sił. – Grunt, że znalazłem składzik i całe mnóstwo wody w butelkach. Była tam zniszczona kawiarnia i cholerna apteka. Dziesięć razy przywaliłby mnie kawał betonu i bym się udusił, ale i tak się ucieszyłem. Zabrałem, co mogłem i odnalazłem wyjście na powierzchnię. Jakoś udało mi się wytargać stamtąd cztery zgrzewki wody. Więcej nie brałem, bo bym nie uniósł, a męcząc się z nimi, prędzej sam bym wszystko wypił. W ciągu dnia skleciłem z plastiku piaskową tratwę i targałem za sobą, co udało mi się zabrać...

Zaciąłem się czując, że ściska mnie w gardle. Posłuchałem chwilę szumów i trzasków. Przełknąłem gęstą ślinę. Nie mogłem powiedzieć żonie, że większość znalezisk straciłem po drodze.

– Mów dalej– jej głos wywołał we mnie ekscytację. Brzmiała nieco lepiej. – Słuchamy.

– Nie ma o czym mówić za bardzo. Dobrze, że się słyszymy, bo to znaczy, że wkrótce pewnie was zobaczę. Tęsknię strasznie za tobą i dziewczynkami.

– Czekamy na ciebie. Pospiesz się, proszę.

– Czekajcie. Ruszam za kilka godzin. Wyłączę się teraz, żeby nie marnować baterii. Bez odbioru.

Poczekalem, aż wskaźnik naładowania krótkofalówki wskaże maksimum i odłączyłem ją. Z bagażu wygrzebałem mój stary telefon. Jego czarna, szklana obudowa była porysowana od piachu. Podłączyłem go do maty i czekałem. Po jakimś czasie mogłem go włączyć.

Nie łudziłem się, że będę mógł z niego skorzystać. Sieci komórkowe już nie istniały. Musiałem kilkakrotnie stuknąć w szwankujący ekran, by w końcu wybrać ikonę galerii. Już po chwili patrzyłem na zniekształcone, ledwie niewidoczne zdjęcia żony i córek. Uśmiechały się do mnie z pokładu Betsy Blue. Pamiętam ten dzień doskonale. Płynęliśmy po otwartym morzu. Fale cudownie kołysały łajbą, lekki wiatr dął w żagle. Cudowne krople czystej wody pryskały na nas, łagodząc spiekotę lejącą się z błękitnego nieba. To był piękny dzień. Gdyby tylko nie to posępne spojrzenie żony, które zdradzało, iż jej uśmiech nie był do końca szczery. Była głodna. Dziewczynki były głodne.

Nazajutrz wszystko się zmieniło. Przyszło osłabienie, potem omdlenia. To spojrzenie nadal przenika mnie na wskroś. Prześladowuje w snach.

Pamiętam niebotyczne łuny na horyzoncie i wielkie fale, które niemal wywróciły Betsy Blue. Dziewczynki skryły się pod pokładem, a ja starałem się ratować maszt i żagiel. Żona pomagała, jak mogła, ale posłałem ją na dół, żeby uspokoiła córki.

Dziwne, ale nie natrafiliśmy na żaden inny statek. Radiostacja przestała łąpać jakiegokolwiek sygnały i transmisje. Nawigacja niemal natychmiast przestała działać. Na niebie nie widać było ani jednego ptaka ani samolotu. Z każdym kolejnym dniem chmur na niebie ubywało, aż w końcu całkowicie zniknęły.

Po jakimś czasie dopłynęliśmy do lądu. Pozwoliłem dziewczynom zejść na brzeg, ale na krótko. Napotkaliśmy wypaloną ziemię, na której nie znać było ani grama zieleni. Wszystko wyglądało na wymarłe, wysuszone, jakby przeszła tamtędy ognista szarańcza.

Udałem się wtedy na pierwszy, krótki wypad. To, co znalazłem w pobliskim miasteczku, a raczej jego pozostałościach, potwierdziło moje najbardziej koszmarne domysły. Wróciłem czym prędzej na Betsy Blue i wypłynęliśmy w dalszy rejs.

Tłumaczyłem dziewczynom, że to taki nasz nowy styl życia. Wolność tak właśnie wygląda, mówiłem. One słuchały, a żona płakała skulona w kącie pod pokładem. Ona wiedziała. Byliśmy wolni, ale nasz świat się skończył.

Woda, którą odzyskałem, śmierdziała zgnilizną. Czym prędzej popiłem nią antybiotyki i suplementy witaminowe, sprawdziłem, ile jeszcze w manierce mi zostało tej czystej. Złożywszy obozowisko ruszyłem przed siebie.

– Droga Betsy Blue – umiłałem sobie czas piosenką. – Czekaj na mnie, w porcie snów, w zatoce marzeń, gdzie zakotwiczyłem serce moje.

Tobół ciążył mi, lecz nie miałem zamiaru się zatrzymywać. Nie miałem też zbędnych rzeczy, które mógłbym wyrzucić by odciążyć plecy. Szedłem wzdłuż krawędzi niebotycznych wydm, a na północny zachód kierowałem się względem gwiazd. Popas zrobiłem po północy, pod niemal pełnym księżycem. Pozwoliłem sobie na chwilę odpoczynku, delektując się nieco chłodniejszym powietrzem.

Zawsze myślałem, że w nocy pustynia oddaje ciepło nagromadzone za dnia. Dziwne, ale okazało się, że wcale tak nie jest. Może to kwestia suchego powietrza, a może konsystencji i składu piachu. Czasami miałem wrażenie, że tak naprawdę to nie jest piach, a zmielone na miazgę okruchy naszej cywilizacji. Samochody i budynki, telefony i komputery zniwelowane do najmniejszych drobinek. Beton wymieszany ze szkłem i okruchami metalu, przyprószony popiołami. Tylko plastik się ostał z jakiegoś powodu.

Podczas marszu napotkałem karawanę. Grupka ludzi targających piaskowe sanie, jak ja, kiedy jeszcze miałem co targać. Zatrzymałem się, gdyż spostrzegłem, że i oni mnie zobaczyli. Pomachałem, oni odmachali. Ominąłem ich szerokim łukiem. Ani ja nic do nich nie miałem, ani oni najwyraźniej do mnie. Żegluga uczy schodzić większym łodziom z drogi. Myślę, że nie raz i nie dwa, ta zasada uratowała mi życie.

Dziwne, ale nie bałem się samotnego marszu. Jeżeli już udało się kogoś spotkać, byli to wychudzeni, mentalnie zaparkowani na skraju szaleństwa nędzarze. Bali się wszystkiego i uciekali, jak spłoszone zwierzęta. Rzadko kiedy trafiał się ktoś agresywny.

– Tato? – Z zamyślenia wyrwał mnie delikatny głosik przebijający się przez trzaski. – Tato...

Czym prędzej wyłuskałem krótkofalówkę. Z jakiegoś powodu serce waliło mi jak oszalałe.

– Tak kochanie? Wszystko w porządku.

Czekałem, czując jakby niebo miało mi się zwalić na głowę, jakby pustynia miała się rozewrzeć i pochłonąć mnie na zawsze. Wiedziałem, że coś się stało.

– Tato – młodsza córka odezwała się w końcu. Brzmiała na przerażoną. Kiedy świat się skończył, miała ledwie cztery lata. – Jestem sama...

– Jak to jesteś sama? Gdzie jest mama?

– Nie wiem... – chlipnęła. W tle wyraźnie dało się słyszeć odgłos butów na pokładzie.

– Tato, to ty?

Coś ścisnęło mnie w klatce piersiowej. Wiedziałem, że słowa te nie były skierowane do mnie. Ktoś się do niej zbliżał. Zacząłem ją wołać, błagać, by się gdzieś schowała. Krzychałem jej imię, wywoływałem żonę, ale nikt mi nie odpowiadał. Nic już nie słyszałem.

Puściłem się biegiem przed siebie. Brnąłem przez piach, przewracałem się. Im szybciej chciałem biec, tym pustynia mocniej wiązała moje nogi, jakby chciała mnie przytrzymać. Wyłem jak opętany, zdarłem sobie gardło do krwi. Biegłem aż do rana, a potem w ciągu dnia, wbrew posiadanej wiedzy i instynktowi. Przemierzałem wydmę za wydmą, a wszystkie zdawały się takie same.

W końcu padłem z wycieńczenia. Ostatkiem sił przykryłem się płachtą. Ogarnęła mnie rozpacz. Raz po raz wciskałem klawisz krótkofalówki, bezskutecznie wywołując Betsy Blue.

Znalazłem ich nad ranem. Zobaczyłem ze szczytu wydmy, kiedy zdało mi się, że dowlokłem się na krawędź świata. Ale oto rozciągała się przede mną nieskończona równina, płaska niczym blat stołu. Jak wszystko inne, pokrywał ją piach. Wiatr zdawał się wywiewać go na zewnątrz, potężnymi podmuchami zabierał wielkie tumany tańczące w dali niczym szaleni derwisze. Pachniało tu solą i jodem.

Zbliżyłem się niemal na zasięg głosu. Siedzieli przy chatce skleconej z prętów, brezentu i aluminiowych słupków. Jeden, bardziej czerstwy i przysadzisty, skórował schwyte węże, aby wywieszać je na kawałku drutu, by w ciągu dnia kruszały na słońcu. Drugi, żyłasty i najwyraźniej nieco starszy, klecił naczynia z pozbieranych śmieci. Sami byli jak gady. Poruszali się wolno, oszczędzali energię, jakby każdy zbędny ruch mógł ich wycieńczyć. Wyglądali jednak na w miarę zdrowych. Żadnych poparzeń od słońca, żadnych narośli czy ubytków.

Nie zauważyli mnie jeszcze, a ja zatrzymałem się, żeby podziwiać ich niemą rutynę. Pozazdrościłem im wzajemnego towarzystwa i aż mnie skręciło, kiedy zatęskniłem do żony i dziewczynek, których losu nie mogłem być już pewny. Ich i mojej Betsy Blue.

Pozwoliłem im się zobaczyć. Stałem tak długo, aż ustalili, czy aby chcą ze mną rozmawiać. Podjąwszy decyzję, ten szczuplejszy zamachał.

Zbliżyłem się do nich. Rzuciłem worek pod nogi i niemal bez sił klapnąłem na piachu.

– Samotny wędrowiec – powiedział ten starszy. – Rzadko widuje się już innych ludzi.

– Rzadko – wychrypiałem niemal niezrozumiale. Czułem krew w ustach.

Drugi mężczyzna przyglądał mi się nieufnie. Co chwila czułem na sobie jego wzrok, kiedy unosił oczy sponad swego krwawego zajęcia. Z zadziwiającą precyzją jego nóż zagłębiał się w ciałach gadów. Musiał być ostry jak brzytwa, bo sprawnie mknął od głowy ku ogonowi. Następnie jednym szarpnięciem, mężczyzna odrywał skórę od różowego mięsa.

– Jesteś jak ci głupcy, co chodzą w karawanach? – zapytał ten starszy. – Kursują między osadami, zbierają śmieci na pustyni i myślą, że to ich nowy cel w życiu. Że handel stanie się ich namiastką cywilizacji. Idioci.

– Nie – odparłem. – Mój cel jest inny.

– Jaki?

Cichy trzask krótkofalówki sprawił, że drgnąłem jak porażony. Wyciągnąłem urządzenie i przystawiłem do ucha. Trzaski i szumy powtórzyły się, lecz nie było słyhać nic co przypominałoby głos mojej żony lub córek.

– Zepsuta – skwitował mój rozmówca. – Nie ma sensu jej targać ze sobą.

– To mój jedyny kontakt z żoną – warknąłem, zdaje się, że zbyt agresywnie. Byłem wycieńczony, więc złagodziłem ton. – Czeka na mnie na naszym jachcie.

Człowiek skórujący węże syknął, gdy nóż mu się omsknął, raniąc go w dłoń. Zaklął i przyłożył rękę do ust.

– Czyli masz dom. – Starszy mężczyzna nie przejął się towarzyszem. – Założyliście osadę?

– Nie – pokręciłem głową. – Nie do końca. Betsy Blue to nasz jedyny dom, ale to jacht. Zacumowałem go na brzegu morza.

Obaj gospodarze spojrzeli na mnie w dziwny sposób. Ten starszy wstał, zbliżył się i położył mi rękę na ramieniu.

– O jakim ty morzu mówisz? – zapytał. – Nie ma już mórz. Nie ma rzek. Nic nie ma.

– Nieprawda. Przyłynęliśmy tu. Nie kłamię.

Pożałowałem starucha. Wraz ze swym towarzyszem żył tu bez nadziei. Doskonale wiedział, że jedyne co robi, to odsuwa w czasie nieuniknione.

– Strudzony drogą jesteś – odwrócił się i począł w kierunku chaty. Zgarnął naczynia zrobione z plastiku i zaniósł je do środka. Po chwili wychynął i przyniósł mi niewielką butelkę zawierającą nieco mętą, ale jednak wodę. Odebrałem prezent, otworzyłem, powąchałem. Zdawała się całkiem świeża. Podziękowałem.

– Muszę iść – spróbowałem się podnieść, lecz nie miałem sił. Dopiero teraz poczułem, jak bardzo jestem głodny. – Muszę...

– Odpocznij – polecił mężczyzna. – Dzień wkrótce wstaje. Możesz rozbić obóz tu, gdzie jesteś, ale do chaty się nie zbliżaj. Wieczorem porozmawiamy.

Siedziałem w cieniu rzucanym przez namiot sklecony z kostura i płachty, patrzyłem na matę solarną, jak ładowała krótkofalówkę. Co jakiś czas wywoływałem żonę.

– Betsy Blue, Betsy Blue. Jak mnie słyszysz?

Bez skutku. Byłem przerażony. Ruszyłem przed siebie, ale wciąż brakowało mi sił.

Być może niedobór leków sprawił, że żona znowu pogrążyła się w odmętach depresji. Może leżała teraz niezdolna, niechętna nawet do podniesienia słuchawki radiostacji. Starsza córka bardzo źle zniosła długi rejs. Kiedy cumowaliśmy u brzegu pustyni, chorowała. Musiałem się nią opiekować, gdyż żona nie miała do tego głowy. Próbowałem racjonalizować, lecz nie umiałem sklecić żadnego scenariusza, który nie byłby makabryczny.

Przed sobą miałem pokrytą brezentem chatę moich tymczasowych gospodarzy. Jeszcze przed świtem słyszałem, jak krzątają się w środku, lecz teraz nastąpiła niemal kompletna cisza. Towarzyszyło mi jedynie zawrozczenie wiatru szarpiącego materiałem, przewalającego wszędobyłskie śmieci.

Przefiltrowałem ofiarowaną wodę z mułu i co jakiś czas zwilżałem nią spierzchnięte usta. Nie jadłem od kilku dni, a suszące się w słońcu węże wyglądały nader smakowicie. Nie mogąc się opanować, naciągnąłem na głowę kaptur, a na ręce rękawiczki. Chwiejnym krokiem ruszyłem pochylony, czując jak materiał na plecach rozgrzewa się niemiłosiernie.

Nie dotarłem do węży, gdyż moją uwagę zwrócił element, z którego była zbudowana chata. Dostrzegłem bowiem wyróżniający się wspornik rozciągający brezent. Z dala wyglądał jak aluminiowa rura, jednak z bliska wypływały chrom trudno było pomylić z czymkolwiek innym. Długość, łuki i żebrowania, wszystko wyglądało jak relingi zdjęte z łodzi, a konkretnie z jachtu... Z mojego jachtu.

Niežnośny niepokój zmienił się w panikę, a panika w grozę. Nie przegoniły głodu, a pustkę w trzewiach zamieniły w zimny supeł sporządzony z lodowej liny. Zacząłem baczniej przyglądać się chacie. Delikatnie odsuwałem brezent, dokładnie sprawdzając warstwy materiału, a to co tam odkryłem, wstrząsnęło mną do głębi. Chata w całości została pokryta żaglem.

Zacisnąłem zęby. Skuliłem się i zamknąłem mocno powieki, trzęsąc się na całym ciele. To nie mogła być prawda... To nie mogła być prawda.

Leżeli na wspólnym posłaniu, pochrapując cicho. Podłoga chaty zrobiona została z folii, barłóg sklecono z piankowych materacy i starych kocy. Pod ścianami stały szafki z ustawionymi nań bibelotami. Gumowe zabawki, zmięta i wypłowiała fotografia przedstawiająca gospodarzy, nawet jedna książka. W kufrach transportowych trzymali całkiem spory zapas puszek z owocami, piklami i jedzeniem dla psów.

Znalezisko, które mnie najbardziej frapowało, to leżący na stole pistolet na flary. Czerwony, z szeroką lufą i cienką linką zawiązaną w jeden z moich ulubionych węzłów. Nadal pamiętam, jak go plotłem.

Pierwszy obudził się starszy mężczyzna. Zamrugał nieprzytomnie, a kiedy zobaczył moją posępną figurę górującą nad nimi, szarpnął się i zbudził towarzysza. Już po chwili obaj patrzyli na mnie w napięciu, nie śmiać się podnieść. W dłoniach trzymałem kostur, za paskiem miałem raketnicę.

– Mówiłem ci, żebyś tu nie wchodził – powiedział starszy mężczyzna. Jego towarzysz drgnął nieznacznie.

– Skąd wzięliście moje rzeczy? – zapytałem martwym głosem.

– Jakie rzeczy? Nie wiem, o czym mówisz – dziad zgrywał niewinnego, lecz mnie nie oszukał.

– Relingi z mojego jachtu, żagiel, raketnicę i cholera wie co jeszcze.

– O czym ty...

Stary nie dokończył, gdyż jego kompan obrócił się i sięgnął po nóż leżący nieopodal. Zwinął się, by wstać, lecz nie zdążył. Zamachnąłem się i zdzieliłem go kosturem przez łeb. Cios posłał go wprost na półki, z którymi wpadł w brezentową ścianę. Osunął się na ziemię bez życia. Z wgniecionej skroni sączyła się krew.

Drugi mężczyzna zawył w gniewie i żalości, lecz nie odważył się ruszyć.

– Żadnych gier – zagroziłem. – Zaprowadzisz mnie tam, skąd ukradliście te rzeczy.

Szliśmy niemal całą noc, a mój towarzysz nie odezwał się do mnie nawet słowem. Początkowo nagabywałem go, żeby zdradził, czy widział moją żonę i córki, czy nic im się nie stało. Bełkotał coś bez sensu, a w końcu przestał mówić cokolwiek. Ja zaś, coraz bardziej roztrzęsiony, co chwila próbowałem wywoływać Betsy Blue przez krótkofalówkę, aż i ta rozładowana przestała odpowiadać.

Staruch potykał się co jakiś czas, a kiedy zdawało się, że zaraz zemdleje, dawałem mu odrobinę wody. Musiał doprowadzić mnie do jachtu.

– Droga Betsy Blue... – jęczałem łamiącym się ze strachu głosem. – Czekaj na mnie... w porcie snów... w zatoce marzeń... gdzie zakotwiczyłem serce moje. Czekaj... a w rejs wypłyniemy znów.

Szliśmy równiną, po lewej mając górujące nad nami pasma wydm. Mijaliśmy wyspy usypane z plastikowego śmiecia, popękane od słońca opony, a nawet wrak czegoś, co musiało kiedyś być samochodem. Brodziliśmy w drobnym piachu bielącym się w mdłym świetle księżycy. Przeklinałem nów, zawsze dawał najmniej światła.

Kadłub Betsy Blue wryty był w mojej pamięci, odbijał się cudownymi liniami w najcieplejszych zakamarkach duszy. Długi i smukły. Całe lata pracowałem, aby ją odnowić. Pamiętam, jak ją malowaliśmy, jak białymi literami wypisaliśmy nań jej imię. Potem było pierwsze wodowanie, chrzest i dziewiczy rejs. Betsy stała się naszym drugim domem, a po tym jak świat się skończył, jedynym domem.

Wbrew pozorom, samotność na morzu dobrze mi robiła. Nigdy nie lubiłem tłumów ani zgiełku. Samotne rejsy przynosiły mi zwykle ukojenie, a te odbywane z rodziną, cudowną satysfakcję. Dlatego też, kiedy nie było już dokąd płynąć, naprawdę uważałem że staliśmy się prawdziwie wolni. Byliśmy jak pionierzy tyczący szlaki. Wszystkie wody stawały się nowymi, każdy ląd dziewiczym.

Moja żona nie podzielała tego spojrzenia. Nawet przyjmując leki, potrafiła na wiele dni zamknąć się w sobie i nie wychodzić spod pokładu. Dziewczynki nie odstępowały jej na krok, choć były coraz bardziej przerażone. Zmożona chorobą starsza córka wkrótce dołączyła do żony, a ja nie wiedziałem, co czynić. Wszyscy byliśmy głodni, przerażeni i zamknięci na małej powierzchni pośród falującego bezkresu. Patrzyłem na najmłodsze dziecko i serce mi się krajało. Nie chciałem, żeby umierała z głodu jak my. Niczym sobie na to nie zasłużyła.

Kiedy więc zobaczyłem przewrócony kadłub Betsy Blue, miałem wrażenie, że świat zachwiał mi się pod nogami. Już z dali dostrzegłem złamany maszt ze strzępami żagla powiewającego na wietrze.

Nie zwracałem już uwagi na idącego ze mną starca, tylko rzuciłem się biegiem. Potknąłem się o jakieś śmieci. Zakląłem w kierunku księżycy, wstałem i biegłem dalej.

Betsy Blue była w opłakanym stanie. Leżała na boku z mieczem skierowanym ku górze. Farba na kadłubie się łuszczyła, litery były prawie niedostrzegalne. Ale to była ona, moja ukochana krypa, mój jedyny dom.

Z zapartym tchem obszedłem Betsy dookoła. Stałem, patrząc na pochylony pokład, pozbawiony relingów, bloczków i olinowania. Nadbudówka została niemal doszczętnie rozebrana, wnętrze wywleczone na wierzch, niczym trzewia wieloryba rozprutego przez morską bestię.

– Betsy? – zapłakałem. – Dziewczynki?

Nogi się pode mną uginały. Głodny, zrozpaczony wysilałem oczy, lecz nic nie dostrzegałem. Wtem przypomniałem sobie o raketnicy. Wyszarpnąłem ją zza paska, odciągnąłem kurek i wystrzeliłem flarę wysoko. Czerwone światło spadającej gwiazdy zmieniło okolicę nie do poznania.

Wszystko wyglądało jak zalane krwią, czyniąc z trupa Betsy Blue nieznośny widok. Kątem oka dostrzegłem starca stojącego kilka kroków obok mnie.

– Gdzie one są?! – wrzasnąłem ze łzami w oczach.

Przerażony mężczyzna wznosił drżącą rękę i palcem wskazał dziurę ziejącą w miejscu, gdzie schodziło się pod pokład.

Skuliłem się w sobie i zawyłem jak dzikie zwierzę. To nie mogła być prawda. Upuściłem toból, z którego wysypały się buteleczki z lekami.

– Włóż tam – warknąłem do starca. – Włóż!

Zrobił, co mu kazałem, dopiero kiedy zagroziłem mu kosturem, na którym nadal miałem zaschniętą krew jego towarzysza. Wdrapałem się do środka zaraz za nim.

– Gdzie one są? – powtórzyłem.

– Na dole – jęknął. – Znaleźliśmy je na dole.

Na tyle, na ile było to możliwe, zeszliśmy pod pokład. Wnętrze było zasypane piachem sukcesywnie nawiewanym do środka. Tam zaś mężczyzna zatrzymał się i wskazał miejsce, gdzie znajdowały się nasze koje. Odepchnąłem go na bok i skoczyłem, by opętańczo odgarnąć piach. Spieszyłem się, gdyż flara już dogasała. We wpadającym przez szczeliny, migotliwym świetle widziałem swoje ręce, jak grzebią, jak szukają. Bardzo szybko udało mi się odnaleźć kawałki szkieletów. Sól zmieszana z piachem doskonale ogołociła je z resztek mięsa.

Flara zgasła, a ja płacząc, po omacku tuliłem do siebie kości zmarłej żony i córek. Jęczałem, wylem, nie mogąc uwierzyć w to makabryczne odkrycie.

– Tak je znaleźliśmy – usłyszałem łamiący się głos starca. – Musiały tu leżeć od dawna. Mylisz się, jeżeli myślisz, że dopiero co tu zacumowałeś. Morze cofnęło się wiele lat temu.

– Zamknij się – syknąłem. Moje palce muskały kości pokryte niegdyś mięsem, zagłębiały się w żłobienia, w ślady po cięciach i pęknięcia, z których kiedyś wylewał się szpik. Pierwsza odeszła starsza córka, potem żona. Na końcu najmłodsze dziecko.

– Nie rozumiesz? – Staruch nie dawał za wygraną. – Nie my je zabiliśmy. One były już martwe, rozczłonkowane. Ich kościnosiły ślady... – Słowa grzęzły mu w gardle. – Ktoś je...

Z dzikim rykiem odwróciłem się i rzuciłem na starucha. Zacząłem go okładać pięściami, szarpać, drapać. Wywlokłem go na zewnątrz i zrzuciłem na ziemię. Skoczyłem obok niego, złapałem za kostur i wzniosłem wysoko ponad głowę.

– Kłamca!!! – zawyłem.

...

Siedziałem na skraju chaty z brezentu, dla przyjemności zagryzając wysuszone w słońcu paski mięsa. Z błogością wsłuchiwałem się w bulgotanie dwóch zestawów odzyskujących wodę z materii organicznej. Na drucianych wieszakach obok suszyły się zapasy na drogę.

W dłoni trzymałem zmiętą, wyblakłą fotografię, przedstawiającą żonę i córki na pokładzie Betsy Blue. Jakie piękne niebo miały nad głowami. Zerknąłem na krótkofalówkę podłączoną do maty solarnej. Włączyłem urządzenie i nastawiłem na pasmo, na którym miałem kontaktować się z żoną.

– Betsy Blue, Betsy Blue. Jak mnie słyszysz? – odpowiedziały mi trzaski, ale miałem poczucie, że żona mnie słucha. – Już za wami tęsknię – uśmiechnąłem się smutno. – Nie martw się o mnie, zdobyłem solidne zapasy świeżego mięsa i wody. Ucałuj, proszę, dziewczynki i powiedz, że je kocham. Ruszam na południowy wschód. Wrócę do was, jak tylko znajdę leki...



KRWAWY PSZCZELARZ

Hubert Piškorski

Peter Evans przeniósł się z zatłoczonego Londynu do jednej z walijskich wsi. Trzydziestolatek był pisarzem i pracował właśnie nad swoją kolejną książką, lecz mała klitka,

jak nazywał swoje mieszkanie, blokowała jego wyobraźnię. Najprościej rzecz ujmując, mężczyzna potrzebował zmiany otoczenia i odnalezienia swojej przystani, gdzie mógłby spokojnie dokończyć pisać powieść. W gazecie znalazł ogłoszenie domków na wynajem i postanowił skorzystać z okazji. Myślał, że tam, na łonie natury, pośród lasów, gór i łąk odnajdzie inspirację i wenę do dokończenia swego dzieła.

Wyjechał z miasta; głośnego, zaludnionego, ciasnego i po kilku godzinach dojechał do celu: małej spokojnej miejscowości położonej na północy Walii. Od razu oczarował się wyglądem tej miejsciny. Zewsząd otaczały ją pagórki porośnięte lasami i pastwiskami, a przez środek wsi płynął szerszy strumień bystro niosący wodę w głębię kniei. Gdy odnalazł właściwy dom, nawet nie rozpakowywał swoich rzeczy, tylko poszedł na łąkę. Stał w blasku słońca i oddychał świeżym powietrzem. Potem musnął ręką trawę, która rosła razem z fioletowymi, białymi i żółtymi kwiatami. *Tu dokończę książkę*, pomyślał. Peter był szczęśliwy; poczuł się wolny niczym ten orzeł szybujący po niebie.

Po rozpakowaniu się, odwiedził gospodarzy, starszą parę rolników, którzy mieszkali w tej wsi od urodzenia. Weszli w krótką rozmowę, a potem Peter poszedł coś przekąsić. Kilkugodzinna droga dała się mu we znaki. Mężczyzna już nie mógł się doczekać, aż weźmie kartkę, długopis i pójdzie pisać. Kochał to, a w takim miejscu miłość do pisania fantastyki jeszcze bardziej w nim wzbierała.

Po południu nadeszła chwila jego spełnienia. Usiadł pod drzewem, mając przed sobą pagórkowatą łąkę, na której wypasały się łaciate krowy. Zanim zabrał się do pisania, oczyścił umysł. Wziął parę głębszych wdechów, a aromaty roślin odurzyły go niczym substancje psychoaktywne. Przymknął oczy i pozwalał, by ciepłe promienie słońca spadały na jego twarz. Czuł się tak błogo jak nigdy przedtem. Wyobraził sobie wtedy swoje lokum w Londynie przy jednej z głównych ulic. Tutaj słyszał szum drzew, muczenie krów, bzyczenie owadów, a nie hałas samochodów i gwar rozbieganych przechodniów. Tutaj czuł woń natury, a nie spaliny pojazdów i wyziewów z miejskiej kanalizacji. Odetchnął głęboko i rozwinął skrzydła umysłu, oddając się wirowi fantazji. Kreślił słowo za słowem, które łączył w zdania. Szło mu to gładko i sprawiało niebywałą satysfakcję. Czuł w głębi siebie, że robi to, co tak naprawdę kocha.

Pomarańczowa tarcza słońca ginęła za wierzchołkami drzew lasu. Łąka skryła się w cieniu, a gospodarze popędzili swoje zwierzęta do obór. Peter tak przejęty losami swoich bohaterów nie zauważył tych zmian. Pisanie pochłonęło go do reszty. Kosy, drozdy i szpaki śpiewały ukryte w gałęziach drzew, obwieszczając, że dzień powoli dobiega końca. Pisarzowi żal było schować kartkę i wrócić do domu, ale cóż mógł zrobić? Za niedługo zacznie się

ściemniać, a pisanie przy braku światła nie jest najlepszym pomysłem. Musiał więc przerwać pracę i wrócić do swojego tymczasowego lokum.

Gdy przemierzał wieś, zahaczył o drewniany most nad strumieniem. Chciał go po prostu zobaczyć. Do jego uszu wdzierał się odgłos nurtu burzącego się o kamienie. Stał na środku kładki i spojrzął w krystalicznie czystą wodę. Dno rzeczki usiane było jasnym żwirem, znalazły się tam też większe głązy, obok których przepływały pstrągi. Mimo skąpego oświetlenia, Peter zobaczył żółte podbrzusze i czarniawe plamki na tułowiach tych ryb. Jakoś naszła go ochota, by zanurzyć rękę w orzeźwiającej wodzie. Postanowił to zrobić. Zszedł na brzeg, lecz poślizgnął się na jednym z omszałych kamieni i jedną nogą zapikował w tón rzeczki. Zaklął pod nosem, lecz nie czuł złości, zrobił to raczej z czystego obowiązku.

Z przelewającą się wewnątrz jednego buta wodą, wrócił do domu.

Ściemniło się na dobre. Dzień odszedł, przeradzając się w noc. Gwiazdy rozbłysły na niebie, wyglądając jak srebrne punkty zawieszony w nicości kosmosu. Peter pił właśnie herbatę przed snem na małym tarasie. Był to jego codzienny rytuał. Mężczyzna nie mógł zasnąć, zanim nie wypił kubka swojego ulubionego naparu. Wsłuchiwał się w dźwięki grających świerszczy i wyglądał spadających gwiazd. To przyzwyczajenie pozostało mu jeszcze z czasów dzieciństwa, kiedy to razem z matką siadali na ławce i wpatrywali się w nocne niebo, szukając wzrokiem lejących komet. Jego dom graniczył z lasem. Między drzewami czerń nocy wydawała się jeszcze bardziej mroczna i niebezpieczna. To kręciło Petera; ta nutka tajemniczości i nieoczekiwanego, dlatego od dłuższego czasu spoglądał w głąb głuszy, jakby zobaczył tam coś interesującego.

W pewnym momencie usłyszał dźwięk przypominający ciągnięcie czegoś ciężkiego po leśnej ściółce. Szuranie narastało z każdą chwilą. Peter nie bardzo się tym interesował, gdyż sądził, że to z pewnością jakieś leśne zwierzę wyszło na żer. Może dzik albo jelen. Dopił swoją ulubioną malinową herbatę i poszedł spać.

Gdy on smacznie usnął, nakryty kołdrą, tam, w sercu lasu, ktoś podszedł do dwóch uli wyglądających jak porośnięte mchem i porostami głązy, które stały pod wiekowym dębem. Jego kora była czarna jak smoła. Wysoka istota przerzuciła to, co ciągnęła w pobliże siedliska pszczoł i szepnęła kilka słów. Z uli wyleciały podłużne pszczoły. Owady te były całe czerwone, jakby umoczone we krwi. Cały rój w mgnieniu oka osiadł na zwłokach, które przyciągnął stwór. Posiłały się. W powietrzu rozchodził się dźwięk bzyczenia i czegoś w rodzaju cichego mlaskania. Po kilku chwilach owady wróciły do ula. Bestia stanęła nad jednym z nich i uchyliła szary podziurawiony daszek. Przez lukę w gałęziach drzew przedarła się poświata księżycy. Spadała ona na bladą i podłużną twarz stwora. Potwór wyjął z wnętrza

ramkę, która ociekała czerwoną mazią i otworzył usta. Wypił skraplającą się do jego gęby substancję i odłożył daszek z powrotem. Następnie, jak gdyby nigdy nic, odszedł, aby skryć się wśród nocy i drzew.

Nad łąkami unosiła się gęsta mgła, przez którą przeświecało słońce. Rośliny pokryła rosa, która w połączeniu z odbijającymi się od niej promieniami słonecznymi tworzyła srebrzyste migawki, przypominające małe wybuchy gwiazd.

Peter siedział w tym samym miejscu, gdzie wczoraj i pisał. Ubrany w grubszą dresową odzież nie lękał się chłodu poranka. Po kilkudziesięciu minutach podniósł wreszcie wzrok znad kartki i spojrzał przed siebie. Zdębiał w ułamku sekundy. Przed nim w odległości pięćdziesięciu metrów, na granicy mgły, stał jelen. Byk¹ w pełnej krasie z rozłożystym porożem. Mężczyzna nie mógł oderwać od zwierzęcia wzroku. Chwilę później jelen uciekł do lasu, jakby coś go spłoszyło. Peter podążał za nim wzrokiem.

Wstał z trawy i rozejrzał się dookoła. Omiótł spojrzeniem mgłę i przez krótki moment miał wrażenie, jakby jakaś postać ukrywała się za mleczną kurtyną. Gdy mrugnął, już jej nie było. Stwierdził, że z pewnością mu się przywidziało i nie musi sobie zaprzętać tym głowy. Być może to któryś z gospodarzy wyprowadzał krowy na pastwisko i mignął mu przez chwilę we mgle. Teraz już nie było to ważne. Postanowił wrócić do domu i się zdrzemnąć.

Gdy zamykał powieki, leżąc na łóżku, przed oczyma miał obraz majestatycznego jelenia uciekającego pędem między drzewa. *Tam ktoś stał*, rozbrzmiewał głos w głowie pisarza. Tylko kto? Może ktoś go obserwował? *Nie, bez przesady, nie popadaj w histerię*, uspokajał się w myślach. Koniec końców zapadł w płytki i niespokojny sen.

Wybudził się około dwunastej. Wypił kawę i poszedł do gospodyni po jajka, żeby przyrządzić sobie jajecznicę. Gdy wszedł do jej domu, poczuł się dziwnie. Kobieta patrzyła się na niego z ukosa i go zbywała. Odpowiadała na jego pytania zdawkowo i wyglądała tak, jakby chciała, żeby jak najszybciej opuścił jej dom. Peter wpadł w konsternację. Przecież wczoraj była dla niego miła i życzliwa, więc skąd wzięła się taka zmiana? Zabrał jajka i już miał wychodzić, gdy zobaczył na ścianie w korytarzu jakiś symbol. Znak przypominał pszczołę, tylko taką nieforemną, jakby malowaną ręką dziecka. Była ona cała czerwona, a pod

¹ Słowo pochodzące z gwary łowieckiej, określające samca: jelenia, łosia, daniela i żubra.

nią widniały kreski, które ktoś skrupulatnie skreślał, jak skazańcy w celi więziennej. Peter zerknął przez ramię, czy aby starsza kobieta go nie obserwuje, wyciągnął rękę i dotknął nieznanego mu symbolu.

Powietrze wokół niego zawibrowało, a na dłoni poczuł oparzenie, jak gdyby wsadził rękę do ogniska. Serce podskoczyło mu do gardła. Wypuścił wytłaczankę z jajkami z drugiej ręki, a te rozbiły się o podłogę. Przerażony z trudem cofnął dłoń, która była jak namagnesowana. Oczami rozszerzonymi do nienaturalnych rozmiarów spojrzał w głąb korytarza, gdzie stała kobieta. Patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby tkwiła w głębokim transie. Otworzyła usta i wydała z siebie nienaturalny i niski dźwięk.

– Wezwalesz go.

Włosy na karku stanęły Peterowi dęba. Kogo wezwał? I co to miało znaczyć? Co to za symbol? O co tu chodzi? W mgnieniu oka starał się naraz odpowiedzieć na te pytania.

Kobieta odwróciła się i jak gdyby nigdy nic, wróciła do kuchni. Przez ciemny korytarz szła chwiejnym i powolnym krokiem. Peter wybiegł z chaty. Potrząsał ręką co jakiś czas, starając się pozbyć uczucia gorąca ze skóry. Jego palce były zaczerwienione. Nie potrafił tego pojąć. Czuł się tak irracjonalnie, jakby przeniósł się do jednej ze swych powieści. *Przecież to nie może dziać się naprawdę*, myślał.

Po południu nadciągnęła burza. Niebo pokryło się gęstymi bordowymi chmurami, przysłaniającymi słońce. Zapanował mrok, który rozświetlały tylko krótkie rozbłyski błyskawic. Peter siedział przy oknie i wpatrywał się w strugi deszczu lejące się z nieba. Palce cały czas go piekły. Coś tchnęło go, aby przeszukał dom, żeby sprawdzić, czy nie ma w nim tego samego symbolu wyrytego na ścianie.

Obejrzał wszystkie pokoje, lecz go nie znalazł. Zszedł do niewielkiej piwnicy. Wziął ze sobą latarkę i świecił po kamiennych ścianach, od których biło zimno. Po kilku chwilach ujrzał to, czego szukał. Taka sama pszczoła widniała namalowana na jednym z kamieni. W głowie się mu zakręciło. Czym prędzej opuścił piwnicę, jakby zobaczył tam samego diabła. To przestawało być zabawne.

Peter nie wiedział, co ma zrobić. Wrócić do Londynu, czy zostać tutaj dłużej. Po długiej walce z myślami postanowił się spakować i jak tylko burza przejdzie, od razu wracać do stolicy. To miejsce zaczęło go przerażać.

Gdy za oknem pioruny i grzmoty przeszywały niebo, on pakował swoje rzeczy do walizek i toreb. Po części odczuwał, że wraz z burzą nadeszło na wioskę coś gorszego, jakaś zgroza, której nie umiał opisać. W jego mieszkaniu stanęły wszystkie zegary, padł mu telefon,

a za oknem ciągle majaczyły ciemności. Deszcz walił o szyby z taką intensywnością, że Peter myślał, że zaraz wypadną one z framug i stłuką się na miliony kawałków.

Siedział w ciszy domu; nie wiedział, która jest godzina i kiedy ta okropna ulewa wreszcie przejdzie. Odczuwał coraz większy niepokój, jakby coś złego czaiło się na niego. Bał się przejść do sąsiedniego pomieszczenia. Paraliżował go lęk. Wzdrygał się nerwowo na każde uderzenie kropli deszczu w okno. Trzydziestolatek nie mógł znieść tego stanu.

Przez ściany dało się usłyszeć słowa jakiejś piosenki płynącej z zewnątrz. Peter zdziwiony tym faktem poszedł do drzwi i uchylając je, wyjrzał na zewnątrz. Osłupiał, gdy zobaczył wszystkich mieszkańców wsi stłoczonych na głównej ulicy i śpiewających jakąś starą pieśń. Stali oni w półkolu, a w środku tego okręgu znajdowała się gospodyni, od której dom wynajął pisarz. Byli cali mokrzy. Wyglądali, jakby byli w jakimś transie. Jakby brali udział w jakimś dawnym rytuale lub czarnej mszy. Albo... składali ofiarę. *Nie, na pewno nie*, wybijał sobie tą myśl Peter, który przestawał już myśleć racjonalnie.

Piorun przeszył niebo, a głuchy grzmot rozniósł się nad lasem i łąkami. Zebrani mieszkańcy jeszcze głośniejsze zaczęli śpiewać, jakby chcieli przekrzyczeć burzę. Wzywali kogoś lub coś. Coś potwornego i okrutnego.

Peter patrzył się na to wszystko jak zahipnotyzowany. W pewnym momencie palce znów zaczęły go mocniej piec. Nagle w oddali, na granicy lasu i łąk, pojawiła się wysoka i ciemna postać. Szła bardzo powoli. Z każdym krokiem przybliżającym ją do wsi serce Petera łomotało silniej. Pompowało krew z nadzwyczajną szybkością. Dłoń zjechała mężczyźnie z klamki i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak bardzo pocił się ze strachu.

Pisarz nie zobaczył dokładnego wyglądu tejże osoby. Widział jedynie to, jak pociągnęła za włosy staruszkę i ruszyła z powrotem do lasu. Ludzie patrzyli się, jak potwór zabiera bogu ducha winnego człowieka i nawet nic nie zrobili. Nikt z nich nie ruszył palcem. Peter także nic nie uczynił, zbyt bardzo sparaliżowała go trwoga. Bał się o swoje życie, dlatego nie mieszał się w sprawy wioski.

Zamknął drzwi, dopiero gdy stwór zniknął między drzewami. Tłum nie rozchodził się. Stał dalej, moknąc na deszczu. Peter był teraz pewny, że czym prędzej musi stąd wyjechać. Tutaj działy się mroczne rzeczy.

Nie zważając na burzę, wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce. Deszcz walił o karoserię samochodu, wygrywając głuchą melodię. Auto nie chciało odpalić. Peter zaklął i poszedł otworzyć maskę, aby sprawdzić, co się stało. Gdy to uczynił, spostrzegł, że w jego pojeździe brakuje akumulatora. Rozejrzał się i na błotnistym podłożu dostrzegł ślady

stóp, które rozmywał deszcz. Prowadziły one wprost do chaty gospodarza. Nie pozostawało mu nic innego, jak odebrać swoją własność i wyjechać stąd.

W domu starego mężczyzny, świeżego wdowca, panował mrok i czuć było dziwny zapach przypominający palone kadzidło. Peter szedł powoli korytarzem, a serce tłukło mu się w gardle. Dlaczego staruszek zabrał jego akumulator? Tego nie mógł zrozumieć. Stał w miejscu, gdzie na ścianie widniał znak pszczoły. Płonął on czerwoną poświatą, tak ostrą, że Peter musiał zmrużyć oczy. Gdzieś w głębi domu zaskrzypiały deski, przez ten dźwięk mężczyzna wpadł w jeszcze większą panikę.

W jednym z pokoi, w którym okna zasłonięte były grubymi kotarami, znalazł starca. Stał on na środku pomieszczenia i szeptał coś pod nosem. W rękę trzymał nóż. Odwrócił się w stronę gościa i ruszył w jego kierunku. Peter myślał, że mężczyzna chce go zamordować. Odskoczył zwinnie, gotowy do walki o życie. Starzec jednak go ominął, jakby nie zdawał sobie sprawy, że w ogóle ktoś jest w jego domu. Przeszedł do korytarza i pod znakiem owada wrył jedną kreskę, którą później skreślił.

Peter stał dalej zdezorientowany i tępym wzrokiem spoglądał na to, co czyni gospodarz. W głowie miał straszny mętlik. Gdy starzec zniknął, wchodząc do jednego z pomieszczeń, Peter opuścił jego dom. Przez to całe zajście z umysłu wyleciała mu sprawa z akumulatorem.

Wyszedł na deszcz. W mgnieniu oka jego ubranie doszczętnie przemokło, a z kosmyków dłuższych włosów na czoło spadały krople wody. Mężczyzna czuł, jak jego rozpaloną od emocji skórę chłodzi deszcz. Zamknął oczy i myślał, co ma dalej robić. Bez samochodu nie ucieknie daleko.

W powietrzu czuć było grozę, która zawisła nad wsią, jakby ktoś nakrył ją kloszem trwogi. Peter domyślał się, że porwanie kobiety nie było najgorszym, co może się tu zdarzyć. Musiał stąd wyjechać.

Pobiegł do innego gospodarstwa. Nie zważał na kałuże; jego buty i tak od dłuższego czasu magazynowały wodę. Błotnistą ścieżką dotarł do celu. Bez pukania otworzył drzwi i wtargnął do środka niewielkiego budynku. To, co tam ujrzał, przyprawiło go o gęsią skórę.

Na środku największego z pokoi, w okręgu na podłodze, siedziała cała rodzina; pięć osób, które mamrotały coś pod nosami, jakby odmawiały modlitwę. *Co tu się, do cholery, dzieje*, pomyślał Peter z tej ogarniającej go bezradności.

Jedna z kobiet odwróciła głowę w jego kierunku i rzekła:

– Nie uciekniesz. Będziesz następny.

Te słowa wprawiły Petera w nadprzyrodzony lęk. Czuł się tak, jakby to wszystko było tylko wytworem jego wyobraźni. Uszczypnął się, myśląc, że to mu się śni. Niestety to nie był sen. Z całych sił pragnął wrócić do swojej klitki w Londynie, ale nie mógł, był uziemiony.

Co mógł zrobić? Było jedno wyjście. Piesza ucieczka.

Ciałem Petera wstrząsały dreszcze, jakby całowała go sama śmierć. *Już nie ma odwrotu*, pomyślał. Zostawił rodzinę w spokoju i z sercem w gardle wyszedł na dwór. Deszcz padał jeszcze mocniej i ściemniło się na dobre, jakby pogoda nie chciała wypuścić Petera z wioski. Przynajmniej on miał takie wrażenie. Zebrał się w sobie i przezwyciężył swój strach. Pozostawił auto i bagaże, i pobiegł jedną z dróg. Sądził, że niedaleko jest kolejna wioska, w której znajdzie pomoc.

Po kilkuset metrach brakło mu tchu w płucach. Zwolnił. Deszcz padał jeszcze mocniej, a zewsząd rozchodziło się dudnienie spadających i rozbryzgujących się o ziemię i rośliny kropel. Szum w uszach mężczyzny stawał się nie do zniesienia. Nie potrafił zebrać myśli. Nie znał okolicy i napełniało go poczucie zagubienia.

Droga wiodła przez las i często skręcała. Peter maszerował nią od dobrych kilkudziesięciu minut. Oglądał się co chwilę za siebie, czy ktoś nie idzie jego śladem. Obawiał się pościgu, ale z drugiej strony dlaczego ktokolwiek miałby go gonić?

Mijały godziny. Peter wszedł w mroczny las. Panował tutaj mrok, a powietrze stało się lodowate i przepełnione ludzkim cierpieniem. Tak odczuwał to mężczyzna. Wysokie świerki rosły tak gęsto, jeden przy drugim, że praktycznie swoimi wierzchołkami zasłaniały widok ciemnego nieba. Za kolejnym zakrętem kończył się asfalt. Peter zgłupiał do reszty. Pamiętał przecież dobrze tę drogę, bo jechał nią do wsi. Teraz z każdym metrem się zwężała, a jej pobocze porastały rozłożyste krzewy. Postanowił nią pójść.

W pewnym momencie zobaczył na drzewie wyryty znak krwistego owada. Zdębiał. Czemu ten symbol go prześladował? Nawet tu - w środku lasu - nie mógł się od niego uwolnić. Peter wpadł w panikę i zaczął biec. Rozpląkał się z bezradności. Ostre gałązki krzewów raniły jego twarz, rozcinając skórę. Mężczyzna czuł pieczenie na policzkach. Kilka razy runął na ziemię, bo stopą zahaczył o gałąź lub potknął się o kamień. Umorusany od błota wstawał szybko i nie zważając na nic, biegł dalej.

Płuca zaczynały go palić, opadał z sił, a przed oczami wyskakiwały mu mroczki spowodowane zmęczeniem i wycieńczeniem organizmu. Zatrzymał się przy jednym z drzew. Wsparł się rękami o kolana i dyszał ciężko. Z trudem łapał powietrze. Rozejrzał się wokół i spostrzegł bardzo stary dąb o czarnej korze, pod którym ustawione były dwa omszałe głązy. A przynajmniej tak początkowo stwierdził Peter.

Podszedł bliżej.

Nagle zza drzew wychyliła się mroczna postać. Peter przyjrzał się jej uważnie. Miała białą i podłużną twarz. Nie miała warg i powiek, a nos był spłaszczony. Stwór był łysy i nadzwyczaj wysoki, ubrany w ciemne i podarte łachmany. Patrzył się na niego czarnymi oczami, a pisarza sparaliżował strach. Czuł się tak, jakby stanął oko w oko ze swoim największym koszmarem. Potwór wyszeptał coś pod nosem, a chwilę potem od głązów dobiegał dźwięk bzyczenia owadów. Dopiero teraz Peter zdał sobie sprawę, że to nie są głązy tylko ule pełne pszczół.

Krwiste owady wyleciały całym rojem. Wyglądały jak krwiożercza chmura zagłady. Do Petera doszła świadomość, że umrze. Nie mógł liczyć na żaden ratunek. Owady tak szybko pokonały dystans dzielący je od swej ofiary, że mężczyzna nie zdążył nawet zrobić kilku kroków wstecz, nie mówiąc już o ucieczce. Osiadły go całego. Żądliły boleśnie i gryzły. Peter leżał na ziemi i dygotał. Czuł, jak pszczoły wgryzają się w jego skórę, zjadają tkanki i pijają krew. Ból stawał się nie do zniesienia. Krzyczał, wymachując rękami i nogami, ale te ruchy nie odpędzały owadów, a wręcz przeciwnie - tylko bardziej je rozsierdzały. Stawały się bardziej okrutne i zajadłe.

Pszczoły umorusane były jego krwią. Ich rozmiary powiększyły się dwukrotnie, nic dziwnego, w końcu najadły się do syta. Peter stracił przytomność. Wykrwawił się i jego duszę zabrała śmierć. Umarł w okropny sposób. Owady powróciły do ula, pozostawiając jego szczątki rozrzucone na ściółce.

Biała postać, nie czekając długo, otwarła ul i spiła z ramki czerwoną maź. Jedyłą pozostałość po Peterze, pisarzu, który chciał dokończyć swoją powieść w spokojnej, walijskiej wsi.

Syn Petera, trzynastoletni Sam, o którego istnieniu mężczyzna nie miał pojęcia, czytał książkę poświęconą wierzeniom dawnych ludów Walii, Anglii i Szkocji. Leżał w swoim łóżku i spoglądał na ryciny w książce. Znalazł tam jedną, która go szczególnie zainteresowała. Przedstawiała ona wysokiego, białego jak papier mężczyznę, który stał obok dwóch uli, a wokół niego latały czerwone pszczoły. Podpis pod zdjęciem głosił: Krwawy pszczelarz. Chłopiec przeczytał fragment tekstu pod obrazkiem.

Krwawy pszczelarz był demonem zrodzonym mocą mrocznych druidów. Miał on karać grzeszników i niegodziwców, lecz z czasem stał się rodzajem bóstwa, którego czcili

zamierzchli mieszkańcy wyspy. Coraz więcej ludności wiosek północnej Walii oddawało mu holdy i składało ofiary. W każdym z domostw widniał jego znak; krwawej pszczoły, który nasiąknięty był bardzo złą magią. Każdy, kto go dotknął, przywoływał bestię i musiał oddać jej ofiarę w postaci członka rodziny. Zabierał on wtedy takiego nieszczęśnika i rzucał swoim skrzydlatym kamratom na pożarcie, a potem spijał maź, którą wytworzyły najedzone pszczoły. To dawało mu siłę i wielką magiczną moc. Niewezwany nie robił krzywdy ludziom, jedynie czasem zabijał zblakanych w lesie wędrowców. Podobno w lasach Walii można spotkać go chodzącego wśród drzew, a niekiedy w bardzo ciche noce po kniei rozchodzi się dźwięk bzyczenia jego owadów.

Sam zamknął książkę i odłożył ją na szafkę. Zgasił lampkę nocną i przekręcił się na bok, nakrywając kołdrą.

– Dobrze, że to tylko legenda – wyszeptał, a zanim zasnął miał wrażenie, że do jego uszu dociera coraz głośniejsze bzyczenie pszczół.



MĘCZYŹNI

Tomasz Droszkowski

Dla N₂

Pamiętam, że tamtego dnia niebo było bardzo jasne i bardzo białe. Biel z góry dotykała bieli ziemi i od kiedy wyszedłem z pociągu, byłem zainspirowany widokiem. Przywoływał te wszystkie obrazy z romantyzmu, które oglądaliśmy w podręcznikach w liceum. Wyjątkowo pasujące tło do tego dnia, chcieliśmy oddać hołd szkole w taki sposób, w jaki najbardziej na to zasługiwała. Byłem podekscytowany, ale oczywiście starając się tego nie okazywać, czekałem na moją „paczkę”. Paczka była wyjątkowo niepasującym określeniem, bo znaleźliśmy się tak naprawdę od roku. A jednak, chodzenie codziennie do miejsca, na temat którego mogliśmy bez końca narzekać, i parę punktów wspólnych – oglądanie piłki nożnej, sprawiało, że wszyscy bardzo się ze sobą zżyliśmy.

Przynajmniej tak to wyglądało na zewnątrz. Sam wiem, że w wakacje wszyscy moi „kumple” wyparowywali i milkli. Wszyscy byliśmy z mniejszych miejscowości wokół

centralnego miejsca, jakim było miasteczko, w którym znajdowała się nasza szkoła. Chyba średnio czuliśmy potrzebę, żeby się odwiedzać, czy nawet utrzymywać częstszy kontakt. Dzisiaj jednak był inny dzień. Dzień Wagarowicza. Po latach okazało się, że nawet dzień wybraliśmy zły, bo prawdziwy jest w marcu. Mieliśmy wszystko zaplanowane i przygotowane już od dawna, piwa były kupione i wesolutko brzdąkały tego ranka w odpowiednich plecakach. To był pierwszy dźwięk tego ważnego ranka. Brzdęk butelek. Byłem z siebie dumny, bo trzymałem w kieszeni klucz do bycia ważną osobą w grupie, niemalże liderem – mały metalowy otwieracz. Dzisiaj każda butelka będzie przepływała przeze mnie.

Dumni z tego, że kiedy inni wyruszają do szkoły, my zaczynamy pijacką przygodę, zebraliśmy się razem. Twarze nie okazywały żadnej ekscytacji, picie było dorosłym zajęciem, poważnym, ale owioniętym pajęczynką frajdy i demonstracji siły. Ocenialiśmy się nawzajem. Kto pierwszy upadnie, kto pierwszy będzie rzygał? W ten poranek, który, na nasze nieszczęście, pokrył szronem i szarością wszystko, co znamy, mieliśmy oddzielić chłopców od mężczyzn. I na zawsze żyć według tych przekonań. Nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego – czas miał pokazać, że było tam dwóch wiejskich pijaczków bez matury, jeden biznesmen i finalnie dwóch intelektualistów – w tym ja. A jednak wtedy różnice nie znaczyły wiele. A przynajmniej tak to zapamiętałem. Nigdy nie miałem już w życiu tak zwartej grupy. Wtedy, kiedy szliśmy na nasz teren, wszyscy rozmawiali z wszystkimi. Nie rozsiewaliśmy się na mniejsze grupki. Wiadomo, każdy z nas miał swoich większych i mniejszych przyjaciół, ale kiedy byliśmy w komplecie – byliśmy monolitem. Moim najlepszym przyjacielem – i tym drugim „intelektualistą” – był Daniel.

Był z najbardziej oddalonej od nas wioski, wybór tego liceum był w jego wypadku wręcz nonsensowny. Potem dowiedziałem się, o co chodzi – w poprzedniej szkole był dręczony i chciał zacząć z czystą kartą. To nas od początku połączyło. W nowej roli wypadał różnie. Starał się być głośny i pewny siebie, śmiać się w odpowiednich momentach. Dało się to wszystko jednak przeniknąć wzrokiem – w momentach stresu był wycofany, zadawał sobie pytanie, co właściwie tutaj robi. Zagłuszał to wszystko zachłyśnięciem nowym życiem – staniem się okolicznym *badboyem* z szarego, dręczonego chłopaka. Chorobliwie chudy już w momencie przyjscia do szkoły, zaczął palić i jego fizjonomia zrobiła się wręcz bliska upiorowi. Zainteresowania nie pomagały – zarywanie nocy dla książek i picie kawy o trzeciej w nocy dodały mu czarnych kręgów pod oczami. A jednak ten podobny do szkieleta człowiek miał zadziwiająco dużo energii – dobrze sobie radził na wuefie, a jego umysł działał na najwyższych obrotach, kiedy dyskutowaliśmy... w zasadzie o wszystkim. Był prawdziwym

przyjacielem – inspirowaliśmy się nawzajem w tym dziwnym okresie dojrzewania. Dzięki niemu podłapałem bakcyła na książki, a ja wprowadziłem go do stoner rocka. Potrafilismy godzinami błąkać się po mieście, słuchając razem muzyki – po szkole. Raz go odwiedziłem, ale podobnie jak z resztą – w momencie gdy jego noga opuszczała miasteczko, nie miałem z nim raczej kontaktu. Kiedy zrozumiał, że ze mną nie musi się kryć ze swoimi zainteresowaniami, był kompletnie inny. Głośny i roześmiany zamieniał się w melancholijnego i mówiącego niemal szeptem.

Dzisiaj był wyjątkowo pobudzony i głośny. To miał być pierwszy raz, kiedy wypije alkohol. Cała nasza grupa licytowała się i wymieniała momenty, kiedy się upiliśmy, a on rzucił jakimś bardzo kiepskim kłamstwem. Zabrzmiało tak fałszywie, że wszyscy zdaliśmy sobie sprawę, że pewnie nigdy nie pił. Rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić, że kłamie. A jednak, wtedy go nie zaatakowaliśmy. My, żadne krwi ogary, zawsze czyhające na tego rodzaju potknięcia, nie stroniące od szyderstw, zdaliśmy sobie sprawę, że jest tutaj jakiś mur. I że zetknęliśmy się z Daniela przeszłością – terenu na który nie mamy wstępu, bo on robi wszystko, żeby przeszłość wyparowała. Po minach innych chłopaków widziałem, że myślą sobie, że ten jeden odpadnie przed nimi. A jednak nie powiedzieli tego. Droga polna pokryta szarością i zimnem przerodziła się w wysoką trawę. Dotarliśmy. Miejsce które było naszym terenem, wyglądało naprawdę wyjątkowo. Nieco w bok od stacji kolejowej, naprzeciwko wulkanizatora, na kompletnej dzicy i obrzeżach stał wielki pusty teren pokryty długą trawą. Postawiono tutaj – obecnie kompletnie pustą i sypiącą się fabrykę. To właśnie Daniel odwiedził ją po raz pierwszy i pokazał nam to miejsce. Tamtego dnia, chodząc po białych niegdyś pomieszczeniach pełnych skruszonego tynku, wszyscy sobie krzyczeliśmy w głowach, że trzeba stąd uciekać, bo miejsce zaraz runie. A jeżeli nie, to zaraz dopadną nas wszyscy właściciele materaców i koców, które walały się w szczelinach budynku. A jednak szliśmy za nim. Był tak uśmiechnięty i radosny. Wydawało się, że odkrył swój własny kawałek raj. Nie przejmował się niebezpieczeństwami – dla niego liczyło się, że znalazł miejsce, podobne do tych, o których czytał, a które dotąd istniały tylko w jego wyobraźni. Magiczne ruiny z Tolkiena, które odkrył wraz ze swoją drużyną i teraz zagarnie je na własność. Nie zagarnął. Z tego, co wiem, to nigdy nie zaprzestał wycieczek tam, prawie na pewno miał do czynienia z bezdomnymi z okolicy. Romantyzował to miejsce, jak kolejną książkę, którą czytał. Chodził tam po święty spokój i po ucieleśnienie wyobrażenia o sobie – czyli chodzącego nieznanymi szlakami. I autodestrukcyjnego wariata. Pomijał kompletnie przy tym fakt, a może nawet nie chciał o tym wiedzieć, że to znana melina dla ludzi w

naszym wieku i zdecydowanie nie odkrył jej jako pierwszy. Złudzenie na pewno prysło dość szybko, ale nigdy nie dał po sobie poznać, że wie.

Dzisiaj jednak zamiast wkroczyć do środka, wzięliśmy parę pustaków i usiedliśmy na „podwórku” – czyli wielkiej, zarośniętej długą trawą okolicy fabryki. Bezdomni nam dzisiaj nie grozili, podobnie jak grupy innych nastolatków. Było tak zimno, że nawet policja nie wpadłaby na pomysł, żeby tutaj włązić. Potwornie zmarznięte ręce w końcu wyszły z kieszeni i wszyscy sięgnęliśmy do pękatek plecaków. Parę magicznych brzdęknięć i syknięć później, wszyscy trzymaliśmy własne piwo w garści, pocieszając się, że wkrótce będziemy należycie rozgrzani. Chłopaki wstawali z pustaków, chodzili, rozciągali się, żeby wygnąć zimno. Stanowiliśmy istną zgraję szaleńców – cały czas oczywiście popijając z kolejnych butelek. Zjednoczenie, jakie czułem na początku, przestało mieć znaczenie. Wszyscy wchodziliśmy w pojedyncze i różne rozmowy. Po godzinie, wszyscy doszliśmy do zbiorowego wniosku, mimo że nie pamiętam momentu, w którym został postawiony, że lepiej rozgrzeje nas wódka, i że ktoś musi iść do sklepu.

Wybraliśmy dwóch najbardziej staro wyglądających, czyli mnie i Sportowca. Sportowiec, jak sam pseudonim mówił, był człowiekiem skupionym wyłącznie na sporcie. Skrycie uważałem go za największego kretyna w grupie, a jawnie okazywałem pogardę, której i tak nie rozumiał, ale jakimś cudem znaleźliśmy się razem w tej ekspedycji. Parę kiepsko pamiętanych i dość ciemno wyglądających chwil później znaleźliśmy się w paru sklepach pod rząd. Pamiętam piekącą ze wstydu i zimna twarz, pamiętam groźby wzywania policji... Pamiętam łyzy. Pamiętam kolejne sklepy. Pamiętam radość i przybijanie piątki, kiedy ładowałem do plecaka nasz skarb – czyli trzy wódki. Pamiętam traktowanie Sportowca, jak mojego brata na śmierć i życie. Aż w końcu, pamiętam, że z dziwnym wrażeniem, że wracam tutaj po tysiącu lat i że całe imperia zdążyły upaść, kiedy mnie nie było, usiadłem na moim dotychczasowym pustaku, koło Daniela.

Dzisiaj gadał jak nakręcony i próbował być wszędzie. Spajał całą naszą grupę, widać było, że chce, żeby ten dzień trwał jak najdłużej, dołączał z entuzjazmem do rozmów, które – wiem to – nie były dla niego interesujące. Wiódł też prym w szyderstwach, kiedy nastąpił pierwszy upadek – jeden z chłopaków, chyba właśnie Sportowiec, chcąc się pochwalić perfekcyjną równowagą i balansem ciała, próbował zrobić jaskółkę na kamieniu. Odwróciłem na chwilę głowę. Po chwili usłyszałem łupnięcie, a Sportowca nie było. Demoniczny rechot nagle wdarł się na nasz teren, a ja oczywiście wiodłem prym w naśmiewaniu się z mojego niedawnego brata w nieszczęściu i człowieka, z którym przeżyłem mętłą przygodę w sklepach. Długo jeszcze nasz skowyt nie milknął, a chyba nawet Sportowiec nie przejmował

się tym, że mógł rozbić sobie głowę. W końcu incydent poszedł w zbiorową niepamięć, kiedy podobne wypadki obejmowały całą grupę. Zdziwiony zerkałem na Daniela, który mimo wyraźnie podchmielonego nastroju nadal trzymał się prosto. Wokół walały się butelki po piwie, w dłoni trzymał solidnie napoczętą butelkę wódki. Jego uśmiech sprawiał, że miałem ochotę go uderzyć. Śmiał się najgłośniej, kiedy któryś z nas upadał, albo potykał się. Wiedziałem, że wszyscy myślimy podobnie. Nawet pijani byliśmy w stanie go załatwić, tak, że zapamięta ten dzień do końca życia. Przyjazne rozmowy i docinki nie ustawały.

Nasze zmęczenie stawało się ewidentne. Rozmowy przerodziły się w bełkot, a bełkot w słabe mamrotanie. Patrząc wokół, widziałem godną pożałowania grupę, śmierzących alkoholem, obrzyganych i posikanych po nogawkach mężczyzn. Wszyscy wydawali się starsi o kilkanaście lat, a w atmosferę wkradła się wrogość i obcość. Nasza różna przeszłość – i przyszłość – wychodziły na wierzch. Rozmawialiśmy już zupełnie innymi językami. Miałem wrażenie, że z moich ust płynie święty chorał, a z ust kolegów niezgrane skrzypnięcia. Nie był tu wyjątkiem Daniel, którego skrzypnięcia były wyjątkowo żalosne i rykliwe, a małe podkrążone oczy na tej upiornej twarzy stawały się coraz bardziej zaczerwienione. Skrzypiąc jak drzwi, przewracał tymi przekrwionymi kulami, na których nie dało się poznać tęczy od białek. Byłem dumny, wreszcie chwila jego słabości. Pośpieszyłem, żeby się nabijać moim głosem, który przypominał delikatną altówkę i oczekiwałem grzmiącego rechotu, ale odpowiedziało mi zaledwie kilka rozstrojonych brzdęknięć. Nie rozumieliśmy się już nawzajem. W milczeniu patrzyłem na pociąg, który nas minął w oddali. To pewnie ludzie z naszej szkoły, lekcje już jakiś czas temu się skończyły. Siedzieliśmy tutaj od bitych siedmiu godzin. Moje oczy zaczęły się zamykać. W zasadzie było mi wszystko jedno. Parę godzin temu wszyscy zgodnie stwierdziliśmy, że czujemy się rozgrzani jak małe piecyki i zrzuciliśmy nawet kurtki. Ostatni widok, jaki mnie żegnał, to kompletnie czerwone oczy Daniela, wpatrzone we mnie z niezrozumieniem. Już nawet nie skrzypiał, po prostu otwierał i zamykał usta. Jego oczy prześladowały mnie nawet we śnie, pamiętam wyraźnie odbite dwa czerwone ślady w moich marzeniach.

Przebudził nas krzyk. Nieprzytomnie obracałem wokół głowę, żeby zobaczyć wyjącego i wijącego się na ziemi Daniela. Z jego ust leciała piana i nonsensowne krzyki, a kończyny skakały w przedziwnym witusowym tańcu. Wszyscy, jak jeden mąż, wstaliśmy i kompletnie pijani obserwowaliśmy spektakl. Nie do końca zdawaliśmy sobie sprawę z realności, tego, co widzimy. Pojedyncze kakofoniczne dźwięki dowodziły tego, że ktoś próbował coś mówić. Dobrze jednak zdawaliśmy sobie sprawę z bariery dźwięku, która nas nadal dzieliła. Po tych nieudanych próbach była już tylko niema zgoda – obserwowaliśmy

zwijający się kształt, który od czasu do czasu próbował coś mówić, będąc w tych próbach równie bezsilny jak my. Wstałem i z góry rzuciłem spojrzenie na twarz stworzenia. W długiej i białej twarzy lśniły wyciosane czarne kręgi. Otaczały krwistoczerwone oczy, które jednak potrafiły wyrażać emocje lepiej, niż wtedy, kiedy zasnęliśmy. Patrzyły na mnie, a ziała z nich nienawiść.



PAN SZCZUR

Marcin Zwoleń

„Czyż jest coś bardziej rozkosznego dla silnego męża niż zemsta?”

Attyla „Bicz Boży”

Szum spływającego kanałami deszczu wybudza mnie z drzemki. Przez moment nasłuchuję w bezruchu czy jest bezpiecznie. Jest. Niespiesznie otwieram oczy, źrenice błyskawicznie przystosowują się do wszechogarniającej ciemności, odzierając ją z tajemnic. Z czułością spoglądam na moje dzieci. Przykryte pledem spokojnego snu śpią na podłodze, tuląc się do siebie. Kocham je bezgranicznie, za każde bez wyjątku oddałbym życie.

Obracam się na legowisku i mimo że robię to bezszelestnie cała gromadka, jak gdybym był połączony z nią niewidzialną nicią, porusza się równocześnie ze mną. Chociaż

spowija nas sadza mroku, wiem, że na zewnątrz słońce jeszcze nie zaszło. Tam, na górze wciąż trwa dzień. Ostatni dzień starego porządku.

Resztką sił wyblakłego hipokampu przywołuję okruchy przeszłości. Niewiele pamiętam z poprzedniego życia. Wspomnienia z nim związane z każdym minionym rokiem rozwiewały się coraz bardziej. Dawno już zapomniałem jak się nazywam i w jakim jestem wieku. Upłynęło przecież tyle lat, niezmierzone morze czasu.

Zresztą to teraz nieistotne. Ważne jest to, co się nie zatarło. A pamięć o krzywdach i niegodziwościach, jakich doświadczyłem od ludzi wciąż ropiejącą raną jątrzy się w moim sercu.

* * *

Wstyd towarzyszył Pawłowi Ratce od zawsze. Całe życie wstydził się, nie tylko za siebie, za swoje ubóstwo, za braki w wykształceniu, obyciu, kulturze, ale i za innych. Za najbliższych. Za rodziców nie stroniących od kieliszka, za rodzeństwo podążające ich śladem, a w końcu za rozwiązłą żonę.

Początkowo, by pozostać głuchym na wdzierające się zewsząd plotki o wybrykach ukochanej, zatykał sobie uszy watą wyparcia. Szczelna bariera skutecznie tłumiła myśli o niewierności małżonki. Ale zaklinanie rzeczywistości, wmawianiem sobie, że kalumnie rozsiewają zawistnicy, przynosiło efekty do czasu.

Ostatecznie, dwuznaczne śmiechy współpracowników, gdy mijał ich na korytarzach, towarzyszące im szydercze spojrzenia wypalające dziury w plecach, przerywane rozmowy, kiedy wchodził do pokoju socjalnego, kazały dokładniej przyjrzeć się tym oszczerczym pogłoskom. Wreszcie rozpustna prawda obnażyła się do naga. Zdrada rzeczywiście przekroczyła próg ich, jak mu się wydawało, szczęśliwego gniazdka. Na światło dzienne wyszły dowody, że jego ślubna poleruje mu rogi z jego własnym szefem.

Wiadomość spadła na niego niczym meteoryt tunguski, wbijając doszczętnie w ziemię. W ciężkich bólach dopuścił tę wiedzę do swojej świadomości i nic z tym nie zrobił. Zamiast dać zwierzchnikowi w zęby, odejść z pracy i zostawić niewierną żonę, czekał na nie wiadomo co. Dalej codziennie, jak gdyby nigdy nic budził się rano, wychodził z domu, jechał do biura i wystawiał się na chłostę ironicznych uśmieszków i ciętych języków. Z dobrą miną do złej gry tłumił w sobie wstyd. Za nią i za siebie.

W końcu przyszedł dzień, kiedy kompletnie pękł, rozsypał się na kawałki niczym chińska zabawka. Załamane nerwy używało sobie na jego pokiereszowanej psychice. Występny przełożony, współwinnny tego stanu, w trosce o zdrowie mentalne podwładnego

zdecydował dać mu wypowiedzenie w trybie natychmiastowym.

Reszta poszła już z górki. Utrata posady księgowego przyspieszyła złożenie pozwu rozwodowego przez małżonkę. Proces odbył się w tempie niemalże wyścigu Le Mans. Po rozprawie nie mógł wyzbyć się wrażenia, że wymiar sprawiedliwości potraktował go po macoszemu. Na sali sądowej odczuwał palący wstyd i upokorzenie, kiedy fałszywe oskarżenia przyjaciółek żony szkalowały jego dobre imię i stawiały na równi z damskim bokserem. Zeznania mające dać odpór tym kłamstwom w opinii sądu miały znaczenie raczej drugorzędne. Apogeum osłupienia i rozczarowania przeżył, gdy znajomy adwokat jego byłej otworzył klatkę paragrafów. Wypuszczone z niej kruczki prawne doszczętnie rozdziobały gromadzony przez lata majątek, pozbawiając go, na rzecz powódki, domu oraz środków do życia. Tym samym wyrzucając poza nawias społeczeństwa. Sprawy, bez jego udziału, potoczyły się torem, który w prostej linii zaprowadził go na ulicę.

Życie pod przysłowiowym mostem nie należało do najłatwiejszych. Miejska dżungla miażdżyła, przeżuwała i wypluwała każdego, kto się nawinął. Na powierzchni utrzymywały się tylko twarde jednostki. Co nie oznaczało, że dla mięczaków pokroju Pawła Ratki nie było miejsca, pod którąś z warstw miasta.

Początkowo żebrał o drobniaki przy dużych dyskontach. Trwało to do feralnego dnia, podczas którego został rozpoznany przez dawnego znajomego. Uciekał przed nim, aż pogubił dziurawe buty. Wykrzykiwane imię jeszcze długo dźwięczało mu w uszach. Wstydu najadł się wtedy na cały rok do przodu.

Dopiero, kiedy pokłady brudu na twarzy i skołtuniony zarost zmieniły go nie do poznania odważył się krążyć ulicami i prosić o jałmużnę. Lecz znowu taki widok i gama wątpliwej jakości aromatów, które rozsiewał wywoływały u bliźnich dzikie, żądne krwi instynkty. Kilkakrotnie został poturbowany przez młodocianych obrońców moralności, którzy za wszelką cenę próbowali wpoić mu miłość do czystości. W obliczu owych konfrontacji był zdany wyłącznie na siebie. Ze strony przypadkowych przechodniów, bądź stróżów prawa nie mógł spodziewać się pomocy. A wprost przeciwnie.

Bywało, że podbite oko czy porachowane kości zawdzięczał ciężkim argumentom będącym w użyciu służb mundurowych. Wbijane mu do głowy przez przedstawicieli władzy przepisy przy pomocy pałek, twardych pięści i podkutych butów zostawiały dotkliwe ślady na długi czas. Zdarzyło się tak parę razy, gdy buszując po śmietnikach na tyłach marketów był na tyle nieostrożny, że dał się nakryć przejeżdżającym tamtędy patrolom. Złapanego w sidła pytań i poszturchiwań, oskarżonego o przywłaszczenie sobie cudzego mienia, wywożono na obrzeża miasta, by tam dać mu przyspieszoną lekcję prawa i pokory.

W takich momentach dochodził do wniosku, że jedynie w gronie jemu podobnych autsajderów odnajdzie bezpieczny azyl. Nic bardziej mylnego. Próby nawiązania nici porozumienia z innymi niebieskimi ptakami, którzy swój los zawierzyli matce ulicy, od początku przebiegały niefortunnie.

Bezdomni, pędząc kruche życie na raty, beztrosko zasiedlali pustostany, parkowe ławki, dworcowe perony, chodniki i zaułki. W miejskim tyglu mieszał się wszelki możliwy konglomerat osobowości, mentalności, grup społecznych i zawodowych. Poczynając od profesorów wyższych uczelni, przez schizofrenicznych poetów i bardów z obłędem w oczach, po byłych skazańców z najcięższymi wyrokami. Dzieliło ich wiele, lecz łączyło jedno. Święta maksyma, którą wyznawali wszyscy, bez wyjątku: „Kto nie pije, ten kapuje”. A Paweł Ratka nigdy nie był, ani duszą towarzystwa, ani też z racji zgubnej obecności alkoholu w rodzinnym domu, miłośnikiem procentów. Dlatego też, wybitny ząb oraz butelka roztrzaskana na głowie ostatecznie zniechęciły go do nawiązywania bliższych stosunków z rynsztokową arystokracją.

Ostracyzm, wykluczenie, odrzucenie. Odepchnęli go wszyscy, nawet margines społeczny. Wtedy po raz ostatni spłynął na niego palący wstyd, potem nigdy więcej go nie czuł. W momencie, gdy zdecydował, że dłużej nie chce mieć do czynienia z ludźmi, stał się emocjonalną tykwą. Wydrążonym, pozbawionym uczuć naczyniem. Jedynie upodlenie, którego doświadczył od własnego gatunku, nieznośnym pulsowaniem na dnie serca nie dawało o sobie zapomnieć.

Wówczas pożegnał się z dniem i zszedł pod podłogę miasta. Zamieszkał w kanałach, wilgotnym labiryncie ciągnących się korytarzy, gdzie promienie słońca były znane tylko z opowieści. Schronienie opuszczał wyłącznie po zmroku, by mieć pewność, że pozostanie niezauważony. Noc stała się jego Królową, dającą bezpieczny azyl opiekunką. W chwilach zagrożenia potrafił momentalnie zniknąć w czarnych fałdach jej sukni. Niczym szczur.

To właśnie od tych zwierząt nauczył się umiejętności nie rzucania się w oczy. Podpatrywał je z ukrycia, kiedy ich drogi krzyżowały się przy kubłach z odpadkami. Szybko dostrzegł i docenił inteligencję gryzoni. Uważnie chłonał ich zachowania oraz reakcje na bodźce zewnętrzne. Z zapartym tchem obserwował, jak doskonale były zorganizowane, gdy dla osiągnięcia celu potrafiły współpracować niczym jeden organizm. Nie mógł wyjść spod wrażenia, jak świetnie przystosowały się i radziły sobie w tym parszywym świecie. Podziwiał je całym sobą. Za wszelką cenę chciał być taki jak one. Chciał być niewidzialny.

Zwyczajowo pokrywy pojemników na tyłach restauracji lub sklepów, po zamknięciu lokali były blokowane przed szkodnikami, co uniemożliwiała im zdobycie pożywienia. Jednak za sprawą Dobroczyńcy, kosze co noc stawały otworem, kusząc baśniowymi

wnętrzami. Gdy arteriami miasta rozlewał się czarny atrament nocy, On wychodził z mroku i uchylał zatrzaśnięte klapy kontenerów, by szczury mogły najeść się do syta. Wkrótce zaskarbił sobie ich zaufanie. Tym samym, za każdym razem oczekiwały jego przyjścia.

Paweł Ratka też z utęsknieniem czekał, by chociaż przez moment poczuć się częścią stada. Doświadczał tego, gdy unosił pokrywy śmietników, a z ciemnych zakamarków wysuwały się drobne pyszczki miarowo poruszające wąsami. W wydawanych przez nie piskach rozpoznawał aprobatę i poruszenie. A w błyszczących węgielkach wpatrujących się w niego ślepi dostrzegał wdzięczność.

Wyczuwał, że między nim, a zwierzętami dzielącymi identyczny los, bezdomnego wyrzutka, tworzyła się specyficzna więź. One zachowywały się przy nim swobodnie i beztrosko, on zaś w ich obecności mógł być sobą i nie musiał niczego udawać. Przede wszystkim nie oceniały, a próbowały jego niedoskonałości, akceptowały takiego jakim był. Wystarczyło mu, że go nie odtrącały i pozwalały czuć się jednym z nich.

Czas płynął nieubłaganie i niósł ze sobą nieodwracalne zmiany. Nadeszła chwila, kiedy szczury potraktowały Pawła Ratkę jak pełnoprawnego członka stada. Miało to miejsce pewnej głodowej nocy na zapleczu spożywczaka. Świecące pustkami kubły, w których wspólnie myskowali nie gwarantowały zbyt wystawnej uczy. Jakież zatem było zaskoczenie, gdy gryzonie podzieliły się z nim znalezionymi przez siebie resztkami, składając u jego stóp kopiec nadpsutej żywności. Gest ów stanowił ogromny przełom w ich wzajemnych relacjach. Zwierzęta, przejawiające bardzo silne zachowania społeczne, wyraziły w ten sposób troskę o niego oraz potraktowały jak swojaka. Poczul wówczas, że w końcu ma swoją rodzinę. Wreszcie był częścią stada i był wniebowzięty.

Od tamtego momentu nie opuszczał gryzoni na krok. Jak przystało na wspólnotę razem z nimi żerował, spał i mieszkał. Ochoczo udostępnił swoje niekończące się metry miejskiej kanalizacji. Miejsca było dość, by pomieścić bliższych, a nawet dalszych czworonożnych krewnych i znajomych.

W życiu Pawła Ratki nastął wspaniały okres, porównywalny do szczęśliwego dzieciństwa. Niczym berbec, na nowo poznawał otaczający go świat. Ale świat widzianym wyłącznie szczurzymi oczyma. Sumiennie uczył się bycia szczurem i trzeba mu oddać, że osiągał doskonale rezultaty. Z łatwością przyswoił sobie tryb funkcjonowania oraz zwyczaje tych nocnych wędrowców. Błyskawicznie zaznajomił się z całym wachlarzem ich zachowań oraz emocji. Od radości, przez smutek, strach aż po złość. Nauczył się też odczytywać i przyjmować różnorodne pozy ciała, niezbędne do wzajemnego porozumiewania się.

W kwestii komunikacji wykazał się niebywałym talentem lingwistycznym. Na język,

używany przez pobratymców, składała się gama różnorodnych dźwięków. Jak przystało na prymusa wszelkie piski, posykiwania, gwizdy, krzyki czy świergot, a także zgrzytanie i stukanie zębami, opanował bezbłędnie w ciągu paru tygodni.

Nocny tryb życia wyostrzył mu zmysły węchu oraz słuchu, które przejęły funkcję wzroku mającego, bądź co bądź, swoje ograniczenia w ciemnościach. Do orientacji we wszechobecnym mroku używał również mocno rozwiniętego dotyku. Opuszki palców, pomimo, a może właśnie dlatego że poruszał się na czterech kończynach, stały się bardzo czułymi sensorami.

Szlifując swą szczurzą naturę na pozycji szarego szeregowca, Paweł Ratka spędził tak kilka miesięcy. Awans nastąpił mroźnej zimy, podczas której uratował kolonię od zagłady. Temperatura zaliczyła na tamten czas spadek daleko poniżej zera i sprawiła, że zamarznięte na kość śmietnikowe jedzenie kompletnie nie nadawało się do spożycia. Widmo śmierci głodowej zajrzało w oczy prawie dwóm setkom osobników. Co silniejsze jednostki nawet zaczęły dopuszczać się aktów kanibalizmu wobec słabszych towarzyszy.

To, że stał się ich wybawcą, było czystym przypadkiem. Truchtał wówczas kanałami w poszukiwaniu czegokolwiek na żąb, choćby małego bezkręgowca, pająka lub ślimaka, gdy promień światła niespodziewanie przeciął wilgotny mrok i bestialsko wdarł mu się pod powieki. Zmuszony do szybkiej reakcji, błyskawicznie skrył się w odnodze korytarza. Z tego miejsca w napięciu obserwował bieg wydarzeń. Niebezpieczeństwo nieubłagane zbliżało się w jego stronę.

Okazało się wnet, że nadciągające zagrożenie nosiło na głowie czapkę uszatkę, waciak na grzbiecie, na nogach gumiaki i było pracownikiem miejskich kanalizacji. Idący zalany po kostki tunelem intruz niemożliwie hałasował, zataczając się na boki, przeklinając na czym świat stoi i wymachując przy tym latarką. Do tego rozsiewał wokół ostrą woń alkoholu. Ot, zagubiony nieszczęśnik, który pomylił drogi w labiryncie życia i bezskutecznie próbował odnaleźć właściwy kierunek.

Jakkolwiek nieproszony gość był coraz bliżej. Głośnie zachowanie w połączeniu z aromatem, który przywoływał złe wspomnienia, ale przede wszystkim fakt naruszenia granic terytorium sprawiły, że Paweł Ratka sycząc złowrogo, rozciągnął się płasko na kamiennej posadzce, jakby chciał się w nią zapaść. Nie czekając dłużej na rozwój wypadków, w chwili gdy jaskrawy snop wyłowił go z wydawałoby się bezpiecznej kryjówki, przystąpił do bezwzględnego ataku. Rozjuszony, wybił się z poziomu podłogi w powietrze i skoczył na przedstawiciela wrogiego świata. Nim ten w panice upuścił latarkę i zanim zapadły egipskie ciemności, napastnik zdążył jeszcze zauważyć wykrzywioną grymasem zaskoczenia twarz

oraz przepelnione strachem oczy. Nie dając ofierze czasu do namysłu, rzucił się do jej odsłoniętej szyi. Ostre zęby wbiły się w białą skórę, rozdarły miękką tkanę, po czym wgrzyły w tętnicę, rozszarpując ją. Krew buchnęła gorącym strumieniem, ciemnoczerwony gejzer zalał usta Pawła Ratki.

To nie był szczęśliwy dzień dla zbłąkanego pracownika kanalizacji. Sekundę utrzymał równowagę z uwieszoną u szyi bestią, po czym oddając ducha, runął do tyłu jak długi. Zwycięzca, nim pojął do czego doszło, jeszcze długo spijały posokę wypływającą z trupiej rany. Fakt zabicia człowieka nie zrobił na nim takiego wrażenia, jak świadomość, że właśnie uratował swoją rodzinę od śmierci głodowej.

Upolowany osobnik został zaciągnięty do leży, pozbawiony ubrania, co ujawniło spory zapas tłuszczu, który pod nim ukrywał, a następnie uczciwie rozparcelowany między wychudzonymi szczurami. Nie został jednak od razu zjedzony w całości. Decyzją myśliwego, który dysponował zdobyczą, na czas ciężkich mrozów postanowiono reglamentować mięso. Niska temperatura panująca w kanałach idealnie zabezpieczała zwłoki przed gniciem, nie zamieniając ich przy tym w mrożonkę. Dzięki temu kolonia z pełnym żołądkiem bezpiecznie przetrwała zimę. Ostatnie kostki zaginionego nieszczęśnika zostały ogryzione wraz z pierwszymi roztopami.

Od tego momentu szczurza kariera Pawła Ratki nabrała tempa. Zwierzęta doceniły to, czego dla nich dokonał. Taki czyn zasługiwał na nagrodę. Konsekwencją nie mogło być nic innego, jak złożenie hołdu wybawicielowi i oddanie prymatu nad stadem. Z racji, że hierarchia wśród szczurów ustalana jest na podstawie wielkości osobnika, dotychczasowy lider nie należał do mikrusów. W szczytowej formie gabarytami dorównywał niejednemu kotu. Poza tym nie śpieszno mu było rozstawać się z władzą. Jednakże wobec rozmiarów konkurenta, który mimo iż w ludzkim świecie był nikczemnej postury to tutaj nie miał sobie równych, musiał ustąpić pola. Decyzją gryzoni były przywódca został zdetronizowany, po czym łaskawie zachowując życie, skazany na banicję.

Kiedy Paweł Ratka otrzymał nadane mu jednogłośnie zwierzchnictwo nad stadem, zrozumiał jaką siłą dysponuje. Idea, która wówczas zakiełkowała w jego głowie, stanowiła podwalinę pod przyszłe imperium. Od myśli do czynów. Nie czekał dłużej, zaczął tworzyć dzieło życia.

Ekspansja, prokreacja, informacja. Postawił na świętą trójcę. Błyskawicznie poszerzył zakres wpływów w mieście. Już nie tylko władał kanalizacją, ale wkrótce kontrolował piwnice, strychy, magazyny, parki, nadbrzeża, wszelkie możliwe miejsca występowania szczurów. Obce stada, w obliczu przewagi, dobrowolnie zrzekały się praw do podbijanych

obszarów. Zdarzały się jednak plemiona, które stawiały opór. Te bezzwłocznie były pacyfikowane przez wyszkolone komanda, a ich tereny siłą wcielane do rozrastającego się mocarstwa.

Nowe strefy do zasiedlenia były pożądane jak woda na pustyni. Częstotliwość miotów osiągała w owym czasie pułapy. Samice wydawały potomstwo na okrągło. Po około trzytygodniowej ciąży, na świat przychodziła średnio ósemka młodych, które po kilku tygodniach były już samodzielne. Swoją dojrzałość płciową osiągały po czterech miesiącach. I historia zataczała koło. Na mieszkańca losowo wybranej aglomeracji statystycznie przypadał jeden szczur, w tym przypadku były ich dziesiątki.

Osobniki w kolejnych generacjach rodziły się silniejsze, wytrzymalsze, mądrzejsze. Wiedza była dominantą. W swoich genomach przechowywały, co raz to, pokaźniejsze pakiety informacji. Z mlekiem matki wysysały sekrety ludzkiego świata. Jak unikać pułapek, jak nie zostawiać śladów, jak bronić się przed człowiekiem i jak go atakować.

Kolejne lata przynosiły postępowe zmiany. Szczurze cesarstwo rozrastało się niczym nowotwór, pochłaniając żywą tkankę metropolii. Nie było miejsca, które by nie należało do niego. Skryta pod powierzchnią miasta niewidzialna cywilizacja w najlepsze tętniła życiem.

Transformacje nie ominęły również Pawła Ratki. Dawno zdążył pozbyć się ludzkiej, bezużytecznej powłoki i całkowicie przyjąć zwierzęcą formę. Nieustanne poruszanie się na czworakach wygięło jego kręgosłup w pałąk, mocno go zarysowując, przykurczyło mięśnie i ścięgna tylnych kończyn oraz wydłużyło kość ogonową, nadając jej kształt odstającego kikuta. Nagie ciało pokrywała peleryna rzadkich włosów wyrastających z głowy. W gęstwinie długiej brody skrywała się szczupła twarz, która przez ciągłe popiskiwanie i marszczenie nosa, przywodziła na myśl szczurzy pysk. Zaostrzone zęby, podobnie i paznokcie, wyglądające bardziej jak szpony, stanowiły śmiertelne zagrożenie dla potencjalnego przeciwnika.

Utrata ludzkiej natury była nieodzowną częścią tej metamorfozy. Przystrojeniu uległo wszystko: percepcja, mentalność, duch. Paweł Ratka przestał dłużej być człowiekiem, stał się Panem Szczurem.

* * *

Najwyższa pora się zbierać. Noc, moja Królowa, już urzęduje na górze. Podnoszę się z legowiska. Śpiące, przed sekundą, stado idzie w moje ślady i po chwili kilkaset par dzikich ślepi czujnie się we mnie wpatruje. Moje dzieci są wszędzie. Doskonale wiedzą czego od nich oczekuję i do czego zostały przygotowane. Nie ma dla nich odwrotu tak, jak i dla miasta.

Od dawna nie opuszczałem kanałów, ale wiem, że ono wciąż mutuje i osiąga moc. Podobnie jak ja. Teraz wreszcie czuję siłę, która pozwoli mi dokonać aktu zemsty i zaleczyć stare rany. W końcu nadeszła noc zapłaty. Ostatnia dla mieszkańców miasta, wszyscy bez wyjątku zginą we śnie. Ten perfidny gatunek nie zasługuje na nic innego, jak na podstępną śmierć. Cienka skóra nie uchroni pulsujących życiodajną krwią tętnic przed ostrymi zębami moich żołnierzy. Odwet otworzy nam drzwi do nowego świata.

Krótkim warknięciem połączonym z piskiem daję znak małym zabójcom, że już nadszedł czas. Posłusznie ruszają ku przeznaczeniu. Włochata fala szcurzych ciał przetacza się kanałami, po czym wylewa na pogrążone w mroku ulice. Deszcz wciąż pada, topiąc miasto w żałobnym lamencie.



SPRZEDAWCA SNÓW

Jan Słomski

– Dziękuję bardzo za pomoc Panie Jakubie. Mam nadzieję, że wszystko się spełni – powiedziała kobieta, wychodząc.

– Może Pani być pewna! – odpowiedział Jakub Kaufmann.

Sklep, z którego wyszła kobieta, mieścił się w podziemiach małej, bocznej uliczki na krakowskim Kazimierzu. Przed wejściem nie było żadnego szyldu, oklejonej witryny, reklamy czy czegokolwiek, co mogłoby wskazywać, że mieści się tam jakikolwiek lokal. Ot, zwykła suterena. Zaraz po przekroczeniu progu do nozdrzy docierał dziwny zapach. Wydawać by się mogło, że jest to jakieś kadzidło, ale nikt do tej pory nie był w stanie zidentyfikować tego zapachu, ani przypisać go jakiegokolwiek znanej substancji. Mrok, który panował w pomieszczeniu sprawiał, że atmosfera nabierała tajemniczości, wręcz poczucia lekkiego strachu.

Pomieszczenie było małe. Ściany pomalowane na ciemnoszary, przechodzący w czarny kolor. Sufit zaś był czerwony. Na półkach zrobionych z przybitych do ściany starych desek, poukładane były równo książki. Były ich setki, jeśli nie tysiące. Po przyjrzeniu im się z bliska, można było dostrzec, że większość z nich stanowią senniki lub inne książki, podręczniki czy przewodniki dotyczące tematu snu, jawy, parapsychologii i programowania umysłu.

W sklepie nie było światła elektrycznego. Jedynymi jasnymi punktami były świeczki przyklejone woskiem do drewnianych desek, rozstawione w różnych miejscach pomieszczenia. Z sufitu zwisał wielki złoty żyrandol, do którego przyczepione były setki prawdziwych kryształów. Niestety pozbawiony był żarówek. Stanowił wyłącznie element dekoracyjny. Jedynym meblem, nie licząc półek z książkami, była długa, podłużna lada, wykonana z drewna. Jej piękne zdobienia, rodzaj i kolor drewna wskazywały, że bez wątplenia jest to mebel wykonany, w którymś z nordyckich krajów, gdzieś na początku XI-go lub XII-go wieku. Nad drzwiami wisiał stary mosiężny dzwoneczek, który wybrzmiewał za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, tak by Kaufmann siedząc akurat na zapleczu, mógł usłyszeć wchodzącego klienta. Co prawda jego klientela stanowiła zazwyczaj osoby zaufane, umówione na konkretną godzinę, ale zawsze mogło się zdarzyć, że w sklepie pojawi się ktoś z zewnątrz.

Mało osób wiedziało o tym miejscu, a Ci którzy o nim słyszeli, omijali je szerokim łukiem i udawali, że w ogóle nie istnieje. Przechodząc obok sutereny dało się wyczuwać w pobliżu jakąś dziwną energię, która sprawiała, że człowiek na chwilę czuł się tak, jakby już nigdy nie miał być szczęśliwy. Jedynie zdeterminowani klienci sklepu ośmielali się pojawiać w nim i to tak, by jak najszybciej załatwić sprawę, z którą przyszli i wyjść.

Jakub Kaufmann w oczach wielu ludzi uznawany był za dziwaka. Pierwszą rzeczą, która rzucała się w oczy, był strój nieadekwatny do obecnych czasów. Sprzedawca chodził zazwyczaj ubrany jak francuski arystokrata z drugiej połowy XIX-go wieku. Nosił skórzane buty na średnim obcasie, spodnie w szerokie pasy, czarny surdut, muszkę, cylinder, a także drewnianą laskę ze złowieszczą czerwoną kulą na jej szczycie. Poza ubraniem, przyciągał uwagę swoją twarzą i dłońmi. Jego palce były niezwykle chude, długie i kościste, a na twarzy widać było szereg starych, bladych blizn. Jedno oko pokrywało bielmo, co dodawało mu jeszcze straszniejszego wyglądu. Właściwie bardzo rzadko go widywano, a gdy już ktoś go zobaczył, zazwyczaj czym prędzej odwracał wzrok. Dodatkowo nie pomagał fakt, że sprzedawca był Żydem. Choć w dzisiejszych czasach dla wielu Polaków nie miało to już żadnego znaczenia, to niestety w dalszym ciągu spotkać można było, szczególnie wśród

starszych osób, niechęć do Żydów. Niejednokrotnie byli na tyle zamknięci, niedoedukowani i pozbawieni jakiegokolwiek empatii, że nie byli w stanie nawet podać przyczyny, dlaczego żywią niechęć do, jak to określali: „wrogów i niepolaków”.

Sprzedawca siedział właśnie na zapleczu i studiował swój nowy nabytek – księgę zakłęb sennyh. Wtem dzwoneczek nad drzwiami wydał swój wysoki ton.

– Dzień dobry – powiedział klient niepewnym głosem. – Jest tu kto?

– Dzień dobry. Czym mogę służyć? – odpowiedział Kaufmann.

– Dostałem ten adres od pańskiego dawnego klienta, senatora Wyszowskiego. Zapewnił, że będzie pan w stanie pomóc mi w pewnej sprawie, która od jakiegoś czasu spędza mi sen z powiek – powiedział mężczyzna przestraszony atmosferą pomieszczenia i przerażającym wyglądem jego właściciela.

– Zamieniam się w słuch – odparł lakonicznie Jakub.

– Otóż, jak pan raczy może rozpoznać, jestem dość znanym i znaczącym politykiem. Jestem w trakcie kampanii prezydenckiej i staram się o fotel prezydenta naszego pięknego miasta. Z niewiadomych mi przyczyn, według sondaży, moje poparcie z tygodnia na tydzień znacząco maleje. Natomiast mój przeciwnik ewidentnie szybko zyskuje przychyłność elektoratu, co stanowi dla mnie, jak pan sam rozumie, dość duże powody do zmartwienia – urwał w połowie zdania.

– Słucham dalej – zachęcił sprzedawca. Doskonale wiedział, o co poprosi go mężczyzna, ale lubił ten moment, kiedy klienci miotali się, nie wiedzieli, jak sformułować prośbę i czuli się niezwykle niekomfortowo. Rozkoszował się tym.

– Powiedziano mi, że ma pan możliwość sprawić, że różnego rodzaju problemy rozwiązują się same. Przyznam szczerze, że jako człowiek nauki i czynu, trudno mi sobie wyobrazić, w jaki sposób ma to niby zadziałać. Proszę mi oczywiście wybaczyć szczerłość, ale jestem, jak by to powiedzieć... zdesperowany i doszedłem do momentu, w którym zgodzę się na wszystko. Wie pan, to moje być lub nie być. Jeśli przegram, to będzie mój polityczny koniec. Dalsze życie będzie całkowicie pozbawione sensu.

– Rozumiem. Jak dalece jest pan w stanie zawędrować w poczuciu winy?

– Przepraszam, ale chyba nie zrozumiałem pytania.

– Widzi Pan, usługi, czy też towar, które sprzedaje, żądają się pewnymi prawami – zaczął tłumaczyć sprzedawca. – W momencie, w którym zlecenie zostanie wprowadzone w życie, i tym samym wykonane, u większości klientów pojawia się uczucie tak zwanych wyrzutów sumienia. W zależności od zakupionego produktu, są one mniejsze lub większe,

niemniej... występują zawsze. Powtórzę zatem pytanie. Jak dalece jest pan w stanie zawędrować w poczuciu winy?

– Przyznam szczerze, że dalej trudno mi sobie wyobrazić co dokładnie ma pan na myśli. Natomiast moja determinacja jest bardzo duża, zatem wydaje mi się, że odpowiedź to: „bardzo daleko” – odpowiedział klient.

– Dobrze, to mi wystarczy.

– A co z zapłatą? Ile kosztuje taka usługa i w jaki sposób mam uregulować rachunek?

– Proszę się o to nie martwić. Właściwie nie poniesie pan żadnych materialnych kosztów – odpowiedział Jakub.

– Ale jak to? – zapytał zdziwiony polityk. Coś zaczęło wzbudzać w nim niepokój.

– Widzi Pan ten słoik na ladzie?

– Tak. Ten z dymem w środku?

– Owszem. To nie dym. To wasze wyrzuty sumienia. Nie tylko wykonuję dla was zlecenia, ale również po pewnym czasie zdejmuję z was ten ciężar, który wielu mógłby aż nadto przytłoczyć – wytłumaczył w skrócie Kaufmann.

Celowo jednak nie dodał, jaki będzie skutek tego zabiegu. Nie wyjaśnił, że zazwyczaj jego klienci, pozbawieni poczucia winy dopuszczają się strasznych czynów. Ich mózg wyprany z empatii kieruje ich na drogę zła, która doprowadza to szaleństwa. Poczucie winy stopniowo wyniszcza duszę klienta. Zaczyna ona obumierać, aż pewnego dnia opuszcza ciało. W tym czasie człowiek traci całkowity kontakt z rzeczywistością i trafia do szpitala psychiatrycznego lub bezpośrednio do grobu. Dusza natomiast samoistnie przybywa do sklepu i zostaje umieszczona w słoiku. W ten sposób Kaufmann kupuje sobie miejsce i dobre traktowanie w zaświatach, do których niewątpliwie trafi. Potrzebuje już tylko kilkunastu dusz z wyrzutami sumienia, by zapewnić sobie dobrobyt tam, dokąd ma trafić.

– Chyba rozumiem – odparł polityk. – W takim razie co dalej?

– Proszę dać mi chwilę. Podejdę do pana za pięć minut – odparł sprzedawca i udał się na zaplecze.

Pierwszą rzeczą, która potrzebna jest do wykonania zlecenia, to myśl. Jakub usłyszał już właściwie wszystko, czego potrzebował. Położył na stole miedzianą misę, do której wlał jakąś dziwną substancję, przypominającą olej. Następnie wyrwał sobie jeden włos z głowy i wrzucił do środka. Odpalił kadzidło, które po chwili zgasił w środku płynu. Zamknął oczy, otworzył umysł, wyteżył wyobraźnię, wziął głęboki oddech i zanurzył twarz w tajemniczej substancji. W trakcie tego zabiegu zaprojektował sen, a gdy skończył, zwyczajnie podniósł twarz znad misy, opłukał się, wytarł ręcznikiem, a na koniec włożył do misy małą,

staromodną fiolkę, zamykaną maleńkim korkiem i wypełnił ją po brzegi magiczną substancją. Po chwili wstał i udał się do pomieszczenia sklepu.

– Proszę bardzo – powiedział Kaufmann podając fiolkę politykowi. – Dziś wieczorem, tuż przed zaśnięciem, proszę to wypić.

– I co się stanie? – zapytał zdziwiony klient.

– Dowie się pan wszystkiego niedługo potem. Proszę mi zaufać – zapewnił sprzedawca.

– Dobrze, dziękuję zatem – powiedział polityk, sięgając ręką klamki.

– Do zobaczenia. Wkrótce – odparł z tajemniczym uśmiechem sklepikarz.

Jakub Kaufmann kończył właśnie czytać gazetę, siedząc w pobliskiej kawiarence. Był to jego codzienny rytuał. Cisza, podwójne czarne espresso, bez wody i ciastka. Tylko on, zaciemniony kąt w kawiarni, stolik dla jednej osoby, kawa i najnowsza gazeta. Gdy miał się już zbierać do pracowni, w kieszeni jego marynarki rozległ się dźwięk staromodnego telefonu komórkowego.

– Słucham – przywitał rozmówcę Jakub.

– Dzień dobry. Kłania się Zbigniew Muszyński – odpowiedział głos z telefonu.

– Aaaa, pan polityk. Jakże mi miło. Jak się spało? – spytał z ukrywanym rozbawieniem Kaufmann.

– Jeeezu – przeciągnął samogłoskę polityk. W jego głosie dało się wychwycić zmęczenie i strach – nie mam pojęcia co to za napój mi pan wczoraj przyrządził, ale w życiu nie miałem tak chorych snów. Chciałem spytać jak moja sprawa? Czy zaczął pan już może pracę w tym kierunku? – spytał cicho.

– Można rzec, że zadanie wykonane – odpowiedział właściciel sklepu.

– Ale jak to?

– Proszę mi opowiedzieć, co się Panu śniło – zagadnął Kaufmann, zbywając tym samym pytanie polityka.

– No dobrze, opowiem. W życiu nie śniło mi się nic tak straszego. Otóż jechałem tramwajem, tak jak robię to każdego dnia. W pewnym momencie tramwaj się zatrzymał. Gdy byłem w środku, widziałem przez szybę całą masę ludzi na zewnątrz. Natomiast gdy opuściłem tramwaj, to znalazłem się na ulicy całkowicie sam, jak bym trafił do innego wymiaru. To było takie realne i dlatego właśnie tak straszne. Chyba tylko w trakcie pandemii

na ulicach było tak pusto i cicho. Ale w tym śnie nie było nawet żadnych samochodów na chodnikach. Tylko budynki, szyny tramwajowe i ja. Cisza była tak przeszywająca, że zacząłem wpadać w panikę. W pewnym momencie obróciłem się i zobaczyłem czarny samochód zaparkowany pod urzędem miasta. Można by rzec, że wyrósł znikąd.

Nagle Kaufmann usłyszał w słuchawce dźwięk skrzypiących drzwi oraz jakieś głosy

– Tak, tak dziękuję. Proszę tu położyć – powiedział głośnie Muszyński. – Przepraszam bardzo, ale lokaj przyniósł mi śniadanie i dzisiejszą gazetę. Na czym skończyłem? Ah tak – ciągnął polityk. – Zainteresował mnie ten samochód, więc podszedłem do niego i chciałem wsiąść do środka. Drzwi jednak były zamknięte. Zastukałem w szybę i ku mojemu zdziwieniu, ta nagle zaczęła się opuszczać. Co dziwniejsze, w środku siedział mój kontrkandydat i skinieniem głowy zaprosił mnie do środka. Ja natomiast, zamiast wsiąść do tyłu, wybrałem siedzenie kierowcy. Bez słowa odpaliłem silnik i ruszyłem z miejsca. Już dokładnie nie pamiętam co, ale mój wróg zaczął krzyczeć i pytać co ja u licha wyprawiam. A ja bez mrugnięcia okiem przyspieszyłem do ponad stu czterdziestu kilometrów na godzinę i jechałem coraz szybciej. W pewnym momencie, nie zważając na krzyki i zawodzenie mojego przeciwnika, wjechałem w ścianę budynku poczty, będąc już rozpędzonym do prawie stu osiemdziesięciu kilometrów. Nagle, nie mam pojęcia jak, ale znalazłem się obok samochodu. Pojazd był tak zgnieciony, że praktycznie przypominał akordeon. Zaglądnąłem do środka, i ujrzałem coś co mnie przeraziło. Zwłoki mojego przeciwnika. Były tak zmiażdżone, że trudno byłoby je zidentyfikować. Twarz była pogruchocona: nie posiadała ani nosa, ani szczęki, a oko wisiało tylko na nerwie wzrokowym. Lewa ręka była wygięta w kilku miejscach, jak połamana wykałaczka. Jezu, jak sobie o tym przypomnę, to aż mnie mdli. A potem się obudziłem.

– Rozumiem – podsumował jednym słowem Kaufmann.

– Do tej pory mam ciarki, jak wspominam ten sen. No ale dobrze, co z moją sprawą?

– Jak już wspomniałem, zadanie wykonane. W trakcie tej opowieści, pański lokaj przyniósł panu śniadanie oraz gazetę. Proszę ją otworzyć i spojrzeć na pierwszą stronę.

Muszyński drżącą ręką sięgnął po złożoną w pół gazetę i otworzył na pierwszej stronie. W chwili gdy ujrzał zdjęcie i nagłówek, zamarł, zbladł i poczuł, że podłoga zaczyna mu się osuwać spod nóg. Wielkimi literami napisano: „Śmierć prezydenta miasta”. A pod spodem: „We wczesnych godzinach nocnych, samochód wiozący prezydenta, z ogromną prędkością wbił się w budynek poczty. Wszystko wskazuje na zawał serca kierowcy”.

– Boże miłosierny, co ja zrobiłem – wyszeptał polityk.

– Dziękuję za skorzystanie z moich usług – odparł Jakub. – Widzę, że wyrzuty sumienia już się pojawiają. Wspaniale. Tymczasem żegnaj się z panem i do rychłego zobaczenia z pańską duszą.

W ciągu następnych kilku tygodni Jakub Kaufmann miał jeszcze kilkoro klientów. Każde z zamówień było na swój sposób unikatowe, musiał się przy niektórych nieźle napracować. Jedno z nich, to chociażby zaprogramowanie skandalu w kręgach medialnych. Pewna aktorka, której mąż był reżyserem, odkryła, że ten zdradza ją od dawna. Zleciła sprzedawcy snów, aby zajął się tą sprawą, ale uprzedzona przez osoby wtajemniczone, poprosiła by ten „nie przesadził”, jak to określiła. Oczywiście Kaufmann pracuje po swojemu, według swoich zasad i nie bierze pod uwagę wytycznych swoich klientów. Skutkiem tego było odkrycie przez policję zwłok reżysera w toalecie jednego z warszawskich domów publicznych. Jak donosi prasa, oficjalną przyczyną zgonu było zatrzymanie akcji serca na skutek przedawkowania kokainy. Z powodu wyrzutów sumienia, kobieta zaczęła pić. Po pewnym czasie doprowadziła się do takiego stanu, w którym trafiła na przymusowe leczenie, gdzie ją ubezwłasnowolniono. Później było już tylko gorzej.

Kolejne zadanie było właściwie chęcią niesienia dobra, ale... Jakub jak zwykle rozegrał sprawę po swojemu. Pewna aktywistka, która była mocno zaangażowana w ochronę praw zwierząt, została odsunięta od pełnienia swoich obowiązków i przez groźby ze strony właścicieli farm szynszyli, którzy hodowali zwierzęta w okrutnych warunkach, zaczęła obawiać się o swoje życie. Chciała dochodzić w sądzie praw zarówno zwierząt, jak i swoich. Prosiła o pomoc lokalne władze. Jednak, jak się okazało, głównym udziałowcem w spółce produkującej futra, byli radni z tego okręgu. Aktywistce przebito opony w samochodzie, podrzucano zdechłe szynszyle na wycieraczkę przed mieszkaniem, aż w końcu została zgwałcona i porzucona w krzakach przed schroniskiem dla zwierząt. Na odchodne dwóch oprawców rzuciło, śmiejąc się: „Pozdrowienia od pana radnego”. W związku z tym, kobieta uruchamiając swoje kontakty, dotarła do Kaufmanna, prosząc go o sprawiedliwą pomoc. Gdy dzień później przeglądała wiadomości w internecie poczuła radość, lecz ta szybko ustąpiła miejsca wyrzutom sumienia. Okazało się, że właściciele farmy zostali potrąceni ze skutkiem śmiertelnym przez ciężarówkę, gdy wracali pijani z imprezy urodzinowej kolegi. Radnego natomiast spotkała jeszcze surowsza kara. Miejscowy psychopata odsiadujący wyrok dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności za zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem,

wyszedł z więzienia. Pierwszą rzeczą, którą zrobił tuż po opuszczeniu murów, było złożenie wizyty radnemu. Jak się później okazało, zbrodniarz był wychowankiem w domu dziecka, który prowadził radny ponad dwadzieścia lat temu. Wtenczas pełnił nie tylko funkcję dyrektora, ale również „naczelnego kata”, jak określały go dzieci. Bicie, poniżanie i nauka Biblii były dla niego jedyną, poprawną metodą wychowawczą.

Jak podała lokalna prasa, radny został znaleziony w swoim domu przybity do ściany, na obraz ukrzyżowanego Jezusa. Jego język, przyrodzenie oraz paznokcie znaleziono wewnątrz Biblii, która leżała na podłodze, tuż pod napisem na ścianie, do którego ewidentnie użyto krwi. Treść wiadomości to: „Pamięć jest nieulotna”.

Aktywistka z dnia na dzień zaczęła zamykać się w sobie z powodu wyrzutów sumienia. Nie umiała dalej żyć z tym, do czego się przyczyniła. Obwiniła tylko i wyłącznie siebie. Popadła w katatonię, aż pewnego dnia w trakcie śniadania, wstała w połowie jedzenia, podeszła do balustrady balkonu i skoczyła z siódmego piętra.

Kaufmann zadowolony ze swoich poczynań i zgromadzonych w ten sposób dusz uznał, że zakończył swoją pracę. Może swobodnie przystąpić do negocjacji z handlarzami po drugiej stronie. Był przekonany, że zrobił wszystko, co powinien. Gdy ostatnio z nimi rozmawiał i otrzymał instrukcje, starał się od tego czasu wykonywać krok po kroku wszystkie polecenia. Nie opuścić nawet najmniejszego podpunktu umowy. Zgromadzone w słoiku sto zagubionych dusz, było jego towarem wymiennym, ale również przepustką do szczęścia i dostatku w życiu wiecznym, które niewątpliwie się już zbliżało.

Przygotowywał się do umówionego z „handlarzami po drugiej stronie” spotkania tak, jakby marzył o tym od wielu lat. Najpierw, z samego rana, medytacja, oczyszczenie i przygotowanie umysłu na spotkanie. Następnie uprzątnięcie swojego sklepu. Kolejnym krokiem była celebracja ulubionej potrawy, czyli mocno wypieczonego steaka z polędwicy, podwójne espresso i lampka najdroższego czerwonego wina. Po powrocie do domu, sprzedawca odświeżył się, dokładnie ogolił i ubrał w najelegantszy garnitur, jaki posiadał w swojej szafie. Na nakastliku spoczywała już fiołka z płynem, który przygotował specjalnie na tę okazję. Miała ona ułatwić spotkanie z handlarzami w miejscu pomiędzy światami. Wielokrotnie przygotowywał swoją mowę, którą miał wygłosić podczas powitania, ale ostatecznie zrezygnował z uczenia się jej na pamięć. Stwierdził, że będzie na tyle podniecony, że pewnie i tak zapomni i będzie musiał improwizować.

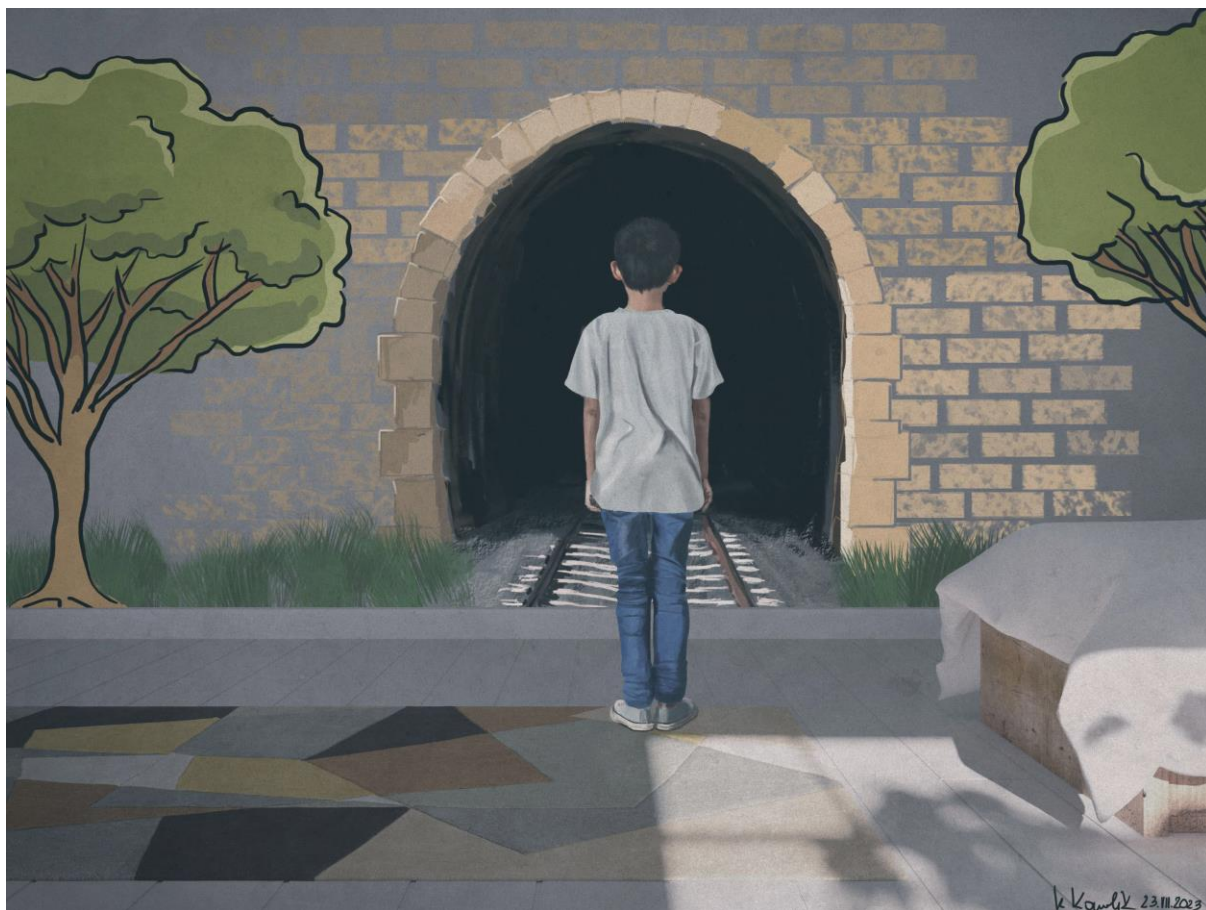
Gdy położył się na łóżku, sięgnął po małą fiołkę. Wypił całą jej zawartość. Żółty płyn był gęsty i cierpki, ale świadomość, jak wielki wysiłek włożył w zdobycie wiedzy dotyczącej

przygotowania go, sprawiła, że smakował on doskonale. Po wypiciu, Jakub odłożył flakonik, objął leżący obok słoje z duszami i zapadł w stan nieświadomości.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, była biel. Uzmysłowił sobie, że musiał całkowicie stracić świadomość na pewien czas, bo przegapił moment przejścia przez granicę światów. Białe światło raziło go tak bardzo, że właściwie nie mógł niczego dojrzeć. Jediną rzeczą, która zdawała się choć trochę widoczna, był kształt. Nie tylko się poruszał, ale wydawał również jakieś dźwięki. Przerywane, coraz głośniejsze, przypominające ludzkie słowa.

Z sekundy na sekundę zarówno obraz, jak i dźwięk zaczęły się klarować. Kaufmann dostrzegł, że biel, którą wcześniej widział, jest prawdziwa. Był w jakimś pomieszczeniu. Ściany były białe, sufit był biały, drzwi, okna, rama łóżka i nawet pościel były białe. Kształt, na który patrzył przypominał człowieka. Był to mężczyzna, ubrany na biało, który uśmiechał się do niego.

– Panie Jakubie. Dzień dobry. Wstajemy – powtarzał co chwilę człowiek. – Proszę, tu są pańskie dzisiejsze tabletki.



TUNEL

Piotr Orłowski

To zdecydowanie nie była najlepsza pora na oglądanie nowego domu.

Może wybrałem nieodpowiedni dzień? Może trzeba było chociaż poczekać, aż kałuże na drogach znikną i obeschnie to całe błoto w obejściu? Pierwszego wrażenia nie da się powtórzyć, za to można je koncertowo spięrzyc i to właśnie tego obawiałem się najbardziej. Było jednak trochę za późno na takie rozterki, a ja kolejny raz zastanawiałem się, czy moja wrodzona niefrasobliwość i słomiany zapał nie doprowadzą tym razem do prawdziwej katastrofy. Spojrzałem przez ramię. Kaśka i dzieciaki posnęli. To dobrze. Podgłośniłem radio żeby nieco zagłuszyć wyrzuty.

Do Czarcich Dołów przybyliśmy lekko wymięci. To niby tylko dwieście kilometrów, ale i tak dawały w kość. Kaśka wysiadła w milczeniu, odganiając kilka szczególnie natrętnych

komarów, które postanowiły przywitać nas wyjątkowo wylewnie. Spojrzała z ukosa, a ja już na dzień dobry wiedziałem, że moje notowania lecą ostro w dół. Cholera, a czy ja mam jakikolwiek wpływ na przyrodę?

Nowy dom miał być niespodzianką. Cóż, był, jaki był: stary, zniszczony, zaniedbany i generalnie wymagający natychmiastowej reanimacji. O tym jednak póki co wiedziałem tylko ja i aż do teraz nie zamierzałem się tą wiedzą z nikim dzielić. Czy miał jakieś zalety? Owszem, cenę. Jednak reakcja Kaśki kompletnie zbiła mnie z tropu. Moja silna żona, kobieta z jajami większymi niż ma połowa wyżelowanych facetów w rurkach, wyprostowała się jak struna, potoczyła wkoło wzrokiem, po czym wolno, nieco chwiejnym krokiem przeszła parę metrów, usiadła na jakiejś starej, zmurszałej oponie od traktora, po czym ukryła twarz w dłoniach i rozbeczała się jak mała dziewczynka. Dwójka naszych pociech, które w międzyczasie zdążyły już dostrzec największą kałużę błota, jaka znajdowała się w zasięgu ich wzroku, taplały się w niej bez opamiętania, przeżywając prawdopodobnie jedno z najszcześniejszych chwil swojego dzieciństwa, na widok płaczącej matki zbaraniały. Ja – z równie głupią miną – znieruchomiałem z ręką na klapie bagażnika. Znajac temperament żony, spodziewałem się raczej sceny otwarcia w postaci podwójnej burzy z gradobiciem, steku przekleństw i tym podobnych rzeczy. A tu proszę, niespodzianka.

Usiadłem obok niej, nie bacząc na to, że opona jest przeraźliwie brudna, cała pokryta lizajawatym nalotem. Podrapałem się po głowie.

Kaśka otarła twarz. Makijaż szlag trafił. Chciałem coś powiedzieć.

– Jeżeli nie chcesz pogorszyć sytuacji, to właśnie masz szansę. Ani słowa. Muszę to sobie jakoś poukładać.

Potulnie kiwnąłem głową.

– Zaufałam ci – odezwała się po dłuższym milczeniu. – W ciemno, czego jak wiesz nigdy nie robię. Ale ok. Sprzedaliśmy mieszkanie w Warszawie – zaczęła wyliczać. – Auto, działkę w Otwocku, bo potrzebowaliśmy pieniędzy. To jest jasne i ja to kupuję. W końcu nie zdecydowałeś sam. Za tydzień musimy się wyprowadzić, bo ludzie naciskają. To już mi się mniej podoba, ale trudno, takie są realia. Nikt nie chce czekać w nieskończoność. Musimy spakować cały dobytek i przyjechać: Gdzie? TU?! Marek, kurwa mać, ja wiem że jesteś marzycielem, chodzisz z głową w chmurach, ale tym razem przeszedłeś samego siebie! Przecież to jest kompletna ruina. Chlew. Wszędzie jest błoto. Bałagan, jakby przeszło tędy, nie wiem, stado bawołów! Wiesz jak wygląda ziemia po przejściu takiego stada?

– Nie bardzo...

– Tak! – wydarła się wskazując rzeczywiście nieco zryte podwórze. – Jak ty to sobie

do cholery wyobrażasz?

– No wiem, że nie wygląda to najlepiej, ale może zobacz w środku...

Spojrzała na mnie tak ciężko, że aż zaschło mi w gardle.

– Co mam zobaczyć ?! Połamane deski podłogowe? Resztki cegieł z kominka? Obłaząca farbę na ścianach? No co?! Marek, tu nie ma nawet kanalizacji!!!

– No cóż – bąknęłam. – Jeszcze nie ma, ale przecież....

– Nie! Po trzykroć, kurwa, nie! – Była tak wściekła, że aż drżała jej szczęka. Nasze biedne dzieci patrzyły na tę scenę z bardzo niewyraźnymi minami. Córka zaczęła pochlipywać. Mateusz próbował ją uspokajać, co przyniosło raczej odwrotny skutek. Sam nie bardzo wiedział, jak ma się w takiej sytuacji zachować. Dość długo trwało, zanim moja lepsza połowa ochłonęła na tyle, że dało się z nią jako tako porozmawiać.

– Dobrze – powiedziała głosem, w którym wyczułem rezygnację. – Co się stało, to się nie odstanie. Miejmy tylko nadzieję że ta twoja cudowna ekipa będzie na czas i że jest warta tych pieniędzy. Jakoś przetrzymamy te parę tygodni, w końcu chyba nareszcie jest lato – powiedziała, odpędzając komara sprzed twarzy. I chyba na jej ustach pojawiło się coś na kształt uśmiechu. A może tylko mi się wydawało?

Uczciwie trzeba przyznać, że polecona przez kolegę brygada spisała się na medal. Pogoda sprzyjała, a remont prowadzony pod ścisłym kierownictwem mojej żony udało się dokończyć sporo przed czasem. Została jakaś kosmetyka, z którą spokojnie powinniśmy dać sobie radę sami. Dość powiedzieć, że z początkiem sierpnia naszym oczom ukazał się przepiękny dom w stylu szlacheckiego dworku. Pretensjonalne i małomiasteczkowe? Jak najbardziej. Ale mieliśmy to gdzieś. To było spełnienie marzeń, których realizacja kosztowała masę forsy nerwów, ale co tam. Warto było. Ostatnie sprzątanie i wnoszenie mebli miało być formalnością. Postanowiliśmy jednak, że zrobimy to bez dzieci, które wysłaliśmy na ten czas do dziadków. Będą miały niespodziankę.

– Czy mówiłam ci już, że tu jest pięknie? – Kasia przytuliła się do mnie. Staliśmy oparci o kolumnę ganku, popijając kawę, ze wzrokiem utkwionym w wielkiej, krwistoczerwonej kuli, chowającej się za lasem.

– Jeszcze nie. Ale myślę, że to jest całkiem dobry moment. Jeżeli pani kierownik ogłosi zakończenie prac porządkowych na dziś, pozwolę sobie zaproponować butelkę wysmienitego rieslinga, rocznik, eee.... sam nie wiem który. Ale kosztował majątek.

– Ogłaszam. I padam z nóg. Proszę przygotować dla mnie kąpiel. Jeżeli pan chce, może pan do mnie dołączyć. Z tym winem rzecz jasna.

Roześmieliśmy się, a ja pocałowałem moją żonę tak, jak nie robiłem tego już od

dawna. Dobrze było znów widzieć ją szczęśliwą.

Dzieciaki przyjechały następnego ranka i od razu się zaczęło. Wystartowały jak dwie małe rakiety i z miejsca rzuciły się do swoich pokoi.

Wymyśliliśmy z Kaśką, że ich królestwo na piętrze urządzimy bez zbędnego przepychu. Natałka miała typowy dziewczęcy pokój z różowymi ścianami. Prosto, funkcjonalnie i wygodnie co powinno, z niewielkimi modyfikacjami wystarczyć do czasu, aż ze słodkiego małego aniołka wyrośnie pyskata rozkapryszona nastolatka. Z Mateuszem nie było tak prosto. Osiągnął niedawno poważny wiek dziewięciu lat i w przeciwieństwie do większości rówieśników jego zainteresowania nie oscyływały jedynie wokół piłki nożnej i play station. Mati miał fioła na punkcie wszystkiego, co było związane z kolejnictwem. Nikt nie wiedział skąd to się u niego wzięło, ale chyba fascynował go ogrom pociągów, ich masa, prędkość. Kolekcjonował wszystko, co było w jakikolwiek sposób związane z tematem: zabytkowe lampy, czapki konduktorskie, stare bilety i tym podobne przedmioty. No i rzecz jasna makiety. Na regałach stały parowozy, wagony i tory z rozjazdami i zwrotnicami. Pewnego dnia patrząc na to wszystko, pomyślałem, że mój syn jest już na tyle duży, że fajnie by było nadać tej kolekcji odpowiednią, poważną oprawę.

Posiadając co nieco uzdolnień plastycznych, postanowiłem sprawić mu przyjemność i podczas prac wykończeniowych zamiast położenia zwyczajnej tapety czy farby, nawiązać jakoś do jego pasji. Namalowałem na ścianie tunel, czy ściślej – półokrągły wlot do tunelu o mniej więcej półtorametrowej średnicy. Dla zwiększenia realizmu zastosowałem coś na kształt perspektywy. Chyba. Podejrzewam, że absolwent liceum plastycznego widząc moje dzieło złapałby się za głowę, ale nie dbałem o to. Dla mnie liczyło się zdanie tylko jednego krytyka. Tak czy siak, dałem się ponieść fantazji i zamalowałem całą ścianę. Łąki, drzewa, nawet kamyki od podkładów. Patrząc obiektywnie, naprawdę nie miałem się czego wstydzić a powiedzieć, że dzieciak był zachwycony to jakby nic nie mówić. Dziękował mi chyba ze sto razy, nie mogąc oderwać oczu od “obrazu”. Przez wrodzoną skromność przyznam tylko, że jak na kompletnego amatora wyszło naprawdę fajnie. Kaśce za to o mało oczy nie wyszły z orbit. Patrzyła na mnie podejrzliwie, jakby nie dowierzając, że to jej osobisty mąż potrafił coś takiego stworzyć. Jedyne Natalia zachowywała powściągliwość. Na pytanie czy jej się podoba, nie odpowiedziała wprost. Popatrzyła tylko z przekrzywioną główką i pokazując palcem powiedziała:

– Tam jest ciemno.

– Ależ oczywiście, żabko – roześmiała się Kasia, głaszcząc ją po włosach. – W każdym tunelu kolejowym jest ciemno. Pamiętasz, jak kiedyś jechaliśmy do babci nad

morze i przejeżdżaliśmy przez taki bardzo długi tunel? Tam też było ciemno.

– A czy tam ktoś mieszka? – zapytała, wpatrując się w czern.

– Nie, oczywiście że nie. Widzisz, tutaj są tory, po których jedzie pociąg i nikt inny już by się tam nie zmieścił. No, może jakieś takie małe myszki jak ty mają tam swoje norki. Chociaż musi być tam strasznie głośno i nie jestem pewna czy dałyby radę zasnąć.

– Acha. A Pani? – zapytała Natalia.

– Jaka Pani? – Spojrzałem ukradkiem na żonę.

– Pani – powtórzyła córka. – Czy tam mieszka?

– Nieeee... – odpowiedziała nieco zbity z tropu Kasia. – A dlaczego pytasz, kochanie?

Mała jednak już nie słuchała i zaczęła coś szeptać do trzymanej w ręku lalki. Typowy spadek koncentracji u małego dziecka.

Mijały dni. Nasza nowa mała ojczyzna zmieniała się. Upalne dni i ciepłe wieczory odeszły. Poranki stały się chłodne i mgliste. Nadeszła przepiękna warmińska jesień. Okoliczne lasy zmieniły kolor z zielonego na złoty. Na szczęście remont domu definitywnie dobiegł końca. Dzieciaki zaskakująco dobrze odnalazły się w swoim nowym środowisku i chyba nie bardzo tęskniły za miastem. Oboje z żoną pracowaliśmy zdalnie i wyglądało na to, że z rodowitych warszawiaków dość gładko przeistoczyliśmy się w zatwardziały prowincjuszy. Za żadne skarby świata nie wrócilibyśmy do świata biurowców, zakorkowanych ulic i smogu.

Problemy zaczęły się mniej więcej pod koniec października. Pewnego ranka przy śniadaniu zniecierpliwiona Kasia popędzała Natalię. Był poniedziałek. Mała marudziła, grzebiąc widelcem w jajecznicy. Najwyraźniej tego dnia nie miała ochoty iść do przedszkola. Na dworze było chłodno i dżdżysto. W sumie mogłaby nawet zostać w domu, ale przecież był jeszcze Mateusz. Staraliśmy się żeby nie opuszczał lekcji bez powodu. Nie było sensu wyrabiać w nim złych nawyków.

Tego dnia rano Natalia ni stąd ni zowąd oznajmiła, że znowu widziała Panią.

W pierwszej chwili nie zrozumieliśmy o kogo chodzi.

– Panią Marię? – zapytałem, upijając łyk kawy.

Pani Maria mieszkała na końcu wsi. Miała ze sto lat, umysł ostry jak brzytwa i całkiem niezłą kondycję. Od wielu lat żyła samotnie w chacie po drugiej stronie lasu. No, prawie samotnie. Nigdy nie odstępowały jej dwa olbrzymie, niedźwiedziowate psy. Nie mam pojęcia, jakiej były rasy ale kiedy pierwszy raz zobaczyliśmy te bestie spacerujące sobie po wsi ot tak, bez uwięzi, zjeżyły mi się chyba wszystkie włosy na ciele. To było jeszcze latem. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Natalia wyrwała rączkę z mojej dłoni i popędziła

przytulić “pieski”. W tamtej chwili dokładnie zrozumiałem, co czują ludzie twierdzący że czas się dla nich zatrzymał. Przysięgłbym też, że na moment stanęło mi serce.

– Mały. Misiak. Spokój.

I tyle. Dwa potwory usiadły wtedy grzecznie obok siebie, czekając aż niewielki człowiek dopadnie do ich uszu, sierści i pysków. Niewielki człowiek był tamtego dnia wniebowzięty, mogąc do woli głaskać, szarpać i ciągnąć za wszystko co się dało. Widać strach ma wielkie oczy. Ale i tak dziękowałem niebiosom, że Kaśka akurat została wtedy w domu z Mateuszem. Inaczej mogłoby być nieprzyjemnie.

Mała potrząsnęła głową.

– Panią z tunelu Matiego. Nie wiem jak się nazywa. Chyba mi mówiła, ale nie słyszałam. Mogę już nie jeść jajecznicy? – zapytała, odsuwając od siebie talerz.

Mateusz zastygł z łyżką w połowie drogi do ust. Na nasze pytające spojrzenia wzruszył tylko ramionami.

– Dobrze. Porozmawiamy o tym później. Mat, ubieraj się – powiedziałem, udając jednocześnie, że nie dostrzegam zaniepokojonego wzroku żony. Pierwsze, co zrobiła Kaśka to oczywiście sprawdziła czy Natalia nie ma gorączki. Nie miała.

– Tato, czy Nati jest chora? – zapytał mnie Mateusz, kiedy podeszliśmy pod szkołę.

– Nie. Dlaczego pytasz?

– No wiesz. Przez to co mówiła przy śniadaniu. Przecież widziałem, jak patrzyliście na siebie z mamą. Nie mam już trzech lat. Możesz mi powiedzieć.

Kucnąłem i popatrzyłem mu w oczy.

– Nie synu, nie jest.

– To dlaczego mówiła takie rzeczy?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Może coś złego jej się coś przyśniło. Może zobaczyła w telewizji coś, czego nie powinny oglądać małe dziewczynki? Umysł płata czasem różne figle i to zwykle w najmniej spodziewanych chwilach.

– Ale już kiedyś to mówiła, pamiętasz? Na początku, jak tylko zobaczyła mój tunel.

– Tak. Idź teraz do szkoły i nie przejmuj się tym. Wszystko będzie dobrze.

Nie było dobrze. Było coraz gorzej. Następnej nocy Mateusz spał jak kamień, również dwie kolejne przeszły w miarę spokojne, jeżeli nie liczyć jego delikatnego pojękiwania przez sen, które mogłoby oznaczać właściwie wszystko. To przyszło w czwartek. Około drugiej nad ranem Mateusz krzykiem postawił na nogi cały dom. Wypadł ze swojego pokoju i jak strzała pognął do naszej sypialni. Wpełzł pod kołdrę, błagając, żeby go nie wyganiać. Był blady jak ściana.

Kaśka usiadła na łóżku.

– Co się stało, synku? – zapytała, odganiając resztki snu.

– Nata nie kłamała, mamó. Ona naprawdę tam jest.

Położyłem mu rękę na ramieniu i zacisnąłem palce, żeby poczuł, że jest bezpieczny.

– Powoli, Mateo. Po kolei. Kto i gdzie jest?

– No, ta baba, o której mówiła Nati. W tunelu

– Synku, coś ci się musiało przyśnić. – Staralem się mówić spokojnie. – Wiesz przecież, że ten tunel jest namalowany na ścianie, prawda?

– Nie, tato. – Mateusz szczerkał zębami, chociaż zaczynał się już nieco uspokajać. – Obudziło mnie jakieś chrobotanie. Najpierw myślałem, że to Natalia wstała i chce do mnie przyjść. Ale kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem ją. No, tę babę. Ja naprawdę nie kłamię.

– Jak wyglądała ta kobieta? – zapytałem, nie zwracając uwagi na grymasy Kaśki.

– Przestań go jeszcze stresować, Marek. Chyba nie sądzisz, że to ma jakikolwiek sens.

– Czekał. Niech odpowie.

– No ... – zająknął się Mateusz. – Sam nie wiem. Okropnie. Była strasznie chuda i taka stara. I miała długie ręce jak... jak takie gałęzie. I siwe włosy, jak Baba Jaga. Mogę tu u was zostać?

– Jasne. Śpij spokojnie. A jutro razem obejrzymy ten tunel, zgoda?

Piątkowe śniadanie zjedliśmy w milczeniu. Wszyscy czuliśmy się jakoś dziwnie. Zaproponowaliśmy nawet Mateuszowi pozostanie w domu, ale powiedział, że pójdzie do szkoły normalnie.

Nie obejrzelśmy tego dnia tunelu. Bo i po co? Mieliśmy oglądać pomalowaną ścianę? Młody w szkole trochę odżył, zjadł obiad, nawet pograł z kolegami w piłkę. Kiedy wrócił do domu, temat nocnego koszmaru jakby nie istniał. Wieczorem poszedł do siebie. A my odetchnęliśmy. Niestety radość była przedwczesna. Punktualnie o drugiej krzyk Mateusza. Cały dom na nogach. Natalia płacze. Kaśka biegnie do córki, ja do syna. Zaplątuję się o kołdrę, przewracam, uderzam czołem o drzwi. W połowie drogi omal nie zderzam się z wyjąłym Mateuszem. Przytulam go mocno, czuję, jak cały drży. Coś bredzi w półśnie, jękając się.

Staralem się go uspokoić, ale z równą skutecznością mógłbym próbować zatrzymać pędzący pociąg.

– Mateusz! – krzyknąłem w końcu zirytowany, potrząsając chłopakiem – Tam nikogo nie ma, słyszysz? W tej ścianie nikogo nie ma!

– Jest, tato! Ona tam jest! Proszę, nie każ mi tam zostawać! Ta starucha... Ona chyba

próbuję się wydostać!

Tego już było za wiele.

– Nie gadaj bzdur. W jaki sposób ktoś miałby wyjść ze ściany? Nie żyjemy przecież w jakiejś cholernej kreskówce! Pod farbą jest tynk, tak?

Mateusz przytaknął, nie przestając się trząść.

– A pod tynkiem?

– Nie w...wiem

– Cegły. Pod tynkiem są cegły. I koniec. Koniec, rozumiesz? Żadnych pułapek, zapadek i ukrytych przejść, w których ktokolwiek albo cokolwiek mogłoby się ukryć.

– Rozumiem – wyszeptał, unikając mojego wzroku. – Ale...

– Nie ma żadnego ale, synu. Zresztą, sam zobaczysz. Możemy we dwóch tam pójść i przekonać się, czy ktoś jest w twoim pokoju. Jeżeli mam rację, wrócisz grzecznie do łóżka i postarasz się zasnąć, tak?

– Ok.

– Zuch – powiedziałem i potargałem go po włosach.

Przyznam, że histeryczny nastrój Mateusza mimo wszystko zaczął mi się udzielać, ponieważ obaj, całkiem nieświadomie skradaliśmy się jak lisy do kurnika. Drzwi pokoju były lekko uchylone. Ostrożnie zajrzałem przez szparę. Poczułem na twarzy delikatny podmuch powietrza. Pchnąłem drzwi. Pokój był pusty.

– Chyba mamy wyjaśnienie twojej zagadki. Syn spojrzał pytająco.

– Okno. W nocy musiało się otworzyć i pewnie kilka razy uderzyło o regał. To wszystko. Jeżeli chcesz możesz jeszcze dziś u nas spać. Mateusz odetchnął z ulgą. Odwrócił się i czmychnął czym prędzej na dół. Zostałem sam. Przyznam się, że nie za bardzo wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Z jednej strony rozsądek podpowiadał mi, że to dziecięca wyobraźnia płatała młodemu jakieś figle. Ale to samo u dwojga dzieci? Mało prawdopodobne.

Włączyłem światło i trochę wbrew sobie postanowiłem przyjrzeć się temu tunelowi. *Nie, to głupie*, pomyślałem i już miałem zejść na dół, kiedy jedna mała rzecz przykuła moją uwagę. W jednym miejscu na ścianie farba była jakby bledsza. Nieznacznie, prawie niezauważalnie, ale jednak przysiągłbym że tak było. *Dziwne*, pomyślałem oglądając ścianę. Nie zostawiłbym tak tego przecież. A jednak plamka tam była i nie miałem najmniejszego pojęcia, skąd mogła się wziąć. Wytarła się? Może. Koniec końców złożyłem to na karb zarwanej nocy i postanowiłem przyjrzeć się temu ponownie za dnia.

Oczywiście nie zrobiłem tego. Poranna krzątania, szkoła, przedszkole i jakieś

problemy w firmie spowodowały, że prawie zapomniałem o nocnym zajściu. Wieczorem byłem już tak zmęczony, że marzyłem tylko o pójściu spać. Dzieciaki po naradzie postanowiły mimo wszystko nocować u Mateusza. Razem. Chcieli pokazać, że są duzi i nie przestraszą się byle czego.

– Do trzech razy sztuka – powiedziałem do Kaśki, przymykając drzwi sypialni. – Na wszelki wypadek zostawię uchylone.

W środku nocy ciszę rozdarł pisk. Zdezorientowany usiadłem na łóżku. Po chwili dotarło do mnie, że tym razem krzyczała Natalia. Kiedy wpadłem do pokoju, stała na środku i wrzeszczała, zakrywając dłońmi oczy. Mateusz siedział w kącie skulony i przerażony jak zbity pies.

– Jezus Maria – krzyknęła Kaśka na widok syna. Pojawiła się w drzwiach zaraz po mnie. Natychmiast ich stąd zabierz.

Pokręciłem głową.

– Ty ich weź – powiedziałem. – Muszę coś sprawdzić.

Kaśka spiorunowała mnie wzrokiem, ale zrobiła to, o co prosiłem. Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi podszedłem do tunelu. Jasna plamka na tunelu była jeszcze jaśniejsza, a do tego farba w tym miejscu popękała. Na podłodze, pod ścianą, leżała grudka białego tynku. Wyglądało na to, że żarty się skończyły. To, czego byłem właśnie świadkiem, wymykało się wszelkiemu wyobrażeniu. Gdybym miał komuś o tym opowiedzieć, to właściwie nie wiem jak miałbym to zrobić: *Wiesz co, u nas jest fajnie, tyle że w pokoju mojego dziecka mieszka demon. Albo: Mój dom jest nawiedzony, wiesz? A obrazek na ścianie żyje i pojawia się tam jakaś stara baba, która usilnie próbuje wdrzeć się do środka. A poza tym wszyscy zdrowi.*

Stałem tak przed tą ścianą z dłońmi wplecionymi we włosy i kręciłem z niedowierzaniem głową. Mam już rezerwować bilet do wariatkowa czy jeszcze za wcześnie? Nie mam pojęcia co, ale coś do cholery tu się jednak działo! Najgorsze było to, że kompletnie nie wiedzieliśmy z Kaśką jak na to zareagować. Wyprowadzić się? Spalić ten dom? Wezwać księdza, pastora, rabina? Na początek zdecydowałem się na najprostsze rozwiązanie: zamalować ten cholerny tunel. Trudno. Narobiłem się jak osioł, ale zdrowie dziecka ważniejsze. Mateusz zgodził się bez wahania, choć zapytałem go bardziej z grzeczności, bo i tak bym to zrobił. Kiedy podszedłem do ściany z wiadrzem białej farby zauważyłem, że pęknięcia i rysy są jeszcze bardziej wyraźne niż poprzednio. Tynk i farba w kilku miejscach wręcz się wybrzuszały i wyglądały jak narośla. Dla pewności całość pomalowałem dwukrotnie. Żegnajcie drzewka i zasrane kamyczki. Mateusz chwilowo

przeprowadził się do nas. Nie chciał wracać do swojego pokoju, czemu nie trudno było się dziwić. Następnego dnia poszedłem zobaczyć efekt swojej pracy. Tunel nie był oczywiście tak czarny jak przed zamalowaniem, ale niewiele mniej. Za to pęknięcia były zdecydowanie wyraźniejsze. Miejscami odpadły naprawdę spore grudki tynku, odsłaniając nawet gdzieś ceglastą czerwień muru. Trochę gładzi szpachlowej i kolejne warstwy farby powinny załatwić sprawę.

Nazajutrz zacząłem się bać. Tunel był czarny. Smoliście czarny i do tego wydawał się głęboki jak otchłań. Ślady darcia pazurami były ogromne. I było ich mnóstwo. Jakby jakieś złapane w potrzask zwierzę desperacko próbowało wydostać się na zewnątrz, usiłując przedrzeć się przez niewidzialną błonę. Coś ewidentnie nie z tego świata próbowało wejść do naszego domu i to drzwiami przeze mnie stworzonymi! Pokój zamknąłem na klucz. Nie wiem, czy przyniesie to jakiegokolwiek efekt, ale na wszelki wypadek spryskałem wszystkie ściany wodą święconą. Proboszcz, od którego ją dostałem popatrzył na mnie dziwnie, ale o nic nie pytał. Zwykle ludzie biorą pewnie flakon. Ja poprosiłem o dwa litry.

W tym samym czasie dziewczyny poszły po zakupy. Kasia wzięła koszyk, wrzuciła kilka potrzebnych rzeczy i podeszła do kasy. Przed nią stały jakieś dwie wiejskie plotkary. Nagle drzwi otworzyły się i stanęła w nich pani Maria. Oba jej brytany czekały na zewnątrz, czujnie strzygąc uszami. Duże, czarne nosy chciwie łowiły zapach leżącego na ladzie mięsa. Staruszka otaksowała wzrokiem wewnątrz. Kobiety w sklepie zaszemrały pod nosem, jednak nie odważyły się na głośniejszy komentarz. Jak większość mieszkańców wsi uważały Marię za raczej nieszkodliwą, ale jednak wariatkę. Z jakiego powodu? Tego nie wiedzieliśmy. Wciąż byliśmy tu nowi i znając mentalność takich społeczności, to pewnie nigdy już się nie zmieni. Maria bez słowa podeszła do Kasi, całkowicie ignorując sąsiadki. Zaciekawiona Natalia zadarła główkę. W przeciwieństwie do dorosłych lubiła tę dziwną, rozczochraną starszą panią. Nade wszystko zaś lubiła jej psy.

– Dzień dobry, pani Mario.

– Witaj, dziecko – odpowiedziała tamta i pogłaskała Natalię.

– Może panią przepuszczę? – zaproponowała Kasia, odsuwając się nieco, ale kobieta pokręciła głową.

– Nie przyszłam niczego kupować.

Kasia uśmiechnęła się.

– Tak? A po co?

– Do ciebie. Widziałam jak wchodziłaś. Musimy porozmawiać.

– Czy coś się stało? – zaniepokoiła się Kasia. – Coś z moim mężem?

Kobieta pokręciła głową.

– Na osobności. Dokończ zakupy. Ja poczekam na zewnątrz.

– Jesteś już. To dobrze. Przejdźmy się – powiedziała Maria.

Kawałek szły ulicą, potem skręciły w polną dróżkę, prowadzącą do ich domu. Przodem dreptał jeden z psów, później Maria z Kasią a za nimi, w kilkumetrowym odstępie, uwieszona na drugim psie Natalia.

– Przyszłam do ciebie, ponieważ... Cóż, miałam to zrobić już wcześniej, ale... Nie zrozum mnie źle, moje dziecko, ale czy ostatnio w waszym domu nie dzieją się dziwne rzeczy?

Kaśka aż przystanęła.

– Nie! Tak! To znaczy... Tak! Ale skąd pani to wie?

– Tego się niestety obawiałam – pokiwała głową Maria. – Mój Boże, tyle lat już minęło, a ona nie dała za wygraną.

– Ale kto, na miłość boską?

– Anielka. To znaczy Aniela Pracon, żona pierwszego właściciela waszego domu.

W innych okolicznościach Kasia pewnie nie zdołałaby się powstrzymać i parsknęłaby śmiechem. Ale na pewno nie dziś. Nie po tym co zaszło w domu.

Maria zatrzymała się i ujęła jej dłoń. Jej poorana zmarszczkami twarz była poważna i skupiona. Oczy patrzyły trzeźwo i bystro.

– Zanim coś powiesz: wiem o waszym problemie więcej niż ci się wydaje. Nie zwróciliście się jeszcze do nikogo o pomoc, prawda?

– Nie. Na początku myśleliśmy że dzieci... no nie wiem, wariują. Albo że mają zwidy, może od jakiejś pleśni, oparów farby... A potem Marek pokazał mi... no, te ślady na ścianie.

– Wasz dom nie jest nawiedzony, jeżeli o to ci chodzi. Duchy nie ist... – chrząknęła Maria. – No, powiedzmy że mają lepsze rzeczy do roboty niż straszenie was. Ale Anielka nie jest duchem. Jest, jakby to powiedzieć – rodzajem bytu zawieszonym gdzieś między życiem a śmiercią. Nie jest więc ani w pełni żywa ani martwa.

– Chce pani powiedzieć, że jakiś duch, przepraszam, byt, próbuje dostać się do naszego domu z zaświatów?

– Dokładnie tak. – Pokiwała głową staruszka. – Za wyjątkiem tych zaświatów.

– Rozumiem. To znaczy nie rozumiem. Ale nawet jeżeli to prawda, to po co? Co ma jakaś obca kobieta do naszej rodziny? Marek mówił, że dom zbudowano około dwudziestego roku.

– Dokładnie w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku – przytaknęła Maria. – Zaraz po

zwycięstwie nad bolszewikami. Józef Pracon był najbogatszym chłopem we wsi. Bogatszym nawet od młynarza, a to nie zdarzało się wtedy często. Ale do wszystkiego doszedł własną pracą.

– Ale wciąż nie rozumiem, jaki to ma związek z nami? – Kasia uśmiechnęła się niepewnie.

– Ma – odparła Maria. – I to bardzo duży. Praconiowie byli bogaci. Mieli wszystko, co tylko można było uznać w tamtych czasach za luksus, będąc przy tym normalną, kochającą się rodziną. Dzieci syte, czyste, szczęśliwe, gospodarstwo kwitnące. Ludzkie języki są jak węże i co chwila pojawiły się pytania o pochodzeniu takiego majątku. Niektóre zupełnie idiotyczne jak te o zaprzędaniu duszy diabłu, no ale takie były czasy. Dla innych sprawa była prosta: Pracon był kapusiem, agentem, zdrajcą ojczyzny i tak dalej. Kompletne bzdury, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością. Prawda była banalna. Stary Józef był robotny i tyle. Nie pił, nie tracił na byle co. No i to powodzenie niektórych kłuło w oczy, jak to u Polaków. Kłuło do tego stopnia, że pewnego dnia kilku takich “dobrych chrześcijan” postanowiło uszczknąć nieco tego szczęścia dla siebie i porwać małego Praconia, dla okupu rzecz jasna. Stary oddałby wszystko, byle tylko odzyskać dziecko, które, jak się później okazało było przetrzymywane tu, niedaleko ich domu. Maria uśmiechnęła się, widząc jak Kasia rozgląda się nerwowo.

– Nie szukaj. Tego budynku dawno już nie ma. Nie pozostał nawet kamień. Spalił się do fundamentów kilka dni po pogrzebie chłopca.

– A więc on.....

– Zginął. I to z ręki najbliższego sąsiada, którego znał od kołyski. Dzieciak był ufny, ale nie poszedłby przeciw z nieznanym.

– Boże, to straszne! A okup? Przecież mówiła pani...

– Podobno to był wypadek, choć ja w to nie wierzę. Ten sąsiad co go porwał, Mroczek się nazywał. Pijak był z niego jakich mało. W domu i obejściu bieda aż piszczała, a jedyne co umiał robić, to dzieci. Chyba z ośmiro ich tam było na kupie. A wszystkie obdarte, wiecznie głodne. Z zawiści zabił małego, ze zwykłej ludzkiej podłości!

– Odpowiedział chociaż za to? Złapali go?

– Przed Bogiem to na pewno. Nie złapali, tylko znaleźli. Kiedy już ustalili, kto zabił, miała się odbyć rozprawa. Przyjechali ich aresztować, całą rodzinę, bo to że niby współdział. Wszystkie Mroczi wiedziały, co tu się działo. A trzeba ci wiedzieć, że małego Praconia to prawie trzy tygodnie trzymali w chlewiku. No i nie zdążyli. Jak policja po nich przyjechała, tylko zgłiszczą domu zastali. Z dziesięcioma ciałami w środku.

– To ...

– Tak. Cała rodzina. Ktoś pozamykał wszystkie otwory i wejścia za wyjątkiem komina i podłożył ogień. Chciał, żeby się spalili, a nie udusili. Podobno wszyscy umarli z takim wyrazem przerażenia na twarzach, że nawet prokurator mówił, że czegoś takiego dotąd nie widział. Żarna sprawiedliwości boskiej miały widać szybciej niż tej ziemskiej.

– A ta Aniela? Co się z nią stało?

– Powiesiła się w dzień po pogrzebie synka. A dalej to już poszło. Pracon zaczął pić. Pił tyle, że w końcu opieka społeczna zabrała mu dwie córki. Pewnego dnia po prostu zniknął i wszelki śluch po nim zaginął. Dom przejął skarb państwa i odsprzedał jakiemuś Żydowi, nie pamiętam już nazwiska. Później przysła wojna i zabrali go do obozu, z którego już nie wrócił. Po nim, za komuny, ciągle kogoś tam kwaterowali. Ostatni właściciel mieszkał tu chyba najdłużej, bo ze dwadzieścia lat.

A potem wprowadziliście się wy. Jesteście, wybaczone porównanie, dokładnie taką samą szczęśliwą rodziną jak Praconiowie.

Słyszając to porównanie, Kaśka wzdrygnęła się.

– No, tyle historii. A teraz najważniejsze: przyszłam żeby was ostrzec. Pokróćce wygląda to tak, że Aniela straciła swojego chłopca i nie spocznie dopóki go nie odzyska. Tylko wtedy odejdzie w spokoju, tym razem na zawsze. Umarła w końcu śmiercią samobójczą. Możesz w to wierzyć lub nie, ale to co się teraz z nią dzieje jest pewnego rodzaju karą. Ciężką i bolesną. Ona cierpi. Bardzo cierpi. Jeżeli jesteś wierząca to wiesz, o czym mówię.

– Czyli mam uwierzyć, że duch zmarłej prawie sto lat temu kobiety nawiedza mój dom i chce mi zabrać dziecko? Moje dziecko? Przecież to absurd. Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Dlaczego właśnie my?

– Mieszkacie w Jej domu. Zwróciłaś uwagę na to, że jest stara? Duchy nawet całe wieki po śmierci wyglądają jak w dniu śmierci, bo dla nich czas się zatrzymał. Dla niej nie. Starzeje się i kiedyś w końcu odejdzie. Jeżeli bez dziecka, to jako potępiona... Zresztą mniejsza o to. Nie będzie dla niej miejsca w niebie czy gdzie tam sobie wolisz. Będzie bez końca błąkać się po ziemi. I dopiero wtedy zrobi się naprawdę niebezpieczna, również dla innych ludzi.

– Ale przecież, przepraszam że tak mówię, poprzedni mieszkańcy...

– Wiem, co masz na myśli. – Gorzko uśmiechnęła się Maria. – Bezdzielni. Albo same dziewczynki.

Kaśka spojrzała na Marię badawczo.

– A Pani skąd to wszystko wie?

Maria pokiwała głową.

– Widzę różne rzeczy. I wiem całkiem sporo, jak na wiejską wariatkę. Ale przede wszystkim to nazywam się Pracoń. Maria Pracoń. Jestem najmłodszą córką Anieli.

Siedzieliśmy w salonie niemal w zupełnej ciszy, przerywanej jedynie tykaniem zegara. Kaśka chodziła wkoło, paląc nerwowo papierosa.

– Uspokój się – powiedziałem, bo nic innego jakoś nie przychodziło mi do głowy. – Lubię panią Marię, ale chyba nie wzięłaś tego wszystkiego, co mówiła na poważnie?

Kaśka spojrzała na mnie ciężko i pokręciła głową.

– No właśnie to cały ty. Jezu, Marek, czy ty naprawdę nie dostrzegasz nawet cienia grozy tej sytuacji? Widziałeś sam co tam się odwała w pokoju Mateusza? Nie rusza cię to? Uważasz, że to normalne?

Jasne, że ruszało. Nie było sensu udawać, że nic się nie stało. Nie chciałem tylko wyjść na jakiegoś mięczaka, którego można przestraszyć byle czym.

– Ok. – Uniosłem ręce w obronnym geście. – W takim razie zastanówmy się co możemy z tym zrobić. Czy staruszka powiedziała ci jak mamy sobie z tą jej mamusią poradzić? I ile mamy na to czasu? Coś tak zamilkła? Chyba nie naopowiadała ci, że mamy złożyć naszego syna w ofierze? – zaniepokoiłem się. – A może po prostu wyjedźmy na trochę i po krzyku. Wrócimy tu na wiosnę i wtedy zobaczymy co i jak.

– Nie. To podobno nic nie da.

– Co nic nie da? Ofiara?

– Puknij się w łeb. Jaka ofiara? Wyjazd nic nie da! Ona pójdzie za nami wszędzie, gdzie tylko się udamy.

– To co mamy robić? Czekać z założonymi rękami? – parsknąłem.

– Nie. Jest na to sposób. Tyle że dosyć kontrowersyjny.

– Jak bardzo?

– Bardzo. Samobójców nie chowało się wtedy razem z innymi na cmentarzu w poświęconej ziemi, tylko gdzieś pod płotem i bez księdza. Trzeba ekshumować Anielę Pracoń i pochować jeszcze raz. Po chrześcijańsku, w normalnym grobie.

– Tylko tyle? – wzruszyłem ramionami. – Da się zrobić. Po tylu latach to pewnie tylko garść kości została. Raz dwa to załatwimy i po krzyku.

– Jasne. Ale jest jeszcze problem ponownego pochówku. Jak masz zamiar przekonać do tego pomysłu proboszcza? Pójdziemy i powiemy: *Szczęść Boże, tak się składa, że przypadkowo wykopaliśmy na waszym cmentarzu szczątki pewnej kobiety. Czy nie mógłby*

ksiądz odprawić jej porządnego nabożeństwa? Przecież od razu wyśle nas do diabła i jeszcze na policję zadzwoni.

– Zapłacimy.

Kaśka prychnęła. – To nie takie proste. Na to są odpowiednie procedury: jakieś zgody sanepidu, papiery z sądu, akty zgonu i tak dalej. Tego nawet on nie obejdzie ot tak sobie. Zresztą takie rzeczy trwają kilka tygodni. Nie mamy tyle czasu. Z tego co mówiła Maria, góra kilka dni. A właściwie to im szybciej to załatwimy, tym lepiej. Chryste Panie, Marek, w co my się wpakowaliśmy? Czuję się jakbym występowała w jakimś podrzędnym horrorze.

– Wiem – westchnąłem. – Mam podobnie. Chodźmy do tego księdza. A po drodze zastanówmy się czym to szaleństwo umotywować. Bo w to co się tu dzieje to on na bank nie uwierzy.

Nigdy nie zgadniecie co się stało. Proboszcz uwierzył od razu. To znaczy, nie od razu się zgodził. Na początku próbowaliśmy zająć go od drugiej strony. Wiedzieliśmy, że ksiądz nie pochodzi stąd. Szanse na to, że zna historię Praconiów były niewielkie. Wymyśliliśmy, że przedstawimy się jako dalecy krewni Anieli, którzy, nie mogąc znieść myśli o tak niegodnym potraktowaniu jej doczesnych szczątków, postanowili ulżyć umęczonej duszy biedaczki i po wielu latach dopilnować, żeby zrobiono to jak należy. Grubymi nićmi szyte, ale mieliśmy nadzieję, że ksiądz jakoś to łyknie. Może łatwiej mu pójdzie, kiedy dodamy do tego odpowiednio grubą kopertę. Kiedy tylko skończyłem opowiadać, przybrawszy odpowiednio cierpiętniczy wyraz twarzy, ksiądz Łukasz, bo tak nam się przedstawił, przekrzywił głowę i spojrzał na nas jakbyśmy byli niespełna rozumu. Jego oczy dłuższą chwilę przeskakiwały ze mnie na Kaśkę i odwrotnie. W powietrzu czuć było napięcie. Wreszcie uniósł swoje ogromne ciało z głębokiego fotela i podszedł do nas.

– Czy wyście, ludzie, doszczętnie powariowali? Mam, ot tak. – Pstryknął palcami. – Iść z wami na cmentarz i uczestniczyć w bezczeszczeniu starego grobu, bo wam się nagle zachciało ratować duszę zmarłej? Nawet mowy nie ma!

– Ale my zapłacimy, proszę księdza... – szepnąłem konfidencjonalnie.

– Panie! – huknął i walnął pięścią w stół. – Nie o pieniądze tu chodzi.

– To o co? – zdziwiłem się szczerze. Ksiądz już otwierał usta, żeby udzielić mi reprimendy, kiedy odezwała się milcząca dotąd Kaśka.

– Przestańcie! – krzyknęła. – Sytuacja jest naprawdę wyjątkowa. Powiemy księdzu prawdę.

I powiedzieliśmy. Wszystko. A on uwierzył. Słuchał, kiwając się lekko na fotelu. Ani razu nie przerwał. Kiedy Kasia skończyła, zapadła cisza.

– No tak – odezwał się w końcu. – Cóż, trzeba było tak od razu. Ale dobrze, że przyszliście z tym do mnie. Panie....

– Marku.

– Zbieraj się pan. Szybko. I proszę wziąć jakieś szpadle z komórki za kościołem.

Dotarcie na cmentarz zajęło chwilę. Jak większość wiejskich nekropolii, również i ta w Czarcich Dołach znajdowała się dość blisko kościoła. Przed bramą czekała już pani Maria, która jakimś cudem dowiedziała się o naszej wizycie na plebanii. Była sama, bez swoich towarzyszy. Zrobiło się całkiem ciemno. Cmentarna brama, prawdziwe dzieło sztuki kowalskiej, zaskrzypiała tak głośno, że po plecach przeszły mi ciarki. Cmentarz okazał się całkiem spory. I dość stary. Idąc alejami, zerkałem na mijane groby. Niektóre były całkiem nowe, ale większość stanowiła wiekowe, powykrzywiane i porośnięte mchem pomniki przeszłości. Nazwiska polskie przeplatały się z niemieckimi i gdzieniegdzie żydowskimi.

Część, w której chowano niegdyś samobójców i nienarodzone, nieochrzczone dzieci, leżała na samym końcu, pod lasem i sprawiała dość przygnębiające wrażenie. Nie było ani jednego betonowego pomnika. Wszystkie groby miały kształt pagórków o nieregularnym, uformowanym przez deszcze i wiatry kształcie. Tylko w niektórych tkwiły wbite krzyże z dawno zmurszałego drewna. Gdzieniegdzie ze starości poodpadały poprzeczki i w niebo celowały samotne, pionowe drągi. Blaszane tabliczki pokryły się rdzą. Jedynym w miarę zadbanym grobem był ten Anieli Pracoń. Widać Maria starała się utrzymywać go w możliwie jak najlepszym stanie.

– Pani Mario – powiedziałem wolno. – Może jednak...

– Nie – ucięła. W jej oczach zaślniły łzy. – Chcę, muszę przy tym być. Mój boże, tyle lat minęło i dopiero teraz można będzie ją godnie pochować. Gdybym tylko wiedziała wcześniej, jakie będą konsekwencje, zrobiłabym wszystko co w mojej mocy....

– Wiemy, pani Mario – powiedziała Kaśka, kładąc rękę na kościstym ramieniu kobiety. – Proszę się nie obwiniać. Zrobimy, co trzeba i wszystko będzie dobrze.

Chwyciłem za szpadel. Drugi wzięła Maria. Na moje pytające spojrzenie zacisnęła usta i wbiła ostrze w rozmiękną ziemię. Wzruszyłem ramionami i zabrałem się do pracy. Ksiądz Łukasz stał metr dalej i modlił się z lekko przymkniętymi oczami, więc w zasadzie kopałem sam. Maria, z racji podeszłego wieku, przerzucała tylko niewielkie skibki piachu zbyt ciężką dla siebie łopatą. Kasia przyświecała nam latarką. Nie było jeszcze zupełnie ciemno, ale bez jej pomocy nie zauważylibyśmy jak ziemia z mogiły zaczyna lekko drżeć. Początkowo sądziłem, że to wynik obsuwania się gruntu. I chyba tylko ja to widziałem. Drgania jednak nasilały się. To było coś jak niewielkie trzęsienie ziemi. A później, no cóż,

wszystko potoczyło się tak szybko, że do dzisiaj nie mam pojęcia, jakim cudem udało mi się wykazać takim refleksem, ale sądzę że cała ta sytuacja i związane z nią napięcie wywołały we mnie jakieś uspięte pokłady atawistycznych odruchów. Wrzasnąłem dziko, rzucając się szczupakiem na zaskoczoną i przerażoną żonę. Przewracając ją na ziemię, zdążyłem kątem oka dostrzec strach i niedowierzanie w szeroko otwartych oczach księdza. Wibrująca pośrodku wykopu ziemia zaczęła nagle żyć własnym życiem. Najpierw pojedyncze ziarenka, później całe grudki czarno-płowej ziemi zaczęły podskakiwać, jak gdyby w rytm jakiejś muzyki albo raczej... bicia czyjegoś serca. Bardzo mocnego bicia. Trwało to chwilę, może dwie. I ucichło, równie nagle jak się zaczęło.

Spojrzeliliśmy po sobie, nie do końca zdając sobie sprawę, czego właśnie byliśmy świadkami. Wewnątrz całkiem sporego wykopu wytworzyło się coś w rodzaju niewielkiego leja. Piasek zaczął wirować, najpierw wolno, zupełnie przecząc prawom fizyki, potem coraz szybciej i szybciej. Ksiądz Łukasz, otrząsnąwszy się po chwilowym szoku, powrócił ze zdwojoną energią do przerwanej modlitwy. Tymczasem pani Maria, poczciwa pani Maria, nie chcąc widać zaczekać na rozwój wydarzeń nachyliła się nad mogiłą. W tym samym momencie ze środka grobu, wystrzeliły dwie poszarzałe kościste ręce i zacisnęły się na jej szyi. Biedaczka nie miała czasu zaczerpnąć nawet powietrza, zacharczała tylko i opadła na kolana. Z osuwającego się piachu powoli, spokojnymi ruchami tułowia, niczym wielka dżdżownica zaczęła wypełzać Aniela Pracon.

Miała długie, siwe włosy, poszarpaną koszulę, w której ją przed laty pochowano, niegdyś białą, teraz brudną i zszarzałą. Jej oczy, zmętniałe, pozbawione tęczówek i źrenic jarzyły się mdłym, mlecznym blaskiem. Spętany strachem, który paradoksalnie w jakiś cudowny sposób dodał mi też sił, zerwałem się na równe nogi. Wziąłem porządny zamach szpadłem i uderzyłem. Stare, poszczerbione ostrze z obrzydliwym chrzęstem wgrzyzło się w kręgosłup zjawy. Gdyby to był człowiek, dawno byłoby po wszystkim. Ale nie był. Wychudła, obciążnięta ziemistą skórą twarz obróciła się w moją stronę z wyrazem wściekłości. Przegniłe usta rozwarły się o wiele za szeroko, a z pomiędzy warg, które niegdyś czule całowały dzieci do snu, wydobył się świdrujący dźwięk: ni to skrzek, ni warkot. Ksiądz, który przecież musiał to wszystko widzieć, wydawał się niewzruszony. Mamrotał coś pod nosem, nie mam pojęcia czy to była jeszcze modlitwa czy już jego osobiste pojednanie ze Stwórcą i jakiś akt pokuty. Kasia leżała zemdlona dwa metry dalej, zupełnie nieświadoma tego, co się wokół dzieje. Obok niej latarka, włączona, ze snopem światła skierowanym gdzieś w korony drzew. Na całe szczęście księżyc był w pełni a niebo bezchmurne. *Przynajmniej ona jest chwilowo bezpieczna, zdążyłem pomyśleć, zerkając na żonę. Szarpiąc*

się na wszystkie strony, teraz już z widoczną złością Aniela, centymetr po centymetrze wydostawała się na zewnątrz, nie zwalniając ani na chwilę śmiertelnego uchwytu na szyi Marii. Nie wyglądało na to, że miała świadomość, kogo właśnie dusi.

Wtedy równocześnie stały się dwie rzeczy: ksiądz Łukasz drgnął, jakby obudzony z głębokiego snu. Nie wiadomo skąd w jego dłoni pojawiła się buteleczka ze święconą wodą. Wylał całą jej zawartość na grób, krzycząc:

– Domine! Salva animam eius!

Zaciśnięte, pobielełe z wysiłku usta Marii Pracoń wyszeptały tylko:

– Wybaczam ci, odpoczywaj w spo...

Tylko tyle. Zjawa zaskrzeczała jeszcze, tym razem jakby rozpaczliwie, a jej ciało wolno, kawałek po kawałku zaczęło rozsypywać się w proch. Zetłaty materiał koszuli opadł na ziemię jak stara szmata. Ksiądz osunął się na kolana. Dyszał ciężko, a na jego twarzy perlily się krople potu. Mimo wyczerpania nie pozwolił sobie na odpoczynek.

– Teraz szybko, musimy ja pochować.

Nie trzeba było mi dwa razy powtarzać. W wykopanym dole umieściliśmy wszystko, co pozostało z Aniela, czyli niewiele. Całość dokładnie zasypałem i ubiłem. Ksiądz odprawił krótkie nabożeństwo żałobne i poświęcił ziemię. Nie tylko tą, w której spoczęła Aniela, ale i tę naokoło, w której leżały szczątki innych potępionych. To było zdecydowanie mądre posunięcie. Diabli wiedzą, co tamci mieli na sumieniu.

Maria umarła. Ale chyba ze świadomością dobrze spełnionego obowiązku. Kasia ocknęła się, kiedy było już po wszystkim. Była tak skołowana, że pierwszą rzeczą, która jej przysła do głowy było pytanie o dzieci. Odetchnęła głęboko, usłyszawszy że nic im nie grozi. Zaczynało świtać. Stwierdziliśmy, że wrócimy do domu. Dlaczego? Jakoś to wszystko trzeba było wiarygodnie wytłumaczyć: policji, prokuraturze, ludziom przede wszystkim. Wyjaśnienie zgodne z prawdą raczej nie wchodziło w grę. Proboszcz obiecał, że zostanie do rana i dopiero wtedy zadzwoni na komisariat. Co im powie? Cóż, tego dnia i tak miał się odbyć jakiś pogrzeb. Zzna, że przyszedł o świcie na cmentarz żeby sprawdzić czy wszystko jest należycie przygotowane do ceremonii. Rodzina zmarłego była ponoć bardzo drobiazgowa i takie wytłumaczenie nie powinno nikogo dziwić. Powie, że przechadzając się alejkami, znalazł panią Marię, leżącą przy grobie matki. Nie bardzo wiedzieliśmy jeszcze jak wyjaśnić ewentualne pytania o ślady pozostałych osób. Ziemia wokół wyglądała dość nieciekawie. Ale o to chyba nie musieliśmy się martwić: czarne niebo nad nami nagle pękło z hukiem, przecięte oślepiająco białą siateczką błyskawicy. Pierwsze krople deszczu spadły jeszcze zanim dotarliśmy do domu a ulewa, która rozszalała się tamtej nocy, przeszła ponoć do

historii regionu.

Czy nasze życie wróciło po tym wszystkim do normy? Tak sędzę. Panią Marię pochowaliśmy kilka dni później. Patolog, który badał jej zwłoki w związku z nienaturalną przyczyną zgonu cóż, dość powiedzieć, że jako przyczynę śmierci wpisał zawał, co ucinęło dalsze spekulacje. A może znaczenie miał też fakt, że lekarz był mężem siostrzenicy księdza Łukasza? Nie wiem i chyba jest mi to obojętne.

Na pogrzebie, oprócz całej naszej rodziny, księdza i dwóch wielkich psów nie było nikogo. Trochę to dziwne i zarazem smutne. Maria Pracon może i uchodziła we wsi za wariatkę, ale jak się później dowiedziałem, swojego czasu bardzo pomogła wielu ludziom. Ot, ludzka wdzięczność. Ale może to i lepiej? W ostatniej drodze towarzyszyli jej ci, którym zależało naprawdę. Po ceremonii Misiek i Mały wstali i ruszyli za nami do domu. Tak po prostu, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

Pokój Mateusza przeszedł generalny remont. Pośrodku wyrosła ściana, dzieląca pomieszczenie sprawiedliwie na pół. W jednej części powstała garderoba, na którą jakoś zawsze brakowało miejsca, druga służy teraz za magazyn na środki czystości. Mati przeniósł się obok, do niewielkiego pokoju, który pierwotnie miał być gościnnym. Ma tam teraz trochę mniej miejsca niż wcześniej, ale nie narzeka. Jedna tylko rzecz mnie zastanawia: jak tylko przenieśliśmy tam wszystkie jego rzeczy to na ścianie, tuż przy łóżku pojawiła się długa, pionowa rysa...

WIGILIA ARMAGEDONU

Michał Lipka

Siedziała na gałęzi i machała nogami. Gałąź była gruba, solidna, jak większość gałęzi tego drzewa. Kora brązowa, niemal czarna, marszczyła się, spękana – twarde łuski drzewa pod pośladkami dziewczyny w dżinsach. Jedna ręka dziewczyny opierała się o gałąź, tuż obok jej uda. Druga ręka, lewa, trzymała się konaru, jakby mogło to uchronić dziewczynę przed upadkiem.

Albo jakby drzewo miało nagle zacząć się trząść, chwiać.

Jej włosy, oświetlone od tyłu przez czerwone, zachodzące słońce, przez róz nieba, który odbijał się w oknach wyższych pięter blokowisk widocznych na horyzoncie, te włosy niemal zlewające się z czarną zielenią liści, wydawały się jeszcze bardziej czarne, niż zazwyczaj.

I to wtedy ta dziewczyna, ta Renka, to wtedy właśnie powiedziała:

– To nie jest nielegalne.

Machała nogami, siedząc na tej gałęzi, wokół niej z innych gałęzi zwieszały się zwłoki dziewczyn, powieszonych za szyje na cienkich, ale mocnych linkach, zwłoki o białych ciałach i sinych twarzach, z których sterczały spuchnięte języki i mówiła:

– Może to i niesmaczne, może niewłaściwe, ale nie nielegalne.

I uśmiechała się, a muchy krążyły wokół, podlatując do zastygłych na udach ekskrementów, do plam moczu na ubraniach i zakrzepłych strużek krwi na szyjach, podczas gdy słońce leniwie zsuwało się po horyzoncie.

W dniu końca świata, w tej chwili, kiedy umiera nadzieja, ludzie zawsze widzą znaki. Znaki poprzedzają ten moment, znaki zwracają naszą uwagę, ale my zwracamy uwagę na nie dopiero, kiedy jest już za późno. Więc w tym dniu, kiedy miał nadejść wielki koniec, Renka szła, z telefonem w ręku, z ekranem smartfonu przed oczami, stukała w ten ekran palcami i pokazywała mi wieści z całego świata, a ludzie wokół nas biegali gorączkowo, niosąc naręczce papieru toaletowego, pieczywa do mrożenia i piwa, niosąc niezdrowe żarcie, produkty higieniczne i alkohol. Kiełbasy i ciasto. Konserwy.

– Zobacz. – Renka podetknęła mi ekran przed oczy, więc spojrzałem.

Polscy piłkarze awansowali do finału!

Głosił tytuł internetowego wpisu na portalu informacyjnym.

– Albo to.

Pokazała kolejny artykuł, informujący, że:

Amber Heard przyznaje się do kłamstwa.

Obok nas przemknął ktoś, kto niósł ze sklepu całe mnóstwo kupionych na promocji kurczaków, żółtych już, sinych, obitych przy uboju, jakby ktoś za cel obrał sobie zamęczenie ich na śmierć, ale przynajmniej tanich, a Renka mówiła:

– Jeśli to nie są znaki końca świata, to nie mam pojęcia.

I minęła sklep, jakby w wigilię Armagedonu nie trzeba było kupować świeżego pieczywa ani podpasek i szła dalej, a ostatnie słońce istnienia tego świata coraz bardziej zbliżało się do kresu swojej wędrówki.

– Koniec świata to najlepsze, co może przydarzyć się człowiekowi – powiedziała Renka. – Koniec świata jest lepszy nawet niż śmiertelna choroba.

Jest lepszy od zakaźnej, śmiertelnej choroby i od katastrofy lotniczej.

– Jest lepszy od lotu z ludźmi, których nienawidzimy. Taki lot za każdym razem jest twoim zwycięstwem, bo albo doleczysz na miejsce, albo zginiesz, ale wtedy przynajmniej do piachu pójda ci, których nie cierpisz.

Dlatego tak dużo ludzi lata gdzieś, jeździ gdzieś, z przyjaciółmi. I to właśnie najlepiej pokazuje, z jakimi ludźmi się przyjaźnimy.

– A koniec świata jest jeszcze lepszy.

Koniec świata to koniec wszystkiego. W odróżnieniu od katastrofy lotniczej nie ma już ryzyka, że ktoś znienawidzony przeżyje. Nie ma obaw, że ci, których twarze są dla nas jak widok psich odchodów na kanapce, że ci ludzie będą żyli, kiedy nas już nie będzie, a przecież nikt nie chce, by wróg go przeżył.

– Koniec świata to koniec tych ludzi, ale i koniec problemów.

Koniec urzędów. Koniec praw. Koniec przepisów.

Koniec.

– Kiedy nie ma już nic, nic cię nie obchodzi. Kiedy wszystko ma trafić szlag, nie musisz martwić się o wydatki, o pensję, o zdrowie.

Nie martwisz się o bliskich, siebie, przyszłość, bo nie martwisz się o coś, co nie istnieje i nie zaistnieje już nigdy więcej.

– Więc jeśli w życiu jest coś pięknego, coś wspaniałego, coś wartego, to jest tym tylko śmierć.

Uliczka prowadząca od centrum miasta do tych zielonych terenów na jego obrzeżu była cicha i spokojna. Ostatni sklep został kilkaset metrów za nami, za nami zostały mrówki ludzi wypełniających spiżarnie, jakby od tego zależało ich życie, więc na nas czekała już tylko wolna przestrzeń.

A ta przestrzeń była jasna, była rozświetlona, słońce jeszcze nie zaszło, jeszcze nie było blisko horyzontu i świeciło na tyle, że nawet asfalt nie był czarny pod jego promieniami. Pod jego promieniami nawet cienie były ledwie szare. I na tym tle skłębiona czerń nieba przed nami, ta skołtuniona plama zalewająca nieboskłon jakieś trzysta, czterysta, może pięćset metrów od punktu, w którym się znajdowaliśmy, wydawała się jeszcze bardziej czarna. Jeszcze bardziej smolista.

– Widzisz? – pytała Renka.

Więc kiwałem głową.

A przed nami, na moich oczach, malował się obraz gęstego, czarnego dymu, dymu oleistego i tak ponurego, jakby był przeciwieństwem światła. Dymu wznoszącego się w niebo ciężko, leniwie, rozlewającego po nim, jakby był efektem specjalnym w jakimś filmie.

– Widzisz? – pytała Renka, kiedy szliśmy w jego kierunku, a potem pokazywała kolejny nagłówek z portalu informacyjnego wołający:

Wściekły człowiek pogryzł na Podlasiu psa.

Wołający:

Zenek kończy karierę.

I mówiła:

– Widzisz, świat się kończy.

Mówiła:

– Zbyt wiele dobrych rzeczy dzieje się na świecie, by to wszystko się nie zawaliło. Po prostu nie ma innej możliwości.

I dalej stukała w ekran.

– Niebo i piekło – powtarzała Renka. – Niczym się od siebie nie różnią. To jedynie kwestia spojrzenia.

Kwestia perspektywy. Kwestia podejścia.

– Czy trafisz do raju, czy w ogniste otchłanie, to nieważne, liczy się tylko to, że już nie żyjesz. Jeśli trafisz do nieba, spoko, podobno lepiej być już nie może, nie musisz się niczym martwić, nic nie ma znaczenia, wszystko jest idealnie.

Trup jest już spełniony. Życie dopełniło się, jak powinno.

– A jeśli trafisz na dół – ciągnęła. – Cóż... Piekło nie jest takie złe, bo już nie musisz się bać. Osiągnąłeś już to, co najgorsze, więc nie musisz bać się, że będzie gorzej, że coś się stanie. Nie obawiasz się już o przyszłość, o choroby, nie boisz braku pieniędzy ani śmierci, bo już nie żyjesz. Co więcej cię spotka?

Patrzac na to w ten sposób, życie wyglądało o wiele gorzej.

– A do cierpienia też można przywyknąć.

Życie to w końcu cierpienie.

– A jeśli nic nie ma potem? Jeśli jest tylko pustka nieistnienia? Przynajmniej nie istnieją też problemy.

Takie to proste. Takie wspaniałe. Taka jest cudowność śmierci.

Bo wszystko może okazać się lepsze od życia. I tak się składa, że zazwyczaj jest od niego lepsze.

– Widzisz? – pytała Renka.

I krok po kroku, krok za krokiem, zbliżaliśmy się do czarnego nieba. A właściwie zbliżalibyśmy się, gdyby istniało. Gdyby przed nami nie znajdowało się zwykłe, wieczorne niebo, a efekt specjalny z filmu katastroficznego.

– Widzisz ten dym, te lepkie, gęste kłęby? Całe to zanieczyszczenie? – pytała.

A jak to opisywała w ten sposób, widziałem to. Widziałem to, jakby istniało. Jakby było żywe.

– Tak będzie wyglądała ziemia, kiedy nie nadejdzie apokalipsa dla ludzi.

Problem w tym, że apokalipsa nie nadchodziła.

Może to i był dzień końca świata, może to i był moment Armagedonu, ale nie dla wszystkich tych ludzi biegających z zakupami. Nie. Oni nie wiedzieli, że koniec nadchodzi, bo nie nadchodził dla nich, więc jedynie biegali z wódką i piwem, z kurczakami i chipsami, gnali z pieczywem paczkowanym i krojonym, jakby nie potrafili kroić i pakować, bo zbliżał się długi weekend. Bo to ostatni dzień otwarcia marketów przed dwudniową przerwą, więc robili zakupy, jakby od tego zależało ich życie. Jakby mieli umrzeć przez te czterdzieści osiem godzin i miało im zabraknąć w ich trakcie dosłownie wszystkiego.

– Więc koniec świata trzeba przybliżyć samemu – mówiła Renka. – Krok po kroku.

Więc i krok po kroku szliśmy tam, gdzie świat właśnie się kończył. Przynajmniej dla wybranych.

– I tak to wygląda – powiedziała Renka, stojąc na polanie. – Koniec świata to koniec problemów. Nawet taki prywatny koniec świata. Taki, gdzie umieramy przed tymi, których nienawidzimy, by zostawić ich na tym gównianym łez padole, niech się męczą gorzej od nas.

Mówiła to, a wszyscy jej słuchali.

Wszystkie jej słuchały.

Stały pod tym drzewem, a ona mówiła im o cudowności braku problemów w Piekło. Mówiła im, że dziś ten cud śmierci nadejdzie dla nich wszystkich, dla nas wszystkich, a reszta nich tu gnije dalej i wszystkie stały tam i wiązały pętle szubieniczne na cienkich, ale mocnych linkach.

Kiedy wieszasz się na grubej linie, mówiły fora internetowe, na których Renka poznawała wszystkie te dziewczyny, nacisk wywarty zostaje na zbyt dużą powierzchnię szyi, więc dusisz się powoli, przedłużasz cierpienie, a one przedłużać go nie chciały. Nie, one chciały skończyć z bólem, który niósł ten świat, więc szukały metod jak najbardziej bezbolesnych. Ale jednocześnie chciały się też pokazać. Chciały się zabić widowiskowo, w publicznym miejscu, by zwrócić na to uwagę. Zwrócić uwagę na siebie, choćby pośmiertnie.

Niektóre były już pijane, inne naćpane – wszystko, byle nie cierpieć – a Renka, wiążąc własną pętlę, opowiadała tym przyszłym samobójczyniom, tym już niedługo ex-żywym dziewczynom, jak to warto się zabić, bo chciała popatrzeć, jak ludzie umierają.

– To zawsze poprawia humor – mówiła do mnie jakiś czas przed tym, zanim tu przyszliliśmy, mijając tych wszystkich zakupowiczów.

To, jak ktoś ma tak źle, że aż musi się zabić, by było mu lepiej, działa na nią pozytywnie.

– Od razu czujesz się lepiej. Od razu czujesz że żyjesz.

Tym bardziej, gdy w twarzach martwych możesz wyobrazić sobie oblicza wrogów.

Tak mówiła mi, a dziewczynom, dla których dziś kończył się świat, tłumaczyła:

– Śmierć jest taka cudowna, bo w końcu człowiek dowiaduje się, co tak naprawdę jest potem. Odkrywa największą tajemnicę życia.

I już wchodziły, jedna po drugiej, ona też, na drzewo. Przerzucały sznurki przez gałęzie, wiązały je, zakładały pętle na szyje. Renka też.

Słońce zachodziło powoli, a one stały na tych gałęziach, jak jakieś osobliwe owoce, które już niedługo będą się z nich zwieszać, pełne, aż ociekające sokami dawnej egzystencji.

A ja patrzyłem.

Czekałem.

Wybrały na to długi weekend, nie dlatego, że albo ktoś je tu szybko znajdzie, w końcu spacerowiczów będzie teraz więcej, albo nie znajdzie ich nikt, bo wszyscy będą siedzieć w domach i kiedy ktoś je zauważy, będą już nadgryzione zębem czasu. Albo przez owady. Nie. Wybrały taką datę, bo przecież w tygodniu roboczym nie mogły się wyrwać z pracy nawet po to, by się zabić.

I właśnie od takiego życia uciekały.

– No to hop! – powiedziała wesoło Renka z pętlą na szyi.

A dziewczyny skoczyły.

Coś chrupnęło. Chrup i chrzęst. Jakieś mokre, lepkie odgłosy. Jęki, charczenie, dźwięki przecinanego powietrza, kiedy ręce i nogi szarpały się na wszystkie strony, a ich wydłużone cienie tańczyły na polanie. Śmierć w ich wykonaniu była bardziej energiczna, bardziej żwawa i żywa, niż całe ich życie. Paradoks potwierdzający słuszność ich wyboru.

A Renka, zdejmując pętlę, która i tak była zawiązana w sposób dający jej pewność, że nie zacisnęłaby się na jej szyi nawet, gdyby spadała z drzewa, usiadła na gałęzi, i machając radośnie nogami, powiedziała:

– To nie jest nielegalne.

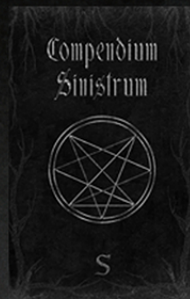
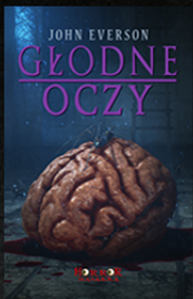
Trupy zwisały dookoła niej, ociekając płynami ustrojowymi, a ona tłumaczyła:

– Może to i niesmaczne, może niewłaściwe, ale nie nielegalne.

I śmiejąc się, patrząc na swój cień, majtający stopami pośród cieni tego, co kiedyś było życiem grupki dziewczyn, kobiet, wprawiona w dobry humor powiedziała:

– No a teraz zrób parę zdjęć. Na pamiątkę.

I życie od razy było lepsze.



GRAFIKA | OKŁADKI | PLAKATY

✉ jo.widomska@gmail.com

📘 By Widomska 📷 by_widomska

